

Oksana Robski

Casual

ZWYCZAJNA HISTORIA

Przełożyła Małgorzata Buchalik

*Los i dusza to nazwy
tego samego pojęcia.*

Novalis

1

Trzęsły mi się ręce, kiedy wychodziłam z sypialni, żeby powiedzieć mężowi to, co musiałam mu w końcu powiedzieć. Miałam za sobą dziewięć lat wspólnego życia, ośmioletnią córkę i młodszą blondynkę, z którą tydzień temu nakryłam męża w restauracji.

– Może jakiś czas pomieszkamy oddzielnie – powiedziałam spokojnie, patrząc mu prosto w oczy.

– OK – przytaknął obojętnie. Odwróciłam się i poszłam spać.

Powiedzcie: dręczyła was kiedyś taka piekielna zazdrość? Na miejscu Dantego umieściłabym tę torturę zaraz po kotłach z siarką. Albo i zamiast.

Nie mogłam spać, jadłam bez apetytu. Schudłam, i to bez żadnej diety. Dziwne – kiedy chudniesz bez diety, wszyscy mówią „schudła jakoś chorobliwie”.

Wyglądałam po prostu żałośnie, chociaż byłam przekonana, że świetnie się trzymam.

Podarłam wszystkie jego fotografie.

Następnego dnia skleiliśmy. Potem rozłożyłam je na podłodze w sypialni i okropnie płakałam. Usiłowałam wyobrazić sobie męża z tą blondynką w intymnych sytuacjach. Ale jakoś nie mogłam. Świadomość odmawiała współpracy: widać chroniła moją niestabilną psychikę. Próbowалаm dalej. I kiedy przypadkiem na chwilę udawało się, dzielnie znosiłam ból, który sama sobie zadawałam. Byłam na skraju obłądzenia, kiedy wreszcie zadzwonił telefon.

W słuchawce usłyszałam suchy męski głos. „Czy mówię z panią... „ Potem głos poinformował, że mąż nie żyje. Pięć ran postrzałowych. Dwie śmiertelne: kule w płucach i w mózgu. Na podwórzu naszego moskiewskiego domu. Kierowca też w szpitalu, w ciężkim stanie. Poprosili, żebym przyjechała i złożyła zeznania. Przekazali wyrazy współczucia. Odpowiadałam uprzejmie, bez hysterii. Odłożyłam słuchawkę. Powietrze zrobiło się tak ciężkie, że nie mogłam już nim oddychać.

Wydawało mi się, że nić, która wiązała mnie ze światem, została raz na zawsze zerwana. Balansowałam na malutkiej, chwiejnej wysepce, sama. Całkiem sama.

Wyciągnęłam rękę do ludzi. W rękę trzymałam telefon. Po tamtej stronie odezwała się moja przyjaciółka, Weronika. Powiedziałam, że mój mąż nie żyje. Weronika nie uwierzyła. Powtórzyłam. Chyba przekonująco, bo pisnęła i zamilkła. Najwyraźniej nie wiedziała, co powiedzieć. Co można powiedzieć przyjaciółce, która słabnącym głosem oznajmia, że zastrzelili jej męża?

Odłożyłam słuchawkę. Weronika nie oddzwoniła.

Podeszłam do okna. Lufcik był otwarty.

Raz jeszcze spróbowałam wrócić do świata: krzyknęłam. Po kilku sekundach, kiedy kończyło mi się powietrze w płucach, usłyszałam swój głos. Zasłoniłam usta i nie wiedzieć po co zatrzasnęłam lufcik.

Pedantycznie wybierałam ubrania z szafy. Żona Serża musi wyglądać wystrzałowo. Nawet na milicji. Włożyłam różowe jedwabne spodnie. Kupił mi je mąż.

Wyszłam przed dom i rozejrzałam się. Ogarniał mnie strach. Zanim przekreśliłam kluczyk w stacyjce, zablokowałam drzwi. Całą drogę zerkałam w boczne lusterko. Chyba nikt za mną nie jechał.

Komisariat wyglądał jeszcze gorzej niż w serialach. Śmierdziało myszami. Milicjanci byli niezbyt młodzi, za to rozbawieni.

Zapytałam, czy mój mąż zginął na miejscu.

– A czemu pani pyta? – oficer podejrzliwie zmrużył oczy.

Nie potrafiłam odpowiedzieć. Głupio jakoś tłumaczyć, że kiedy uświadamiasz sobie, że twój mąż nie żyje, nagle bardzo ważne staje się, jak umarł, czy jego śmierć była względnie lekka. Na tyle lekka, żeby serce nie pękało mi z bólu.

Trzecią kulę wyciągnięto z nadgarstka. Wyobraziłam sobie, jak instynktownie zasłonił twarz ręką, jak jeszcze na ułamek sekundy oszukał śmierć.

Zrozumiałam, że jestem podejrzana. Pytali mnie o pieniądze, samochody, domy i mieszkania. I dlaczego nie mieszkamy razem. I co się między nami wydarzyło. I w jakich stosunkach pozostaję z moim kierowcą.

Co ma do tego kierowca?

Poprosiłam o szklankę wody, okropnie się bałam.

Chciałam już wyjść na dwór, ale oni dalej mnie pytali. Ktoś za moimi plecami jednym palcem wystukiwał odpowiedzi na przedpotopowej maszynie do pisania. W głowie kłębiły mi się jakieś zastyszane w filmach żądania: „Będę odpowiadała jedynie w obecności adwokata...”. Ale w tym obskurnym pokoju takie słowa zabrzmiałyby wręcz nieprzyzwoicie.

– Widzi pani... – bystre spojrzenie absolwenta zawodówki; pewnie nawet nie bierze łąpówek, w odróżnieniu od swojego kolegi. – Widzi pani, sąsiedzi zeznali, że kierowca otacza panią wszechstronną opieką i że utrzymuje z nim pani stosunki intymne.

Milczałam. Pewnie uznali, że nie wiem, co powiedzieć. I rzeczywiście, nie wiedziałam. Żeby im dowieść, jak bzdurne są te ich podejrzania, powinnam wyciągnąć fotografię Serża i opowiedzieć całą historię naszej znajomości. I naszej miłości. I naszego życia. I o naszej wspaniałej córce. I wtedy by zrozumieli. I pewnie nawet pozazdrościli. Tak, jak jeszcze niedawno wszyscy nam zazdrościli.

I zrozumieliby, jakie głupie i obrzydliwe są ich podejrzania.

Ale milczałam.

Przynieśli mi szklankę wody.

Po trzech dniach pozwolili zabrać ciało z kostnicy.

Siedziałam na podłodze, obejmowałam kolana ramionami i płakałam.

Ściemniło się, potem zaczęło świtać.

Dzwonił telefon, ale nie odbierałam.

Kostnica była blisko naszego domu, świetna lokalizacja. Wstrzymałam oddech i otworzyłam drzwi.

– Jest u was mój mąż, chciałabym go zobaczyć. Kobieta za biurkiem nawet nie raczyła na mnie spojrzeć.

– Nie wolno.

Podawała mi zegarek, portfel i fotografię. Naszą pierwszą wspólną fotografię. Nie wiedziałam, że nosił ją przy sobie. Na odwrocie własnoręcznie napisałam: „Kiedyś... Nie będziemy się już niczym przejmowali. Tylko sobą nawzajem”. Zaparafowałam coś w jakimś zeszycie. Znow chciało mi się wyć. Serż nosił przy sobie moją fotografię.

Na korytarzu wpadłam na łysego mężczyznę w białym fartuchu. Mocno pachniał wodą kolońską.

Dałam mu pieniądze.

– Proszę mi pomóc. Muszę koniecznie zobaczyć męża.

Mężczyzna wziął pieniądze i obojętnie wskazał pobliskie drzwi.

– Proszę. Numer siedemnaście.

Weszłam.

Pochyliłam głowę, żeby zawęzić pole widzenia. Usiłowałam patrzeć jedynie na przywiązane do stóp numerki. Najpierw w rzędzie po lewej, później po prawej.

Z całych sił starałam się nie zapamiętać tego wszystkiego – rzędów nagich martwych ciał, między którymi stałam.

Jest. Numer 17.

Widziałam w kinie, jak zapłakani ludzie rzucają się na ciała swoich ukochanych zmarłych.

A ja stałam jak słup.

Mój mąż, zazwyczaj nienagannie ubrany: wyprasowana koszula, wypastowane buty, idealna fryzura, nie mógł tak po prostu trafić do tej koszmarnej sali, na ten stół, z numerkiem na pięcie. Ale to było jego ciało. Jego pięta.

Wybiegłam na ulicę i długo wymiotowałam na podwórku za kostnicą. Długo. Aż do zmroku.

Przyjaciele Serża wzięli na siebie organizację pogrzebu. Musiałam tylko wskazać restaurację, w której miała się odbyć stypa, i wybrać suknię żałobną. Kilka ostatnich dni przed pogrzebem spędziłam na kanapie, w całkowitej samotności. Z nikim nie rozmawiałam.

Nie potrafiłabym nikomu opowiedzieć, co wtedy czułam. A czułam ulgę. Wreszcie przestała mnie zadreć zazdrość. Byłam Serżowi wdzięczna. Za to, że zginął.

Naturalnie było mi go też strasznie szkoda. Oddałabym wszystko na świecie, byle tylko miał lekką śmierć. Byle nie cierpiał i żeby go nie bolało.

Potem był pogrzeb. I znowu łzy. I łzy naszej córki.

I suknia żałobna, i czarne okulary. I bicie dzwonów na cmentarzu Wagańkowskim. I pożegnanie wdowy ze zmarłym.

Całowałam go. Obejmowałam. Coś do niego mówiłam. A on pachniał wodą kolońską, którą

zaniósł do kostnicy razem z garniturem i butami. I ten znajomy zapach jego kosmetyków mieszał się z zapachem specjalnego makijażu i czegoś jeszcze, i wiedziałam, że nigdy już nie zapomnę tego cierpkiego zapachu nieszczęścia.

Żegnałam swojego męża.

Ktoś powiedział mi potem, że całowałam go tak, że właściwie powinien być ożyły.

Ale go pochowano.

A ja wróciłam do domu.

Nazajutrz zapytałam Wikę, czy mogę do niej przyjechać.

Męża Wiki zabili trzy lata temu. W Pradze. Wika patrzyła z okna na piętrze ich domu, położonego na przedmieściach czeskiej stolicy, jak jej Fiodor wsiada z kolegą z pracy do samochodu. Więcej go nie zobaczyła. Po trzech dniach znaleziono ciało i samochód. Strzał w tył głowy. Wika pochowała męża i wróciła do Rosji. Nie spłaciła kredytu za dom w Pradze i kilka miesięcy później nieruchomość przeszła na własność banku. Wika nawet się nie zmartwiła. Wszystko w tym domu przypominało jej Fiodora.

W Moskwie opiekował się nią starszy brat jej męża, urodzony dwie minuty przed Fiodorem. Traktował syna Wiki jak własnego. Stał się częścią jej życia. Najważniejszą częścią, bo poza nim i synem nie miała nic i nikogo. Pomagał jej finansowo, kupił samochód, zapisał chłopca do drogiego prywatnego przedszkola. Brał aktywny udział w wychowaniu dziecka; Wika bez konsultacji z nim nie podejmowała już żadnych decyzji. Szybko zaczęło jej to ciążyć. Czasami miała wrażenie, że wyszła nie za Fiodora, ale za jego brata. Chociaż brat był żonaty. Jego żona nie lubiła Wiki, ale musiała pogodzić się z sytuacją. Mówiła o Wice z wyraźną pogardą i ciągle liczyła, ile ich kosztuje utrzymanie wdowy.

Kiedy Wice zaproponowano przeprowadzkę do dużego, słonecznego mieszkania sąsiadującego z domem brata, odmówiła.

„I tak nie mam już własnego życia – powiedziała. – On kontroluje każdy mój ruch. Oczywiście bez jego pieniędzy nie przeżyję, ale...”

Trzy lata po śmierci Fiodora Wika poznała pewnego chłopaka. Miał dwadzieścia cztery lata, kończył zarządzanie turystyką i zarabiał na studia, pracując jako barman w nocnym klubie. Wkrótce zamieszkał z Wiką.

Brat Fiodora przestał dawać Wice pieniądze. „Mógłbym jeszcze zrozumieć – powiedział – gdyby znalazła sobie normalnego faceta, proszę bardzo, niechby sobie żyli na zdrowie, moglibyśmy się dalej przyjaźnić. Ale ten... szczeniak z knajpy ze striptizem! Nie po to zarabiam pieniądze, żeby mu je wciskać za majtki!”

Wika znalazła pracę. Posłała syna do zwykłej szkoły. Czuli, że znowu żyje swoim własnym życiem.

Otworzyła mi w trykotowym szlafrocuku z Myszka Miki na plecach. Usadziła w fotelu, przytuliła. Nie musiałam nic mówić. Sama to wszystko przeszła.

Piliśmy herbatę i nie czułyśmy jej smaku. Rozmawiałyśmy, nie zwracając uwagi na łyż,

tylko niekiedy mimochodem zlizując je z warg.

Zadałam pytanie, z którym przyjechałam:

– Kiedy to się skończy?

– Nigdy – powiedziała Wika. – Ale za parę miesięcy będzie lżej.

– Do tej pory go pamiętasz?

– Jasne. Biorę filiżankę i myślę: „To ukochana filiżanka Fiodora”. Robię zimne nóżki i myślę, jak lubił zimne nóżki. Czasem kupuję jakiś sweter i przymierzam: podobałby się Fiodorowi czy nie?

Patrzyłam na Myszkę Miki na jej plecach, na obłazącą ze ściany farbę i przysięgałam sobie, że nie powtórzę jej błędu. Nie będę żyła przeszłością. Czułam ból, myśląc o Serżu, ale był to ból dość przyjemny. Do zniesienia. Tylko nie wolno mi już o nim myśleć. I za trzy lata będę myślała o czymś innym, o czymś pięknym, co wypełni moje życie i sprawi, że będę szczęśliwa. Koniecznie muszę znowu być szczęśliwa. Wyrzucę filiżanki Serża i nie będę więcej robiła zimnych nóżek. Może zresztą nie wyrzucę, jasne, nie wyrzucę, tylko starannie zapakuję i schowam do piwnicy.

Pożegnałyśmy się z Wiką dobrze już po północy. Wcześniej poznałam jej chłopaka, który wciąż tańczył i szczyrzył śnieżnobiałe zęby do wszystkich i wszystkiego.

W kawiarni było sympatycznie.

Słońce gorliwie grzało twarz i odsłonięte ramiona.

Leniwie mieszałam lód w szklance soku mandarynkowego i uśmiechałam się niezobowiązująco do Wanieczki, starego znajomego. Inni mówili na niego Joe. Bo Joe był Anglikiem. Zakochanym Anglikiem.

Zakochał się we mnie dziesięć lat temu, od pierwszego wejrzenia, i przez ten czas zdążyłam się już przyzwyczaić do jego miłości, traktowałam ją jako coś oczywistego i trzymałam w odwodzie, na czarną godzinę. To znaczy na chwilę, kiedy poczuję się naprawdę źle albo nikt już nie będzie mi potrafił pomóc.

Nasze stosunki były platoniczne, ale i tak nigdy nie przyznałam się do nich Serżowi. Taka mała tajemnica. Zresztą jedyna. Naturalnie, nie licząc rachunków za zakupy.

Joe bywał w Moskwie dość często i zawsze spotykaliśmy się w tej samej kawiarni. Ta kawiarnia była kiedyś bardzo modna, teraz z tamtych czasów pozostała jeszcze świetna kuchnia i niezła obsługa. Tylko ludzie przestali tu przychodzić. Idealne miejsce na sekretne schadzki.

Kelnerzy dobrze nas znali.

Czasami się sprzeczałyśmy. Wanieczka obrażał się i znikał. Na rok, dwa. Ale potem znowu dzwonił i mówił, jaka jestem niezwykła i jak tęsknił, i znów spotykaliśmy się w naszej kawiarni, a kelnerzy poznawali nas i mówili, co nowego w menu.

Kiedy zginął mój mąż, zaczęliśmy się spotykać częściej. Miłość i opiekuńczość Wanieczki kompensowała mi brak ukochanego mężczyzny.

Wanieczka siedział naprzeciwko mnie i opowiadał o swoim nowym mieszkaniu w Anglii.

– Pomalowałam wszystkie ściany na ciemnobrązowe Bardzo stylowy kolor. A przez przeszkloną ścianę salonu widać jak na dłoni cały Londyn.

Wanieczka mówił z lekkim akcentem, świetnie znał rosyjski i uwielbiał szpanować wyrażeniami typu „jak na dłoni”.

– Koniecznie musisz kiedyś przyjechać do Londynu. Już nigdy nie będziesz chciała wracać. Jestem tego absolutnie pewien.

A ja myślałam że najwyższa pora zrobić sobie pod oczami zastrzyki z botoksu – to taka specjalna trucizna, która paraliżuje mięśnie i wygładza zmarszczki mimiczne. Które właśnie zauważyłam.

Czytałam gdzieś, że botoks podany doustnie paraliżuje mięśnie układu oddechowego i powoduje śmierć przez uduszenie, w stanie pełnej świadomości.

Dość często myślałam teraz o śmierci.

Nie jak o czymś szczególnym, raczej jak o kosmetyce, o pogodzie czy o swojej córce.

Wanieczka mówił o interesach.

Zamówiłam jeszcze jeden sok.

Najbardziej na świecie interesowały mnie teraz zastrzyki z botoksu. Wzięłam telefon, powiedziałam, że zaraz wrócę, i poszłam w głąb kawiarni.

Kosmetyczka znalazła dla mnie czas tegoż dnia, między piątą a szóstą. Musiałam się spieszyć.

Pożegnanie wyszło krótkie i nijakie, ale postarałam się zrekompensować to promiennym uśmiechem, wiedząc, że wielu z tych, którzy mnie lubią, lubi mnie właśnie za promienny uśmiech.

Z zastrzykami poszło szybko i bezboleśnie. Ale zadziałać miały dopiero za dwa tygodnie. Szkoda. Chciałam być młoda i piękna już, natychmiast.

Za to miałam teraz nowe zajęcie: czekanie. Bo poza czekaniem nie miałam innych zajęć.

Kiedy jesteś zameżna, nawet jeżeli nic nie robisz, tylko całymi dniami gapisz się w telewizor, wszystko to ma jednak jakiś sens, bo w końcu nie ot, tak sobie gapisz się w telewizor, ale czekasz na wieczór, a wieczorem wraca z pracy mąż, i wychodzi na to, że wcale nie marnowałam czasu, tylko przeżyłam kolejny pełnowartościowy dzień rodzinnego życia.

A ja w ogóle nie włączałam telewizora. Słuchałam muzyki.

Pomyślałam, że jeśli wejść wieczorem do pierwszego lepszego domu i popatrzeć, co jest włączone: telewizor czy CD, można się od razu zorientować, kto tam mieszka – rodzina czy samotna dziewczyna.

Po szybkim przeglądzie wszystkich swoich przyjaciółek wiedziałam już, że moja teoria jest prawdziwa.

Chociaż, naturalnie, zdarzają się wyjątki. Ale takie wyjątki to samotne dziewczyny, które marzą o życiu rodzinnym. Albo na odwrót: nie marzą już o niczym.

Zrozumiałam, że po prostu się nudzę.

Wanieczka znowu zadzwonił.

Spotkaliśmy się w kawiarni.

Wanieczka patrzył rozkochanymi oczami i, jak zawsze, chłonał każde moje słowo.

Kiedy nie masz ochoty nikogo widzieć, jedynym znośnym towarzyszem jest zakochany mężczyzna.

Gadaliśmy o tym i o owym.

Opowiedziałam, jak wyrzuciłam kolejną gosposię za kradzież.

Wanieczka poradził, żeby zażądać odszkodowania od agencji, która mi ją poleciła. Powiedział: „Kuj żelazo, póki gorące”.

Wyjaśniłam, że w naszym kraju to nie takie proste. Agencja przyśle kolejną dziewczynę, i ta kolejna będzie kradła dokładnie tak samo jak poprzednie.

Wanieczka powiedział, że w Londynie mają całkiem niesamowite jak na tę porę roku upały.

Jak zwykle zaprosił mnie do siebie. Jak zwykle przyjął zaproszenie.

Wanieczka zaczął opowiadać rosyjskie dowcipy. Nie lubiłam tego obowiązkowego punktu

naszych spotkań. Wanieczka nie miał pojęcia o rosyjskim poczuciu humoru, wybierał kiepskie dowcipy i nawet te zawsze zarzynał. Nigdy mnie nie rozśmieszył. Ale ciągle próbował. Od lat.

Ciekawe, pomyślałam, jak to jest – uprawiać seks z mężczyzną, który marzy o tym od dziesięciu lat?

Tymczasem Wanieczka prowadził burzliwe życie osobiste. Nawet podczas naszych spotkań jego telefon non stop dzwonił, i Wanieczka zazwyczaj o wszystkim rozmawiał przy mnie. Był bardzo sympatyczny, z uroczym uśmiechem, hojny i zawsze skory do komplementów.

Dziesięć lat temu prawie się w nim zakochałam. Ale spotkałam Serża i zapomniałam o całym świecie.

Zamówiliśmy deser i umówili się na jutro w jachtklubie.

Wanieczka odprowadził mnie do samochodu i wręczył kwiaty.

Położyłam je na tylnym siedzeniu i wyciągnęłam dopiero następnego dnia, na parkingu jachtklubu. Schowałam do bagażnika.

W małej kafejce na nabrzeżu spotkaliśmy Francuzów, znajomych Wanieczki.

Zamówiliśmy szampana.

Czasem jest bardzo miło z samego rana napić się szampana. Człowiek uwalnia się od konieczności przeżycia dnia na trzeźwo. Najważniejsze, żeby nie przesadzić, żeby dzień się nie skurczył i nie zamienił w jedno długie śniadanie.

Wynajęliśmy łódki, jeździliśmy na nartach wodnych i smażyli szaszłyki.

Niesamowite wrażenie – pokazywać się z Wanieczka publicznie. Nie bać się, że ktoś nas zobaczy. W towarzystwie swoich przyjaciół Wanieczka był znacznie ciekawszy, teraz patrzyłam na niego jakby z zewnątrz, jakby nie był moją własnością.

Miło spędziliśmy dzień i pożegnaliśmy się bardzo zadowoleni z siebie.

Znowu wezwali mnie na przesłuchanie.

Zadzwoiłam do sąsiada – był adwokatem – i poprosiłam, żeby poszedł ze mną. Już po pierwszej wizycie na komisariacie zrozumiałam, że nie jest to miejsce, gdzie normalny człowiek mógłby się czuć bezpiecznie.

Tym razem nie podejrzewali mnie już o zabójstwo Serża.

Pokazali mi portret pamięciowy.

– Proszę się dokładnie przyjrzeć – prosili oficerowie, podsuwając mi nabazgraną fizjonomię jednego ze znajomych męża. – Poznaje pani tego mężczyznę?

– Nie – kręciłam głową, sama nie wiedząc, dlaczego to robię.

– Proszę obejrzeć jeszcze raz. Może jednak gdzieś już go pani widziała?

W restauracji. Trzymał w rękach moją torebkę i zachwycał się urodą damskich podręcznych drobiazgow. Dlatego go zapamiętałam: nie co dzień spotyka się mężczyznę, na którym damskie torebki robią takie wrażenie.

Pozegnałam się z adwokatem. Podziękowałam mu.

Lekko mnie objął. Ciekawe, czy to ich zawodowy gest?

Ledwie się wlokłam przez wiecznie zakorkowane moskiewskie ulice i myślałam, że trzeba by wziąć kierowcę. I jeszcze trzeba by znaleźć tego Fetyszystę i zabić. Pomścić męża. W końcu mam prawo. Dlaczego na milicji powiedziałam, że go nie znam? Jakoś nie chciało mi się o tym myśleć.

Przekręciłam lusterko. Kontrola stanu zmarszczek i poszukiwanie efektów działania botoksu weszło mi już w nawyk.

Może kupię pistolet? Nie, łatwiej kogoś wynająć. A może jednak kupię?

I przy okazji, no właśnie, zabiję tę blondynkę z restauracji. I oficera śledczego. Tego od: „A czemu pani pyta?”.

Chciałam być bardzo, bardzo silna, nie żeby to wszystko zrobić, ale żeby móc zrobić.

Zatrzymałam samochód koło cerkwi. Rytuał wypracowany przez ostatni miesiąc, dwie świece: wieczne odpoczywanie i dużo, dużo zdrowia.

Wiedziałam, do kogo zadzwonić.

Przed dwudziestu laty, kiedy w Moskwie dopiero się zaczynało, wszyscy mieliśmy mnóstwo takich znajomych. A dokładniej: prawie wszyscy nasi znajomi byli właśnie tacy. Potem zostali biznesmenami, posłami, nawet artystami, tylko Oleś nigdy się nie zmienił.

Dzwoniłam do niego raz na parę lat. Nigdy nie podawałam swojego numeru telefonu. Czasem podrzucałam jakieś pieniądze. A ostatnio zadzwoniłam, kiedy była gosposia ukradła wszystkie moje futra i pelisę. Kombinowała logicznie: był środek lata, więc wiedziała, że do zimy nawet nie zauważę. A zimą już od pół roku u mnie nie pracowała. Było mi żal tych futer.

Serż powiedział, że pewnie oddałam je do pralni chemicznej i zapomniałam do której. No i musiałam zadzwonić do Olesia. Ale Oleś wymyślił jakiś subtelny wykręt i zlecenia nie przyjął.

Serż kupił mi dwa nowe futra naraz i powoli zapomniałam o całej historii.

Oleś czekał na mnie w restauracji, radośnie uśmiechnięty. Przypuszczam, że w restauracjach tej klasy bywał wyłącznie ze mną.

W samochodzie zdjęłam całą biżuterię. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– No co tam? Znowu gosposia zakosiła ci brylanty? – Oleg siedział rozwalony w fotelu, a kelner zapalał mu cygaro.

Uśmiechnęłam się chłodno i czekałam, aż zostaniemy sami.

Opowiedziałam Olesiovi wszystko, co wiedziałam o śmierci Serża i o tamtym facecie.

Nie wierzyłam w powodzenie całej akcji. Przecież nie miałam nawet zdjęcia tego faceta. Znałam tylko jego imię. No i coś tam wiedziałam o jego znajomych.

Zaproponowałam Olegowi dziesięć tysięcy.

Oleg powiedział: pięćdziesiąt.

Pomyślałam, że targowanie się w takiej sytuacji obraża pamięć Serża. Nigdy nie pytałam o cenę, kupując kwiaty na jego grób.

Oleś zażądał połowy z góry.

Przypomniała mi się kostnica. I moja bezradność w kostnicy. Straszna świadomość, że nic już nie mogę zrobić.

Teraz mogłam. Mogłam zrobić coś dla Serża.

Powiedziałam, że jutro przywiozę pieniądze. Do niego do domu.

I przywiozłam. Podjechałam pod jego klatkę i zadzwoniłam, żeby zszedł.

Nie lubię starych kamienic.

Była chyba niedziela. Ludzie snuli się po ulicy i nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi.

Na podwórku siedziała na huśtawce śliczna dziewczyna w niebieskich dżinsach i długowłosego chłopak. Obejmowali się i ciągle coś do siebie mówili, robiąc przerwy tylko na pocałunki.

On nie spuszczał z niej zakochanych oczu. Ona uśmiechała się kokieteryjnie i przekomarzała się z nim.

Ludzie patrzyli na nich i zazdrościli im młodości.

A oni myśleli, że to będzie trwało wiecznie.

Chciałam być tą dziewczyną i całować się na huśtawce.

Ale nie mogłam.

Gdybym była tą dziewczyną, nie miałabym Serża i Maszy. Nie miałabym całego swojego życia. I nie musiałabym dawać Olesiovi pieniędzy, żeby zabił Fetyszystę. A gdybym nie przyjechała z pieniędzmi dla Olesia, nie zobaczyłabym tej dziewczyny i nie chciałabym nią być.

Spojrzałyśmy z dziewczyną na siebie. Blask w jej oczach przygasł. Chciałaby siedzieć w moich ciuchach i jechać do mojego domu. I patrzeć na świat z okna mojego samochodu.

A ja chciałabym ich po prostu dokądś podwieźć. Udawać kierowcę i słuchać ich głupiej paplaniny.

Ale z równym powodzeniem mogłam udawać dźwig budowlany.

Z klatki wyszedł Oleś. Dałam mu pieniądze. Wcisnęłam gaz.

W tylnym lusterku widziałam twarz dziewczyny. Była poirytowana i robiła chłopcu jakieś wyrzuty.

Może za długo na mnie patrzył?

Uśmiechnęłam się do swojego odbicia. Botoks wrednie uśmiechnął się w odpowiedzi.

Wieczorem znów spotkałam się z Wanieczką. To był jego ostatni dzień w Moskwie. Nazajutrz Wanieczką leciał do domu.

Jak zwykle w ostatnim dniu był dla mnie szczególnie miły.

Czułam się jak królowa. Łaskawie rozdzielałam uśmiechy i troszkę kokietowałam.

Umówiliśmy się w starym rosyjskim dworze, w Carycynie. Wanieczką lubi jeździć tam wierzchem. A ja boję się koni. Chociaż miło jest siedzieć sobie na słoneczku z filiżanką kawy i obserwować harmonijne ruchy pięknych zwierząt.

Wanieczka wziął gniadą klacz, Muchę. Wołał na nią Moskit. Klacz nie reagowała i wierzgała tylnymi nogami. Wanieczka świetnie trzymał się w siodle. Są ludzie, którzy wszystko, co robią, robią świetnie.

W końcu do Muchy dotarło, że nie ma z nim szans, i posłusznie pokłusowała w stronę lasu.

Przy moich nogach zwinął się w kłębek rudy kot. Nie wiedzieć czemu, w każdej stajni są zawsze stada psów, kotów i innych stworzeń.

Obok młoda dziewczyna rozczesywała grzywę wspaniałego, jabłkowitego konia.

Pomyślałam, że fajnie byłoby zostać tą dziewczyną. Przyjeżdżać tutaj codziennie, otwierać boksy, witać się z końmi jak z najlepszymi przyjaciółmi, częstować je cukrem, a pod koniec miesiąca brać wypłatę i jechać do domu, pewnie metrem. A po drodze, z racji wypłaty, kupić swojemu chłopcu w prezencie jakiś krawat, albo raczej koszulę. Zrobić na kolację kurczaka w ziołach, obejrzeć film na Jedyńce i iść spać. Koniecznie na Jedyńce, bo kierownikiem finansowym Jedyńki jest mój przyjaciel, i bardzo mu zależy, żeby ludzie oglądali filmy właśnie na Jedyńce.

Wanieczka wrócił po dwudziestu minutach, podekscytowany, z płonącymi oczami.

Miałam ochotę go pocałować. Ale był spocony i poszedł pod prysznic. Pięć minut później wszłam do jego kabiny.

Jestem przekonana, że to było ostatnie, czego się spodziewałam.

Wszystko wyszło całkiem inaczej, niż myślałam.

Nikt nie zwariował ze szczęścia.

W sąsiednich kabinach brali prysznic jacyś mężczyźni. Nie wiem, czy ktoś mnie zauważył, kiedy wychodziłam, wycierając się pospiesznie.

Wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu.

Nazajutrz Wanieczka wrócił do Londynu. Poczułam ulgę. Nie wyobrażam sobie, jak bym się zachowała, gdybyśmy na siebie wpadli.

Mam nadzieję, że póki jest w Londynie, historia z prysznicem pójdzie w zapomnienie i będę mogła udawać, że nic się nie stało.

Śniadanie zjadłam w łóżku. Koło trzeciej dotarło do mnie, że Wanieczka nie zadzwonił. Od czasu, jak odprowadził mnie do samochodu, nie dzwonił ani razu.

Sprawdziłam, czy telefon działa. A potem sama zadzwoniłam. Wanieczka odebrał po szóstym sygnale.

Odłożyłam słuchawkę.

Nic mu się nie stało. Jest cały i zdrowy, po prostu do mnie nie zadzwonił.

Po co dzwoniłam? Przecież będzie wiedział, że to ja. Może nie skojarzy. Pewnie mnóstwo takich dziewczyn jak ja dzwoni do niego i odkłada słuchawkę.

Czyli zostałam jedną z jego dziewczyn.

Zacisnęłam zęby, żeby nie zgrzytać nimi ze złości.

Włazłam z głową pod kołdrę i postanowiłam, że już nigdy stamtąd nie wyjdę.

Zadzwonił telefon.

Pomknęłam ile sił w nogach, w biegu kombinując, jak teraz rozmawiać z Wanieczką. Muszę być troszkę zaspana, troszkę niezadowolona; muszę mu powiedzieć, żeby zadzwonił wieczorem. Albo jutro. Albo że sama zadzwonię, jak znajdę wolną chwilę.

Dzwoniła mama.

Pytała, czy wszystko w porządku.

Jasne, że w porządku. Tylko bardzo tęsknię za nią i za Maszą. One też tęsknią. I niedługo przyjadą. A ja powinnam pomyśleć o nowych ubraniach dla Maszy. Masza bardzo urosła w ciągu tego lata.

Odłożyłam słuchawkę. Spojrzałam w lustro.

Botoks zaczął działać.

Wyszedł koszmar.

Zmarszczki się wygładziły. Mięśnie zanikły. Twarz niebieskowłosej lalki. A kiedy się uśmiechałam, to już czysty Fantomas: starannie rozciągnięte usta i nieruchome szklane oczy.

Z miejsca zapomniałam o Wanieczce i rzuciłam się dzwonić do kosmetyczki.

Kosmetyczka powiedziała, że sama chciałam i że cudowne działanie botoksu skończy się za jakieś trzy do sześciu miesięcy. Szybko doszłam do wniosku, że przy moim szczęściu przez najbliższe pół roku nawet się nie uśmiechnę.

Gorzko płakałam, rozmazując łzy po policzkach. Z lustra wciąż patrzyły na mnie nieruchome oczy. Moja twarz przypominała twarz trupa pod prysznicem. Zimnym albo gorącym, nieważne.

Nadciągała jesień.

Jedni ludzie stawiają życiu surowe wymagania. Inni traktują je jak zadanie. Jeszcze inni jak

kielich, który trzeba wypić. Do dna. A ja traktuję życie jak partnera. Partnera pasjonującej gry.

Planszą tej gry jest świat.

Pierwszy ruch zawsze należy do życia. Potem ja wykonuję swój i z ciekawością czekam na dalszy rozwój wydarzeń.

W tej grze nie ma żadnych zasad. Trochę to przerażające, ale z czasem zdażyłam się przyzwyczaić.

Nie ma też zwycięzców.

Kiedyś próbowałam liczyć punkty, ale szybko dałam sobie spokój. Nigdy nie opuściłam ruchu. Kiedy nachodziła mnie ochota, żeby się jednak poddać, po prostu brałam timeout.

Życie zawsze miało dzokera w rękawie.

Wyciągało go w najmniej spodziewanych momentach, przez co gra nabierała kolorów. Nigdy nie potrafiłam przewidzieć, w jakim charakterze wkroczy na planszę kolejny dzoker. Postanowiłam żyć tak, jakby dzoker nie istniał.

Grałam na ślepo.

Pewnie powinnam się była niezłe zdziwić, kiedy zadzwoniła do mnie ta dziewczyna z restauracji.

No i faktycznie się zdziwiłam.

Tak się właśnie przedstawiła:

– Jestem tą dziewczyną, którą widziała pani w restauracji. Z Sieriożą. Pamięta pani?

Akurat leżałam w kąpielni z trzema kroplami olejku jaśminowego.

Żeby choć trochę uspokoić trzepocące serce, chciałam wziąć głęboki wdech, ale zamiast tego zastygłam na sekundę z otwartymi ustami, a potem zapytałam:

– Kiedy?

– Jak to kiedy – spieszyła się dziewczyna. – Tydzień przed tym, jak Sieriożę... jak Sieriożę... oszedł... W „Pinokiu” na Kutuzowskiej.

– A! – ucieszyłam się nie wiedzieć czemu.

Pewnie wyszło na to, że najpierw przestraszyłam się, że to dziewczyna z restauracji „HongKong” na Twerskiej. Na przykład.

– Muszę się z panią spotkać – dziewczyna była chyba bliska płaczu.

– Po co? – zapytałam bardzo poważnie.

W tamtej chwili nienawidziłam w jej osobie wszystkich kobiet świata. Podejrzewając, że skoro była ona, były też i inne.

– To nie jest rozmowa na telefon. Powinnam była odłożyć słuchawkę. Ale pewnie nie ma na świecie kobiety, która odmówiłaby spotkania z kochanką swojego męża.

Padłam na kanapę i zwinęłam się w kłębek. Poduszki i ubrania wciąż jeszcze pachniały Serżem. Wcześniej, kiedy Serż żył, nie zwracałam na to uwagi. Za to teraz wyraźnie czułam ten zapach.

Dziewczyna miała na imię Swietłana. Umówiliśmy się za godzinę. W „Pinokiu” na Kutuzowskiej.

Przyjechała starym volkswagenem. Gdyby chodzili ze sobą dłużej, pewnie już dawno by miała takiego mercedesa jak ja. Albo troszkę gorszego.

Siedziałam w czarnych okularach, chociaż na sali panował półmrok. Nie chciałam odsłaniać przed kochanką Serża wszystkich uroków swojej mimiki. Chyba że najdzie mnie ochota ją wystraszyć. Wtedy zdejmę okulary i zrobię okropną minę. Właściwie wystarczy tylko zdjąć okulary.

Była niezłe ubrana. Tak jak lubił mój mąż. To znaczy tak, jak go nauczyłam: modnie, ale nie wyzywająco.

Usiadła i od razu wyciągnęła papierosy.

Cierpliwie czekałam i ani myślałam sama zaczynać rozmowę.

Dziewczyna była wyraźnie podenerwowana, dzięki czemu ja mogłam zachować spokój. Czulałam, że jestem górą. Szkoda tylko, że jeszcze nie wiedziałam dlaczego.

Podszedł kelner.

Zamówiłam sok mandarynkowy z lodem. Ona wodę mineralną.

Do jedzenia właściwie nic, jakąś lekką sałatę. Dziewczyna powiedziała, że nie jest głodna.

– Nie pozwolili mi przyjść na pogrzeb – zaczęła, nie patrząc mi w oczy.

No i łaska boska, pomyślałam. Na samą myśl, że mogłaby stać tam, na cmentarzu, obok mnie, zatrzęsłam się z nienawiści.

Ale na twarzy miałam współczujący uśmiech.

– Kto? – nie zdziwiłabym się, gdyby w moim głosie dało się jednak wyczuć pewną irytację.

– Przyjaciele Sierioży. Weronika i Igor. Pani ich zna, oczywiście?

Oczywiście. Moja przyjaciółka Weronika. Dobrze, że jestem w okularach. Ciekawe, kto jeszcze?

– Znam. Ale niezbyt blisko – udało mi się nawet smutno westchnąć. – Byliście przyjaciółmi?

Rozmawiając ze Świetlaną, wpadałam w protekcyjny ton.

– Tak – spuściła wzrok i ledwie dosłyszalnie szepnęła: – Jestem w ciąży.

Wstałam i wyszłam. Było mi wszystko jedno, dokąd idę, ale znalazłam się przy drzwiach. Na ulicy przystanąłam i oparłam się o ścianę. Tego już za wiele. Gdyby moja cierpliwość była nadmuchiwanym balonikiem, właśnie teraz balonik musiałby już pęknąć.

Najbardziej pragnęłam, żeby Serż żył. Sprząłabym go po pysku, a potem wyrzuciła w diabły, razem z jego rzeczami.

Nie, jednak dobrze, że umarł. Skoro umarł, już nigdy nie przyjdzie do mnie i nie powie: „Wybacz, kocham inną. Będziemy mieli dziecko”. Powinien był umrzeć choćby po to, żebym nigdy nie musiała słyszeć takich słów.

Numer 17 na gołej pięcie.

Nikt nigdy nic już dla niego nie będzie w stanie zrobić.

Sens słowa „nigdy” człowiek rozumie dopiero w kostnicy. Używanie tego słowa w jakimkolwiek innym miejscu to zwykła profanacja.

Wróciłam do restauracji.

– I co? Urodzi pani? – zdjęłam okulary i wbiłam w nią wzrok.

Przytaknęła.

Wtedy zrozumiałam, że jej zazdroścę. Też bardzo bym chciała nosić pod sercem małego Serża. Mojego małego, niebieskookiego Serża.

Machnęłam na kelnera i poprosiłam rachunek.

– Nie mam pieniędzy – powiedziała Świetlana.

– Zapłacę – powiedziałam z nutką pogardy, sama się tego wstydząc.

– Ale ja w ogóle nie mam pieniędzy. Ręce mi opadły.

– To jak chcesz urodzić to dziecko?

– Mam nadzieję, że mi pani pomoże. – Ja?

O Boże, teraz już wiem, jak się czują faceci, kiedy kobieta mówi, że jest w ciąży. Czują się złapani w pułapkę. Wyraźnie usłyszałam trzaśnięcie. Pułapka zamknęła się. Już nie ucieknę. A może?

– W którym jesteś tygodniu?

– W dziesiątym.

– Masz jeszcze dwa tygodnie, żeby zrobić skrobankę. Zarezerwuję ci termin w dobrej klinice, mam tam najlepszego lekarza w Moskwie.

– Nie mogę – pokornie patrzyła mi w oczy. – Pierwszy raz jestem w ciąży, lekarz powiedział, że nie wolno mi robić skrobanki.

– Niech cię zbada mój lekarz – nie poddawałam się.

Skinęła głową.

– Dobrze. Ale i tak urodzę. Chcę mieć syna Sierioży. Moja mama już wie. Zgodziła się. Wzięłam jej numer telefonu.

– Pomoże mi pani? – zapytała Świetlana na odchodnym.

Nie raczyłam odpowiedzieć.

Zaparkowałam koło sklepu w Mniewnikach. Do Mniewnik trafiłam przypadkiem, objeżdżając korki na Rublowce. Dawno już nie byłam w takim nostalgicznym sklepie z radzieckim szyldem „Artykuły przemysłowe”.

Wysiadłam i rozejrzałam się wokół. Miejsce było ciemne i mało uczęszczane. Na chodniku stało kilka samochodów.

W „Artykułach przemysłowych” bardzo mi się spodobało. Kupiłam kolorowe klamerki do bielizny (świetnie się na nich wieszają ozdoby choinkowe), okrągły blaszany budzik, śliczne zabki do firanek, nowy żyrandol do pokoju Maszy, w kształcie wielkiego urodzinowego tortu, i jeszcze mnóstwo innych niezbędnych drobiazgów. Kosztowały jakies grosze. Ze trzy razy taniej niż płacę zazwyczaj. Kiedy nie mogłam się zdecydować na płyn do szorowania dla mojej gosposi, cała kolejka dzielnie mi pomagała. Sprzedawczyni wybrała pięć różnokolorowych szczoteczek do zębów do łazienki dla gości. Podziękowałam jej z całego serca. Kiedy z wielkimi siatkami szłam do wyjścia, sympatyczna staruszka w chustce z falbankami troskliwie zapytała, czy aby jestem samochodem, ciężko nosić takie wielkie zakupy.

Mój samochód zastawił jakiś zaporozec. Nie mogłam wyjechać. Dwaj Tadzycy zmieniali w zaporozcu koło. Postawiłam siatki na bagażniku i odeszłam na bezpieczną odległość.

W podobnych okolicznościach jedną z moich znajomych wyciągnęli z samochodu, a inną zabili. Dostała siekierą w głowę. Zabrali samochód i dwieście dolarów z torebki. Miała dwadzieścia cztery lata. Mąż podarował jej mercedesa na urodziny.

Tadzycy kombinowali z kołem już dobre pięć minut; przestawało mi się to podobać. W okolicy oczywiście ani śladu milicji. Zaciskałam w kieszeni rękę na kluczykach, gotowa w razie czego rzucić je w krzaki.

Tadzycy przestawiali lewarek, dzwonili śrubami. Podeszłam do nich z telefonem w dłoni i powiedziałam:

– Wyoście się stąd albo wzywam ochronę!

Przestraszyli się, zaczęli coś mamrotać, wrzucili narzędzia do bagażnika, wsiedli do zaporozca i odjechali o jakieś pięć metrów.

Podniosłam telefon do ucha i zaczęłam głośno rozmawiać z rzekomą ochroną. Opisywałam miejsce, w którym się znajduję, podyktowałam numery rejestracyjne zaporozca. Z bezpiecznej odległości otworzyłam pilotem drzwi. Cały czas mówiąc, wstawiłam siatki na siedzenie. Najważniejsze, żeby mnie nikt nie zaszedł od tyłu.

Otwarłam drzwi. Jeden z Tadzyców ruszył w moją stronę. Odstąpiłam o krok, wyciągnęłam rękę i wrzasnęłam ile sił w płucach:

– Stój! Stój, powiedziałam!

Tadzyk zatrzymał się. Szybko wsiadłam do samochodu i zablokowałam wszystkie drzwi od

środka.

Czy „Artykuły przemysłowe” w Mniewnikach warte były całych tych nerwów? Nie, po stoć nie! A całe to chromowane żelastwo, którego nakupiłam? Wanieczka pewnie powiedziała: „Kiedy wrogów kupa, i Herkules dupa”.

W środku nocy zadzwoniłam do Swietłany.

– Serż wiedział, że jesteś w ciąży?

– Nie, nie zdążyłam...

Odłożyłam słuchawkę, nie czekając nawet, aż tkończy.

Moja masażystka mieszka w suterenie mojego domu. Ma silne dłonie i złodziejskie spojrzenie. To częsta cecha ludzi, którzy żyją z napiwków.

Nigdy nie szukałam masażystki na stałe, po prostu rok temu, kiedy kolejny raz zmieniałam gosposię, poleciła mi ją przyjaciółka.

W Doniecku, skąd pochodziła nowa gosposia, miesięczne zarobki masażystki wystarczają na dwie porcje roladek „Kalifornia” w „Słowiańskiej”, na manicure w „Welli” albo na napiwek w kasyno „Golden Palace”.

Masażystka miała na imię Gala, przy czym literę „g” należało czytać raczej w stronę „h”. Otóż Gala postanowiła do spółki z przyjaciółką przyjechać do Moskwy, żeby trochę zarobić. No i trafiła do mnie. Sprzątała niechlujnie, gotowała same świństwa. Wzięłam inną pomoc domową, ale przyzwyczyłam się już do masażu na każde zawołanie, więc Gala również została. Zresztą jej pensja wynosiła w sumie połowę tego, co wcześniej wydawałam w salonach piękności.

Jechałam na wieś.

Apatia, w którą popadłam w ostatnich dniach, pewnie nie zdołałaby mnie wygonić z miasta. Mój dom na wsi, kompletnie zapuszczony od czasu śmierci Serża, też nie był teraz miejscem, o którym szczególnie marzyłam. Ale masażystka mieszkała właśnie tam. Czyli nie miałam wyjścia.

Pierwsze, co się rzucało w oczy zaraz po wejściu do domu, to porozrzucane co pół kroku szczotki, wiadra i szmaty.

Moja nowa gosposia uważała, że dom winien być przedmiotem permanentnego sprzątanía. O dziesiątej wieczorem zostawiała wszystko tam, gdzie akurat skończyła pracę, i szła spać, a rano budziła się i kontynuowała.

Jeśli przez kilka dni nie przyjeżdżałam, obrażała się, bo nie miał kto brudzić – wybijałam ją z rytmu.

Przemknęłam przez salon, usiłując nie rozglądać się zbytnio na boki, i weszłam do siebie, na piętro.

Puściłam wodę do wanny, wlałam trzy krople olejku jaśminowego.

Zapaliłam świece. Wstawiłam płytę Pink.

Rozebrałam się przed lustrem.

Gdzie mój abonament do fitnessklubu?

Wyciągnęłam się w wannie. Zamknęłam oczy. Niedługo wróci córka.

Zazwyczaj podczas masażu milczę i nie lubię, kiedy ktoś inny gada.

Ale dzisiaj słuchałam masażystki i nawet coś tam jej odpowiadałam. Akurat postanowiła podać mi przepisy na wszystkie sałatki, jakie tylko знаła.

Wszystkie te jej sałatki jakoś się nazywały. „Mimoza”, „Żółw” i najbardziej, cytuję,

wystrzałowca – „Tadž Mahal”.

Cierpliwie słuchałam, co i w jakich proporcjach należy do nich dawać.

Sama nie gotuję i nigdy w życiu nie interesowałam się przepisami.

A teraz słuchałam jej monotonnego mrużenia o „dwu łyżkach majonezu i tartej marchewce”, i całkiem mi się podobało.

Zamierzałam zrewanżować się jakimś przepisem. Nawet sobie jeden przypomniałam. Ale nie chciało mi się mówić. Podczas masażu głowy prawie zasnęłam.

Nie miałam kompletnie nic do roboty.

Zeszłam do piwnicy i wyciągnęłam z pakamery walizkę z ubrankami dla niemowlaka. Pedantycznie poskładałam i odłożyłam to, co mogło się przydać małemu.

W drugiej pakamerze przepaliła się żarówka. Wzięłam latarkę i sprawdziłam, w jakim stanie jest stary wózek Maszki. W niezłym. Obok stało siedzenie z samochodu.

Gospośia podała kolację w jadalni. Ładnie nakryła do stołu, serwetki w srebrnych kółkach, zapalone świece.

Włączyłam muzykę.

Nie chciało mi się jeść.

Wzięłam butelkę czerwonego wina i poszłam na werandę.

Lubię swój dom. Stoi w pięknym miejscu, niedaleko Moskwy, jest wielki i śliczny.

Na werandzie gospośia trzymała miski.

Zapomniałam zabrać kieliszek. Spojrzałam na paczkę jednorazowych kubeczków na stole i wróciłam do kuchni. Wzięłam kieliszek i poprosiłam gospośię, żeby sprzątnęła miski. Obrażona aż przygryzła wargi. Powiedziałam, że rano może sobie przynieść cały ten sprzęt z powrotem. Chociaż właściwie po co mi rano miski na werandzie? Gospośia trochę się rozchmurzyła, ale na wino nadal zerknęła nieufnie.

Naprawdę wyznaczyłam jej zadanie bojowe. Olejek jaśminowy zostawia na wannie plamy. Z błyskiem w oku pognęła w stronę łazienki.

* * *

Obudziłam się o szóstej rano.

Położyłam trochę po domu. Trafiłam do garderoby. Rzeczy Serża prawie w niej nie było: jakieś dwie czy trzy marynarki, których nie chciało mu się zabierać, i zimowe buty pochowane do pudełek. Trzeba powiedzieć, żeby to sprzątnęli. O dziesiątej znowu zasnęłam.

Obudził mnie dzwonek telefonu.

Przyjechała z Hiszpanii moja przyjaciółka, Weronika.

– Kochana, wpadnij do mnie. Nie mogę sobie wybaczyć, że tak cię tu samą zostawiłam. To wszystko jest takie straszne. Po twoim telefonie cały dzień płakałam! Przyjeżdżaj szybko!

Weronika ma dom po sąsiedzku i jest typową mieszkanką naszej wioski. O takich kobietach moja kosmetyczka mówi: biedne, ani na chwilę nie mogą się wyluzować! Nawet podczas

zabiegu muszą trzymać rękę na pulsie. Na pulsie własnego męża. Bo nawet jeśli nie odszedł jeszcze do młodej kochanki, to lada moment odejdzie. Strach przed hipotetyczną kochanką gna je w wieku czterdziestu lat na uniwersytet, robią dwa fakultety, wkuwają pięć języków i razem z innymi paryżanami, pełny egalitaryzm, stoją w dwugodzinnych kolejkach do Musee d'Orsay na wystawę amerykańskich impresjonistów.

Dzięki takim kobietom nasi ogrodnicy i gosposie wiedzą, co to takiego nierówność klasowa. A wiedzą, bo widzą naszą oczywistą przewagę intelektualną.

Zajechałam przed biały dom i wyciągnęłam z samochodu tort „Napoleon”.

Na szezlongu przed klombem siedziała szesnastoletnia córka Weroniki i z wyraźną przyjemnością paliła papierosa.

– A co, rodziców nie ma? – domyśliłam si[^] z miejsca.

– Nieee – porozumiewawczo zajrzała mi w oczy, po czym spokojnie znowu się zaciągnęła. – Tata jest w Moskwie, a mama zaraz przyjdzie Coś tam się jej skończyło, chyba chleb, albo krem.

– A co u ciebie?

– W porządku.

– W której jesteś już klasie? W dziesiątej?

– W jedenastej.

– To jesteś całkiem dorosła.

– No tak. Kiedyś patrzyłam na tych z jedenastej i myślałam: ale oni są dorośli! Trochę dziwnie.

– Co dziwnie? Że jesteś w jedenastej i wcale nie czujesz się dorosła?

– No.

– To już cały czas tak będzie – zauważyłam, że mówię głosem własnej mamy. – Zawsze będziesz się czuła jak dziecko. I dopiero któregoś dnia, kiedy skończysz trzydzieści albo pięćdziesiąt lat, zauważysz, że właściwie od dawna jesteś dorosła.

Spojrzała na mnie ze zrozumieniem.

Chwilę milczaliśmy.

Automatyczna brama otwarła się i przed dom podjechał samochód Weroniki.

Niektóre mercedesy przypominają rekiny.

Weronika rzuciła się mnie uściskać. W oczach miała łzy.

To mimo wszystko miło.

Też się rozplakałam.

I córka Weroniki również.

Piłyśmy herbatę i jadłyśmy tort.

Weronika opowiadała o Marbelli. Zimne morze, mnóstwo Arabów i drogo. Za rok znów tam pojedzie. Może też dam się skusić? Pewnie. To świetnie, Igor będzie zachwycony. Igor bardzo cię lubi, i bardzo lubił Serża. Biedny Serż.

– Kochankę Serża też lubi?

Weronika zamilkła i spojrzała na mnie wystraszona. Trwało to sekundę.

– Poznałaś ją?

– Nie tak dobrze, jak ty.

– Kochana, musisz zrozumieć. Byłam przeciwko.

– Jasne.

– Tacy są mężczyźni. Przecież nie mogłam pozwolić, żeby Igor spotykał się z nimi beze mnie. Jeszcze by przyprowadziła jakąś koleżankę.

– Jasne.

– Nie gniewaj się na mnie. Jesteś od niej sto razy ładniejsza. Wszyscy tak powiedzieli.

Leżałyśmy na kanapach w salonie. Mruczała klimatyzacja, upał tu nie docierał.

– Od jak dawna z nią był?

– Od pół roku. Naprawdę nic nie wiedziałaś?

– Nie.

Wiedziałałam. Zrobił się czuły i opiekuńczy. Częściej przynosił mi kwiaty i prezenty.

– Kochał ją?

– Zwariowałaś?! Kochał tylko ciebie.

– Wszędzie tak z nią chodził i wszystkim ją przedstawiał?

– No nie, nie wszystkim... Naprawdę nie chciałam, żebyś się o tym dowiedziała!

Ja też nie chciałam. Nogi same zaniósł mnie do tamtej restauracji. Nawet nie byłam głodna.

– Gdzie się poznali?

– Na otwarciu naszego sklepu. Pamiętasz, nie poszłaś wtedy!

Sama nie wiem, dlaczego nie poszłam. Po prostu siedziałam na wsi. Nie chciało mi się ubierać i jechać do Moskwy. Samochód stał przysypany śniegiem. Serż wpadł tylko na pół godziny, bo czekałam na niego z kolacją.

– To głupio tak ani na krok nie odstępować męża.

– Jedyne sposoby, żeby utrzymać rodzinę w komplecie.

Poczułam się winna.

– To nie fair, że się spotykałaś z kochanką mojego męża.

– Daj spokój. Co byś zrobiła na moim miejscu?

– Zadzwoiłabym do ciebie i wszystko opowiedziała.

– Nie byłam pewna, czy chcesz o tym wiedzieć.

– A ty byś nie chciała?

– Nie wiem. Chyba raczej tak. Wiesz co, umówmy się od razu. Jeśli zobaczysz Igora z jakąś panną, po prostu mi o tym powiedz. Dobrze?

Zawarłyśmy umowę. Niestety, jednostronną. Weronika zawsze umiała się urządzać.

Przyjechał Igor.

Pokrzykiwał do mnie już z holu. Podeszedł, mocno uściskał i parę minut nie wypuszczał z objęć.

Było mi okropnie żal samej siebie. Znowu miałam łzy w oczach. Wszystko przez te nerwy. Dobrze byłoby zostać u Weroniki. Pooglądać z nimi telewizję. Omówić plany na weekend. Stać się częścią ich monotonnego, rodzinnego wieczoru. Ich jedyną dzisiejszą rozrywką.

Wróciłam do domu.

Niebo było tak rozgwieżdżone, że zdawało się nieprawdziwe.

Za to kiedy widzisz coś wyjątkowo paskudnego, nigdy nie wątpisz, że to szczerą prawdą.

Zasnęłam na werandzie. Pierwszy raz od tych kilku tygodni przyśnił mi się Serż. Wyglądał świetnie, był absolutnie żywy i czułam go niemal fizycznie.

Obudziłam się o świcie. Nie miałam ochoty ani dalej spać, ani wstawać.

Ptaki śpiewały tuż nad moją ogrodową kanapą.

Gdybym zamknęła oczy, byłoby prawie jak w lesie, na trawie.

Po co zamykać oczy i coś tam sobie wyobrażać? Przecież naprawdę byłam w lesie, wokół rosły sosny, a dom dosłownie tonął w zieleni.

Zawołałam Galę, żeby mi zrobiła peeling kokosowy.

Dobrze, że mam Galę, zawsze jest jakieś zajęcie.

Po peelingu wzięłam prysznic i nałożyłam na twarz zielonobrazową papkę. Nazywało się to „maseczka – błyskawiczny efekt”. Na błyskawiczny efekt należało czekać dwadzieścia minut i nic w tym czasie nie mówić. Zamknęłam oczy, a Gala zaczęła monolog na temat: „dlaczego w Moskwie nie sprzedają serwatki?”

Otóż w Doniecku serwatkę sprzedają na każdym kroku i ludzie robią na niej naleśniki. A w Moskwie w ogóle nie wiadomo, na czym robić naleśniki. A świnię? Gala za nic nie mogła zrozumieć, jakim cudem w Moskwie hodują świnię bez serwatki. Kosztuje cztery razy mniej niż mleko. Można używać jej do mycia twarzy. I włosów.

W chwili kiedy Gala zabrała się do zdejmowania maseczki, byłam już pogrążona w całkiem poważnych rozważaniach: faktycznie, dlaczego w Moskwie nie sprzedają serwatki?

Cztery razy tańsza od mleka, czyli każdy by kupił. Na wszelki wypadek zapytałam gospozię. Każdy? Gospośnia uśmiechnęła się marzycielsko. Każdy. Termin przydatności do spożycia: tydzień, czyli rodzina będzie kupowała średnio cztery woreczki miesięcznie. W Moskwie mieszka około pięciu milionów rodzin. Potrzebuję dobrej sieci sprzedaży. Można dogadać się z ludźmi z branży spożywczej. Mam tam znajomych.

Teraz serwatkę pozostałą z produkcji sera po prostu się wylewa, czyli żadnych nakładów. Tylko na reklamę i pakowanie. To jakieś dwadzieścia do dwudziestu pięciu procent ceny sprzedaży. Plus transport.

Muszę pogadać z jakimś mężczyzną. Zadzwoeniłam do paru znajomych. W końcu niby dlaczego nie miałabym zaopatrywać Moskwy w serwatkę?

Spotkaliśmy się z Olesiem w „Pałace Hotel”. Oleś pił kawę, palił cygaro i gadał głupoty. Nie potrzebuje dużych pieniędzy, wystarczy jakiś milion.

– Na co wystarczy? – zapytałam ostrożnie.

– No tak, na życie. Dom na Rublowce, mercedes dwieście dwudziestka, do tego maserati, zegarek JVC – wszystko kupiłem i zaraz musiałem sprzedać.

– Dlaczego?

– Forsa mi się skończyła, a przyzwyczałem się już do życia na pewnym poziomie. Zresztą po co mi dom na Rublowce.

– Teraz tak mówisz, a jak dostaniesz milion, zaraz zmienisz zdanie.

– No, to potrzebuję dwu milionów. Wzruszyłam ramionami.

– A jeszcze lepiej dziesięciu – skorygował Oleś.

Dla Olesia ze stalowymi zębami dziesięć milionów dolarów to taka sama abstrakcja, jak dla bezdomnego psa dziesięć kilo kości.

Zaczął mówić o swoim koledze z klasy.

– Widziałem jego zdjęcie w gazecie. Jest członkiem rady nadzorczej jakiejś kompanii niklowej. Przejęli fabrykę na Uralu, wyrzucili całą administrację i dali tam swoich ludzi.

Oleś mówił o koledze z szacunkiem. Tak, jak inni mówią o krewnych, którzy coś w życiu osiągnęli. Tak, jakby sam miał udział w jego sukcesie.

W dzieciństwie Oleś często bił tego kolegę. Bił, bo nie znosił okularników. Ale od kiedy sam się dorobił szklanego oka, lewego, ułomności fizyczne traktował z większą wyrozumiałością.

– Masz taką smutną minę – powiedział Oleś. Wybuchnęłam śmiechem.

– I śmiejesz się jakoś sztucznie. Opowiedziałam mu o botoksie.

Nie każdemu mężczyźnie można opowiedzieć o czymś takim.

Oleś chyba się zorientował, ale nie był urażony. To są uroki dwudziestoletniej znajomości.

– Znalazłem twojego Fetyszystę – powiedział, rozwalając się w fotelu.

Skinęłam głową i nic nie powiedziałam. W restauracji powiało chłodem.

Zdawało mi się, że człowiek, który zabił mojego męża, krąży gdzieś tutaj, krok od nas.

Byłam przerażona.

Musiałam się jakoś przemóc, usiłowałam wydusić z siebie kilka słów.

Oleś rozglądał się po sali. Widać mój stan zupełnie go nie interesował.

– Jak go załatwimy? – Oleś patrzył mi teraz prosto w oczy.

Czuł swoją przewagę. Sprawiało mu to wyraźną przyjemność.

– Co proponujesz? Oleś zamyślił się.

– Można by go zalać betonem. Kątem oka zerknęłam na kelnera. Kelner zerknął na nas.

Zamówiłam jeszcze jeden sok mandarynkowy.

– Można też zakopać na cmentarzu. Po szyję. Na jakieś trzy dni. Przyjedziesz, popatrzysz sobie.

W oczach Olesia nie zauważyłam szaleństwa. Był zupełnie spokojny. Mówił precyzyjnie, ze znanstwem, jak moja Gala o sałatkach.

– Albo też niezły motyw: wziąć twój botoks, i w gardło.

Faktycznie niezły, pomyślałam.

– No, albo po prostu zastrzelić. Dam ci potem zdjęcie.

Zdjęcie martwego Fetyszysty włożyłabym do rodzinnego albumu. Jest tam jeszcze sporo pustych stron. A może nawet nosiłabym przy sobie.

– Albo powiesić, albo utopić, albo udusić. Oleś wyliczał na palcach.

Czułam ulgę, słysząc o tylu możliwościach. Jakby świadomość, że z dziesięciu możliwych sposobów morderstwa wybiorę tylko jeden, umniejszała w moich oczach wagę tego czynu.

– Zepchnąć z dachu, zatruć spalinami... Oleś improwizował.

Też chciałam coś wymyślić, ale jakoś mi nie szło.

– No, szybka decyzja. I podaj konkretny termin.

Zapadła cisza.

Próbowałam spojrzeć na sprawę z dystansu, na zimno.

Zawsze tak robię, kiedy rzeczywistość zaczyna mnie przerastać.

Morderca zabija pięknego, dobrego księcia. Księżniczka jest zrozpaczona. Wyznacza nagrodę za głowę winowajcy. Podły zdrajca zostaje schwytany. Pozostaje omówić szczegóły egzekucji.

– Poćwiartować – powiedziałam, i Oleś zakrztusił się dymem z cygara.

– Znaczą jak, pociąć na kawałki? Robiło mi się niedobrze.

– Nie – westchnęłam. – Po prostu go zabij.

– Jak?

– Tak, żeby wiedział za co. Oleś zmrużył oczy.

– OK. Będzie wiedział.

– Czy on ma dzieci? – zapytałam. W oczach Olesia zastygło pytanie.

Chyba pomyślał, że mam coś przeciwko dzieciom Fetyszysty.

Pokręciłam głową.

– Dobra. Nieważne.

– Kiedy?

– Sam zdecyduj. Nie chcę znać dokładnego terminu.

– Umowa stoi.

– Skąd będę wiedziała, że już po wszystkim?

– Proponowałem ci zdjęcie.

– Nie. Dowiem się z gazet. Wymyśl coś takiego, żeby napisali.

– W porządku.

Poprosiłam o rachunek. Pożegnaliśmy się. Nie mogłam uwierzyć, że jednak się na to odważyłam.

Była środa.

Środa jest wymarzonym dniem na łaźnię.

Na początku tygodnia człowiek robi to, czego nie zrobił w weekend.

Pod koniec tygodnia ma ochotę siedzieć w restauracjach i chodzić po klubach.

W środę można umówić się z dziewczynami w łaźni.

Ja mam łaźnię turecką.

Przyjechała Weronika. Jej mąż Igor przeziębził się i siedział w domu pod czujnym okiem ochroniarzy i gosposi, więc Weronika mogła go zostawić, nie martwiąc się zbytnio, gdzie i z kim się szlaja.

Przyjechała Lena. Jej mąż dwa lata temu odszedł z sekretarką. Lena miała w uszach fałszywe brylanty, ale w naszej wiosce nikomu nie przyszłoby do głowy, że brylanty mogą być fałszywe. Tak samo, jak na przykład w sklepie w Mniewnikach nikomu nie przyszłoby do głowy, że okrągłe szkiełko na moim palcu jest warte więcej niż cały ten ich sklep.

Przyjechała Katia. Jej przyjaciel Misza, znany w całej Moskwie hulaka i homoseksualista, cierpliwie czekał, aż Katia straci nadzieję na złapanie jakiegoś męża i, słysząc tykanie zegara biologicznego, zgodzi się urodzić mu dziecko. Jako że żaden z jego pięknych, muskularnych kochanków z oczywistych względów nie nadawał się na matkę.

Zapaliłyśmy świece, owinęłyśmy się w prześcieradła, Gala nałapała nam herbaty, którą parzyła tylko w środy: specjalna mieszanka ziół i kwiatów.

Nikt nie wspomniał o Serżu.

Katia opowiadała o niesamowitej znachorce, która umiała zamawiać sny. Przez cały dzień czytała modlitwy i w rezultacie w nocy we śnie otrzymywała odpowiedź na konkretne pytanie.

Konkretne pytania były ciągle takie same.

Po wizycie Kati znachorce przyśniło się, że Katia stoi na brzegu oceanu i karmi z ręki okruchami chleba małe oceaniczne rybki.

Co oznaczało ciężę.

Katię taka wróżba całkowicie satysfakcjonowała.

Kłopotliwe było jedynie to, że przyjeżdżając do znachorki, zawsze ryzykowała spotkanie z jakimiś znajomymi. Jako że jeździła do niej cała Moskwa.

Ciekawe, co by się jej przyśniło o mnie?

Ktoś dawno temu powiedział mi, że do wróżki można jechać tylko wtedy, kiedy się nie ma już nic do stracenia.

Nigdy nie byłam u wróżki.

Weronika wyszła z łaźni i z piskiem wskoczyła do zimnej wody.

Gala podała jej wielki frotowy ręcznik. Weronika zawinęła się w ręcznik i wygodnie ułożyła

na miękkiej leżance.

Gala nałożyła jej na twarz jaskrawoniebieską maseczkę oczyszczającą.

Niektóre kobiety wyglądają elegancko nawet w maseczce oczyszczającej.

Lena, którą zaczął niedawno podrywać sympatyczny facet w BMW, zadreśla się kwestią kondycji finansowej tegoż sympatycznego faceta.

– A co by się przyśniło tej znachorce, gdybym ją zapytała, ile on ma pieniędzy?

– Jak dziesięć milionów, to dwa rekiny – Kalina właśnie układała się do masażu. – A jak pięćdziesiąt milionów, to trzy.

– A jak pięćset milionów, to jackpot – zachichotała Weronika, chociaż z maseczką na twarzy nie powinna właściwie nic mówić. – Wyobraźcie sobie taką znachorkę, śni jej się jackpot, a ona biedna nawet nie wie, co to takiego, bo nigdy nie była w kasynie...

Gala nie wtrącała się do naszych rozmów.

Kategorycznie jej tego zabroniłam.

Po drugiej parówce przyszła kolej na mój masaż.

Weronika siedziała z filiżanką herbaty, a Katia z Lenką pluskały się w zimnej kąpieli.

Znałyśmy się wszystkie od dawna. Od jakichś piętnastu lat. Już parę razy klóciłyśmy się i obrażały na siebie, na zawsze. Przez jakiś czas przyjaźniłam się z Leną przeciw Kati, a Weronika nie przyjaźniła się z nami w ogóle. Albo może to my nie chciałyśmy się z nią przyjaźnić? Kiedyś Kati udało się skłócić mnie z Lenką i z Weroniką jednocześnie, a potem sama też mnie zostawiła. Ale miała wtedy paskudny okres w życiu, więc po roku wszystko jej wybaczyłam. Teraz znów przyjaźniłyśmy się wszystkie razem, i ceniłyśmy sobie tę przyjaźń, nie bez podstaw podejrzewając, że długo to ona nie potrwa. Właściwie nie lubiłyśmy się za bardzo. Ale wiedziałyśmy o sobie nawzajem więcej niż nasi rodzice i mężowie razem wzięci. Wiedziałyśmy, czego się po kim spodziewać; dawno już pogodziłyśmy się z naszymi wadami i nie musiałyśmy udawać, że jesteśmy lepsze, niż byłyśmy naprawdę; mogłyśmy sobie pozwolić na pełną szczerłość i chociaż przez chwilę nie przejmować się wywieraniem odpowiedniego wrażenia. Było nam ze sobą dobrze i bezpiecznie, jak w dziecięcym pokoju.

Lena opowiadała o nieudanej randce, na którą wybrały się z Katią.

– Mówię Kati: jak mi się spodoba, to powiem: „mam gumę do żucia”, a jak nie, to że nie mam.

Przyszły do kawiarni na Placu Czerwonym, usiadły na plastikowych krzesłach. Była druga po południu, a facet już pijany. Zamówił dla wszystkich koniak.

– Masz gumę do żucia? – zapytała Lena Katię.

– Nie wiem. Może mam, może nie.

Facet wypił koniak. A one znowu o gumie.

– Pewnie mam. W samochodzie – powiedziała Katia. – A ty?

– Ja chyba nie mam.

– Właściwie ja też chyba nie mam.

– Dziewczyny, kupić wam tę gumę?

– Nie! Nie! – zapiszczały jak wariatki. A po paru minutach znowu.

– No i co?

– Nie, nie mam.

Facet zawołał kelnera i kazał mu przynieść gumy. I następny koniak. Zdziwił się, że nie piją. Zaproponował, żeby może coś zjadły. Wypił koniak duszkiem. Obok przechodziła ładna dziewczyna w modnych džinsach z ostatniej kolekcji Lagerfelda. Podeszła i pocałowała ich faceta. Byli przyjaciółmi.

– Może i mam tę gumę – powiedziała Katia. – Ale z kwasem.

– W poduszeczkach, tak? – zapytała Lena. Katia wieloznacznie pokiwała głową, chociaż nie bardzo zrozumiwała, o co Lenie chodzi.

Facet pożegnał się z dziewczyną i zamówił jeszcze jeden koniak. Zapytał, dokąd potem jada. Zaproponował, żeby pojechały do niego.

– Na sto „procent z cukrem – podsumowała Lena, a facet spojrzał na nią z wyraźną już irytacją.

– Wiesz co – Katia wstała, głośno odsuwając krzesło – koniec tego dobrego, robimy sobie dzisiaj dzień bez gumy! Chodź!

Uśmiełyśmy się z tej historii, a Weronika poprosiła, żeby następnym razem wzięły ją ze sobą.

Potem Katia opowiadała o fototerapii. Drogo, ale działa. Odmładza. Za cztery sesje zapłaciła siedemset trzydzieści dolarów i na razie wystarczy.

Ja opowiedziałam o ciąży Świetłany.

Weronika była matką dwójki dzieci i koleżanką Swietłany.

– Może wszystkie jej pomożemy! – zawołała entuzjastycznie.

Dobrze wiedziałam, jak to będzie wyglądało. Najpierw Weronika da pieniądze. Potem, kiedy dziecko się urodzi, nakupi mu zabawek. Przed pierwszymi urodzinami będzie się długo zastanawiała nad prezentem, ale w końcu nawet nie zadzwoni z życzeniami. W okolicy drugich urodzin usiądzie z przyjaciółkami w kawiarni i zacznie się kajać, jaka jest paskudna, rzuciła biedną Świetlanę z dzieckiem na pastwę losu. Przy okazji będzie sobie marzyła, jak to kupi cały samochód różnych niezbędnych rzeczy, zabawek i ubranek, i jak zniemacka wpadnie do Swietłany, jak tylko uśmiechnie się anielsko i nawet nie pozwoli sobie podziękować. Z tym, że tak naprawdę nigdy tego nie zrobi.

– Przecież ta flądra chciała ci zwinąć męża! A teraz jeszcze ma czelność do ciebie przyłązić!

– Lena mówiła o Swietłanie, ale myślała o dziewczynie, z którą odszedł jej mąż. – Niech teraz zdycha z głodu, nie będziemy jej pomagać, nic z tego!

– Trzeba jej dać pieniądze na skrobankę – powiedziała Katia i spojrzała na mnie.

Tylko ja jedna znałam jej tajemnicę.

Siedem lat temu naręczony Kati, jeden z najbogatszych ludzi w Rosji, zakochał się w innej.

Praktyczna Katia popłakała sobie nad zdradą ukochanego, a potem zaczęła myśleć, jak by się tu zabezpieczyć finansowo. Dopóki oficjalnie z nią nie zerwał, mogliśmy coś jeszcze wymyślić. I wymyśliłyśmy. Katia oświadczyła, że jest w ciąży. Rzuciła palenie. Po paru miesiącach opowiedziała wszystkim, że ma toksykozę. Nawet mnie się skarżyła. Tymczasem jej oligarcha romansował z tamtą całkiem już otwarcie. Katia zażądała wyjaśnień. Oligarcha wyszedł, trzaskając drzwiami. Następnego dnia całe miasto dowiedziało się, że Katia poroniła. I że w rezultacie nigdy już nie będzie mogła mieć dzieci. Oligarcha dość szybko rozstał się z tamtą dziewczyną, a do Kati po dziś dzień żywi ciepłe uczucia, nie zapominając przy okazji przelewać na jej rachunek po dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie.

Katia nie miała dzieci. Nie miewała też poważnych romansów. Bogatej dziewczynie nie tak znów łatwo znaleźć narzeczonego.

– A ty jak myślisz? – zapytała Weronika. Pomyślałam, że na pewno ma telefon Swietłany.

– Wydrapię jej oczy – powiedziałam.

– A co z dzieckiem? Lena wpadła mi w słowo.

– Musi jeszcze udowodnić, że to dziecko Serża!

– Święta racja – podchwyciła Katia.

– Nic z tego. Nie ma materiału do testu genetycznego. Chyba żeby... Nie wiem...

Wiedziałam. Chyba żeby ekshumować Serża i wziąć kilka włosów.

Pomyślałam, że chciałabym zobaczyć Serża. Bardzo za nim tęskniłam. Tak jak się tęskni za żywym człowiekiem. Czasem nawet zdawało mi się, że dokądś wyjechał, ale wystarczy, że zawołam, i natychmiast wróci. Tak bardzo chciałam go zawołać! Ale na ekshumację nie byłam jednak gotowa.

– Dziewczyny, zmieńmy temat – poprosiłam. I zaczęłyśmy rozmawiać o kradnących gosposiach.

Weronika miała w piwnicy dodatkową lodówkę. Z zapasami.

Kupiła królika i zaniósła go do piwnicy, na później. Osobiście. Po trzech dniach poczuła ochotę na królika i, wyjeżdżając z domu, poprosiła gosposię, żeby ta zajęła się kolacją. Wieczorem przyjechali z Igorem, stół był już nakryty, ale dostali jedynie zapiekana wołowinę z serem i majonezem. „A bo królika nie ma” – wyjaśniła gosposia. Rozwścieczona Weronika zbiegła do piwnicy i skonstatowała, że gosposia ma rację. Królika nie było.

– Przecież nie jestem idiotką! – niezbyt pewnie przekonywała nas Weronika. – Własnoręcznie wkładałam go do tej lodówki!

Katia powiedziała, że królik jak królik, gorsza sprawa z jedwabnymi apaszkami. Katia trzymała je w garderobie, starannie złożone w kosteczkę, a jej gosposia kradła po jednej i myślała, że Katia nie zauważy. Tymczasem Katia już przy drugiej apaszce zaczęła coś podejrzewać, a przy trzeciej złapała sprawcę za rękę, czyli wyciągnęła apaszkę z torebki gosposi, a potem poprosiła tę ostatnią o zwrot poprzednich łupów.

– Mowy nie ma – powiedziała gosposia i dumnie ruszyła do wyjścia. – I tak ma ich pani za

dużo – po czym trzasnęła drzwiami, a Katia długo jeszcze siedziała i bała się, że gosposia wróci po resztę rzeczy.

– Znasz jej adres? – zapytała Lena. – Takich spraw nie wolno puszczać płazem. Przecież ona teraz znowu u kogoś pracuje.

– Znam.

Weronika przejęła inicjatywę.

– To dawaj. Poproszę Igora, żeby na nią nasłał naszego Borysowicza. Raz na zawsze odechce się jej kraść.

Borysowicz był emerytowanym majorem służb specjalnych. Igor trzymał go na etacie na wypadek, gdyby trzeba było kogoś postraszyć. Na przykład kiedy agencja turystyczna weźmie pieniądze i ani myśli załatwić wizy, albo kiedy w sklepie nie przyjmują reklamacji jakiegoś bubla. Borysowicz otaczał sklep albo agencję oddziałem specnazowców w czarnych kominiarkach, wchodził do środka, grzecznie kazał obsłudze położyć się na podłodze i szybciotko wyjaśniał nieporozumienie.

Pogadałyśmy sobie jeszcze trochę i Weronika zaczęła się zbierać do wyjścia. Katia z Leną nie miały się dokąd spieszyć. Przeszłyśmy do salonu, otworzyłam butelkę beaujolais. Mile gawędziłyśmy, leżąc na miękkich kanapach.

O północy dziewczyny rozjechały się do domów.

Zadzwoiłam do Świetlany i powiedziałam, że mogę jej dać pieniądze tylko na skrobankę. Tak postanowiłam.

Powiedziała, że urodzi. I coś tam jeszcze o miłości do Sierioży. Że zakombinowała i załapała się na etat w banku, i że teraz będą jej musieli płacić za urlop macierzyński. I że całkowicie poświęci się dziecku.

Tak postanowiła Swietłana. Miała do tego prawo.

Wyjechałam na szosę rublowskouspienską. Samochody stały w długim korku. Machinalnie skręciłam na lewy pas i ominęłam całą tę kolejkę. Z posterunku drogówki w Razdorach wybiegli w moją stronę umundurowani ludzie; gwizdali, machali pałkami i dawali jakieś znaki. Rozejrzałam się i dotarło do mnie, że to nie korek. Jechał jakiś samochód rządowy i policja spędziła wszystkich na pobocze. Zatrzymałam się i od razu sięgnęłam po dokumenty. Milicjanci wyprężyli się na baczność; szosą przemknęła świta prezydenta. Po minucie ruch wrócił do normy. Podszedł do mnie wściekły posterunkowy.

– Dokumenty!

Podaliśmy mu dokumenty. Bez słowa zabrał je do budki. Lewy pas, lekceważenie wezwań do zatrzymania, stwarzanie groźnej sytuacji na drodze. Pewnie zabiorą mi prawo jazdy.

Poszłam do budki i wrzasnęłam:

– Gdzie są moje papiery? Ile można czekać? Milicjanci patrzyli na mnie spłoszeni i mamrotali coś o prezydencie.

– Spiesz się! – ryczałam. – Co jest, nie macie sobie z kim pogadać?!

Jeden z nich poprosił, żebym weszła, i zaczął spisywać moje dane. Poinformował, że zabierają mi prawo jazdy.

– Tylko szybko! – powiedziałam. – Zabierajcie, co chcecie! Ale zapamiętajcie sobie, że to ostatnie prawo, jakie tu zabraliście.

Odwróciłam się i ruszyłam do wyjścia. Nie wierzyłam już, że to cokolwiek da.

Milicjant z rozmachu cisnął dokumenty na brzeg biurka.

– No proszę, trzeba było tak od razu – pożegnałam się i poszłam sobie.

Czułam przez skórę, jak mnie nienawidzą. Mnie i wszystkich innych na tej szosie. Ale nie chcą ryzykować, że stracą pracę. Przecież nie mają pojęcia, kim jestem. Może na przykład wnuczką Jelcyna. W naszej wiosce wszyscy są czyimiś wnuczkami albo czyimiś żonami.

Pojechałam do Moskwy. W porównaniu z naszymi moskiewscy milicjanci to zwykłe chamy i sukinsyny. Gdybym naprawdę była wnuczką Jelcyna, i tak by nie uwierzyli.

Miałam spotkanie biznesowe w sprawie serwatki.

Znalazłam zakłady mleczarskie w Lubiercach, gotowe mi ją sprzedawać. Po dwadzieścia pięć kopiejek za litr. Plus pakowanie, trzy ruble za tysiąc sztuk. Jak dla mnie za drogo. Żeby cały

interes się opłacił, za pakowanie mogłam dać maksimum dwa ruble. Plus dostawa. Mieliśmy sprzedawać serwatkę z samochodu, zabierał jednorazowo 3, 118 tony. Samochód z przegródką pośrodku. Wyobraziłam sobie taki jak w filmie *Dżentelmeni fartu* – ten, którym uciekali z obozu.

Teraz jechałam do agencji reklamowej. Musieliśmy omówić strategię wprowadzania produktu na rynek. Stworzyć koncepcję marki i ustalić założenia kampanii reklamowej.

Siedzieliśmy w trójkę i myśleliśmy nad klipem reklamowym. Ja, Irma – dyrektor kreatywny agencji – i Łada, dyrektor handlowy.

Irma mówiła:

– Żona zegna się z mężem wyjeżdżającym w delegację zagraniczną. Prosi, żeby przywiózł jej jakiś dobry krem do twarzy i szampon do włosów.

Mąż wraca. Lotnisko Szeremietiewo. Samochód z kierowcą. Dzwoni do żony. „Kochanie, wróciłem”. Żona prosi, żeby kupił po drodze serwatkę do naleśników. Supermarket. Mąż widzi przez okno, jak jego kierowca niesie do samochodu całą skrzynkę serwatki. Kierowca siada za kierownicą i mówi: „Tak tanio, że też sobie kupiłem. Uwielbiam naleśniki”.

Kolejne ujęcie. Dzwonek do drzwi. Żona radośnie wita męża. A gdzie krem do twarzy i szampon do włosów? Zapomniał. Trzyma w ręce tylko woreczek serwatki. Podaje jej serwatkę. „Kochanie, za granicą wszystkie kobiety tego używają”. Cięcie.

Siadają do stołu. Na stole parujące naleśniki. Włosy żony błyszczą, twarz bez jednej zmarszczki. Żona mówi: „Kochanie, ta serwatka to najlepsze, co mogłeś mi podarować”.

Łada podskoczyła:

– I tu dajemy slogan reklamowy: „Wilk syty i owca cała”.

– Niezłe – pokiwałam głową. – Ale nie zmieścimy się w trzydziestu sekundach. A już w piętnastu na pewno. Poza tym produkt za rzadko pojawia się na ekranie. Najwyżej przez połowę klipu. I w ogóle koniec z tą „serwatką”. Tylko wiejskie baby sprzedają serwatkę. A my będziemy sprzedawali „maślanek”.

Irma nie straciła rezonu i spokojnie mówiła dalej:

– Świetnie. Dzielimy ekran pionową linią na dwie części. Po lewej – zmęczona kura domowa, po prawej – nowoczesna młoda żona. Tekst: „Ola i Julia pomyślały, że usmażą mężom naleśniki. Ola wzięła mleko i odstawiła je na noc, żeby skwaśniało. Julia kupiła w sklepie pod domem maślanek”. Tymczasem na ekranie zaspana Ola w spranym szlafroku wyciąga z lodówki mleko i stawia je na parapecie. Po prawej Julia szaleje na dyskotecce. Tekst: „O drugiej obie panie planują zabrać się do smażenia”. Na ekranie zbliżenie: Ola nerwowo wacha mleko, Julia z maślanką ogląda telewizję, trzyma nogi na stole. Tekst: „Ale ale! Mężowie Oli i Julii zapraszają je na obiad do restauracji!”. Na ekranie: Ola ze łzami w oczach spogląda na cenę kwaśnego mleka – 20 rubli, Julia na cenę maślanek – 5 rubli. Ola ciężko wzdycha, Julia robi sobie maseczkę z maślanek, a potem myje nią włosy. Cięcie. Mało atrakcyjna Ola i seksowna Julia spotykają się przed blokiem. Ola pyta:

– Masz nową sukienkę? Julia odpowiada:

– Wraca moda na stare, wypróbowane rzeczy. I puszcza oko do widza.

Na ekranie wielkimi literami: maślanka.

– Niezłe – mówię.

– I niskobudżetowe – obiecuje Łada. – Żadnych plenerów, same wnętrza. Jedna kamera, trochę grafiki komputerowej.

– A etykieta? – pytam.

Irma zawsze ma gotową odpowiedź.

– Coś, co się będzie wyraźnie wybijało z ogólnej sztammy wizualnej. Ale tak, żeby klient wierzył, że to prawda. Żadnych latających krów. Może po prostu apetyczny stosik naleśników. I sympatyczna staruszka. Albo dziecko. I napis: „MAŚLANKA”.

– A nazwa?

– Jakaś „pyszotka”. Albo po prostu „grubaska”. Żartuję. Nad nazwą musimy pomyśleć.

– Może „Jutrzenka”? – zaproponowałam.

– Może – przyklasnęła Irma.

– Albo „Babcine naleśniki”.

– Przydługie. Ale dobrze się kojarzy.

– Moim zdaniem OK. Pod warunkiem że wymyślimy to samo, tylko krócej.

– No to dajemy „Naleśniki Babuni” – powiedziała Łada.

Umówiliśmy się na spotkanie za parę dni.

Zadzwoił Wanieczka.

Zapytał, jak leci. Powiedział, że już dawno chciał zadzwonić, ale jakoś nie było okazji. Szczerze dorzucił, że tęskni.

Powiedziałam, że jestem zajęta: krowa sąsiadów się cieli. Oddzwonię później.

Odłożyłam słuchawkę. Zaczęłam żałować, że nie przygotowałam się do tej rozmowy i nie wymyśliłam czegoś ciekawszego.

Dawno już nie czułam się tak dobrze.

Co on sobie teraz o mnie pomyśli? „Oh, those Russians!”, czy może znowu rzuci jakimś rosyjskim przysłowiem?

Pewnie dziś będę miała swój szczęśliwy dzień.

Dzień w dzień dzwoniłam pod ten numer. Ciągłe powtarzali mi to samo: „Stan chorego bez zmian”. Już prawie trzy miesiące. Kierowca Serża leżał w śpiączce. Śpiączka to taki stan, kiedy człowiek już umarł, a nadzieja jeszcze żyje.

Leżał, podłączony do życia mnóstwem rurek i przewodów, w Instytucie Sklifowskiego.

Nie widziałam go.

Przyjechałam trzy dni po śmierci Serża. Powitało mnie pełne nienawiści spojrzenie jego matki. Jej syn pracował dla nas, a myśmy go zabili. Dałam jej kartkę z moim numerem telefonu, ale wiedziałam, że ją wyrzuci, kiedy tylko zamkną się za mną drzwi.

Sama wtedy bardzo potrzebowałam pociechy, więc nie potrafiłam się jej tłumaczyć.

Zresztą z czego się miałam tłumaczyć?

Odwiedziłam ordynatora i wyznaczyłam mu spory dodatek do pensji.

Kiedy siostra dyżurna obwieściła przez telefon, że chory już od dwudziestu czterech godzin jest przytomny, zareagowałam tak, jakby się okazało, że Serż ożył i właśnie jedzie do domu.

Biegłam odrapanymi korytarzami Instytutu Sklifowskiego, obok cuchnących niklowanych wózków, obok wychudłych mężczyzn w szpitalnych pidżamach, tak spranych, że wyglądały, jakby nigdy nie były prane. Patrzyłam na numery na drzwiach i chciało mi się to płakać z rozpaczy, to znów skakać ze szczęścia. Wydawało mi się, że biegnę do Serża.

Jego kierowca wrócił z tamtego świata i był teraz pomostem między nami.

Z gardła sterczała mu rurka.

Kula przeszła na wylot, uszkodziła układ oddechowy.

Chciałam przytulić głowę do jego piersi, ale bałam się, że sprawię mu ból.

– Serż umarł – wyszeptałam cichutko, odwracając wzrok od jego twarzy. – Świetnie wyglądasz.

Zdawało mi się, że bardzo się stara, żeby nie zamknąć oczu.

– Wyzdrowiejesz. Na pewno wyzdrowiejesz. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Obejrzałam się, zdruzgotana i rozczarowana. Za mną stała jego matka. Nawet mi nie zaproponowała, żebym usiadła. Przedemną leżał nasz kierowca, ledwie żywy. Nie był w stanie mówić. Patrząc na niego, nie dowiedziałam się ani nie zrozumiałam nic nowego. Pewnie oczekiwałam cudu tam, gdzie żaden cud nie mógł się już wydarzyć.

Wciąż jeszcze oswajałam się ze słowem „nigdy”.

Kierowca patrzył na mnie, ale wyglądał tak, jakby po prostu patrzył w przestrzeń.

Pomyślałam, że pewnie mógłby zasłonić Serża własnym ciałem. Myślałam jak ostatnia egoistka.

Weszła pielęgniarka i z radosnym uśmiechem poprosiła krewnych chorego do gabinetu lekarza.

Matka kierowcy zerknęła na mnie nieufnie, chwilę się zawahała i wyszła z sali, starannie zamykając za sobą drzwi.

„Jeżeli Serż zdążył coś powiedzieć przed śmiercią, on to słyszał” – pomyślałam.

To było dla mnie bardzo ważne; musiałam wiedzieć, o czym myślał Serż w ostatnich sekundach życia. O tym, czyja ręka wymierzyła w niego pistolet? O tym, czy ma jeszcze jakieś szanse, czy może się jeszcze uratować? O swojej matce? O Maszy? Może o mnie? Bo przecież chyba nie o tej pannie z restauracji? A może po prostu ogarnął go strach, zwierzęcy strach przed śmiercią, i nie pozwolił mu już myśleć ani o mnie, ani o nikim.

Wyciągnęłam z torebki długopis i zacisnęłam na nim palce kierowcy.

– Pomóż mi. Spróbuj napisać. Na pewno jest coś, co powinnam wiedzieć.

Wzięłam ze stolika przy łóżku receptę i podłożyłam pod nią własną dłoń.

Oglądałam się na drzwi i trzymałam jego rękę z długopisem.

Był bardzo słaby. Powoli, robiąc długie przerwy i patrząc wprost na mnie, litera po literze napisał: „Szczur”.

Starannie złożyłam receptę i schowałam do torebki.

Zamknął oczy. Przestraszyłam się, że umarł. Dotknęłam jego twarzy. Powieki leciutko zadrżały.

Szczur to człowiek, który zdradził swoich.

Nie wiem dlaczego, ale wszyscy kierowcy lubią więzienną grypsesę.

Przyszła jego matka. Uważnie spojrzała na syna, a potem spode łba – na mnie.

– Kara go nie minie – obiecałam, nie przejmując się patetycznością tego zdania. – A ty wyzdrowiejesz.

Nie wiem, czy słyszał; może już dawno spał.

Matka bezceremonialnie odepchnęła mnie potężnym biodrem od łóżka.

Położyłam na stoliku plik banknotów. Matka nawet nie spojrzała.

– Niech pani do mnie dzwoni – starałam się mówić bardzo łagodnie. – Chcę pomóc. Ma pani numer mojego telefonu? Wynajmijmy mu pielęgniarkę.

Nie odpowiedziała, rzuciła mi tylko pogardliwe spojrzenie. Westchnęłam.

– Do widzenia. Porozmawiam z lekarzem.

Jestem pewna, że kiedy wyszłam, odetchnęła z ulgą.

Bez kłopotów dogadałam się z lekarzem w kwestii specjalnego traktowania mojego kierowcy. Nie wiedziałam tylko, jak zagwarantować mu całodobową ochronę. Jeszcze nie wiedziałam. Postanowiłam zadzwonić do przyjaciół Serża.

Maślanka działała.

Teraz, budząc się, nie wpadałam już w nie kończący się monolog poświęcony Serżowi: za wiele decyzji musiałam podjąć zaraz z samego rana, za dużo waliło się na mnie informacji.

Kreatywna agencja wie już, co ma robić, poradzi sobie beze mnie. Gorzej z siecią sprzedaży. Jeśli zwrócę się do „WimmBillDanna”, sami zaczną sprzedawać maślanke. Muszę znaleźć kogoś zaprzyjaźnionego. Kogoś, kogo będę mogła związać słowem honoru.

Przeglądałam numery w swoim telefonie. Stop. Jest. Przyjaciół Serża, współwłaściciel sieci sklepów spożywczych „Mospan”. Poznaliśmy się na urodzinach Serża w zeszłym roku. Zadzwoniłam. Przekierowało mnie na numer biura. Słuchawkę podniosła sekretarka. Trzy razy uprzejmie prosiła, żeby powtórzyć nazwisko, po czym zapisała je wraz z prośbą o telefon.

Pozostawało czekać. To mógł być niezły wybór.

I jeszcze opakowania. Maślanke trzeba rozlewać do litrowych woreczków. Na razie nie miałam pojęcia, jak to zrobić.

Znajomy nie oddzwaniał. „Do Serża pewnie już sto razy by się odezwał” – pomyślałam i zadzwoniłam sama. Znów natknęłam się na sekretarkę. Nadal była wyjątkowo uprzejma, co trochę mnie pocieszyło. Wyobraziłam sobie, jak znajomy stoi teraz koło niej i gestami pokazuje, jaki to ze mnie porządny człowiek i jak chciałby ze mną porozmawiać. Niestety, właśnie ma

zebranie.

Późnym wieczorem wreszcie sam podniósł słuchawkę. Widać zrozumiał, że nie odpuszczę.

– Cześć – przedstawiłam się. Grobowym tonem powiedział, że miło mnie słyszeć.

Rozmawiając z takimi facetami trzeba ciągle demonstrować swoją niezaradność, ale uchowaj Boże nie prosić o pomoc.

– Mam plan. Chcę coś sprzedawać...

– Tak? – w tym „tak” było wszystko, tylko nie chęć kupna.

– Tak, przecież coś muszę robić...

– Potrzebujesz pomocy? – chciałam wierzyć, że gdybym odpowiedziała „potrzebuję”, zaraz by mi pomógł.

– Nie. Na razie nie... Ale mam dziecko... W ogóle, wiesz... Robię pewien interes. Z przyjaciółmi.

– Z kim?

– Nie znasz ich. W każdym razie potrzebuję Witalika. A konkretnie jego sklepów. Wtedy na urodzinach dał Serżowi swój telefon, ale teraz nie wiem, gdzie go szukać.

W słuchawce cisza.

– Chyba wyjechał za granicę.

– Na pewno ma roaming.

Nie uda mu się tak po prostu odmówić wdowie po przyjacielu.

– Poza tym on zmienia branżę.

– Nie szkodzi. Muszę zapytać go o parę rzeczy.

– To znaczy konkretnie o co?

– Chcę zostać jego dostawcą, mam ciekawy produkt.

– No, no. A co słyhać poza tym?

– Poza tym? A właśnie, nie byłeś na mszy za Serża?

– Przepraszam. Wiesz, wyjeżdżaliśmy na całe lato, kłopoty z biletami...

Milczałam.

– Zapisz ten telefon. Podyktował mi numer.

– Pozdrów żonę. Powiedz, że jest kochana.

– Dziękuję.

– Cześć.

Jakoś odechciało mi się dzwonić.

Podeszłam do lustra i pomalowałam rzęsy. Uśmiechnęłam się: botoks. Zrobiłam poważną, troszkę kokieteryjną minę.

Zadzwoiłam.

Muszę mówić konkretnie, bez kręcenia. Żeby Witalij mógł odpowiadać jak partnerowi, żeby się czuł w swoim żywiole. Tylko na koniec, w razie, gdyby się zgodził, zapytam, jak wakacje, jak dzieci, co w domu?

Umówiliśmy się na następny dzień. Pojadę do niego do biura. O drugiej. Świetnie. Przy okazji okazało się, że nie ma dzieci.

Następnego dnia pojechałam spotkać się z Witalijem.

Widziałam już trochę biur.

Niedrogich, ale gustownych – biura architektów, malarzy, młodych bizneswomen (nie wszystkich).

Niedrogich, ale z pretensją do wystawności – biura firm sprzedających okna, drzwi, materiały wykończeniowe.

Tanich z kulawymi krzesłami – w takich dawno już nie byłam.

Wielkich, z dębowymi meblami – biura prawie wszystkich znajomych mężczyzn.

Z małą kamerą nad wejściem – wchodzisz i drzwi do gabinetu otwierają się dopiero wtedy, kiedy drzwi wejściowe zatraskują się ze zgrzytem. Względy bezpieczeństwa. Takie biura mają oligarchowie.

Właścicielom sieci sklepów spożywczych, jeśli można wnioskować na przykładzie Witalija, biura urządzają ci, którzy sami urzędują sobie niedrogo, ale gustownie. Urządzają za to gustownie i drogo.

Witalij zaproponował mi pięćdziesiąt sklepów, w których mogłabym sprzedawać maślankę. Wezwał menedżera kierującego tym działem sprzedaży.

Pozostawała tylko kwestia transportu.

Przestudiowałam warunki, na jakich dawali własny transport, i wróciłam do domu, żeby zadzwonić do zakładów mleczarskich. Zakłady mleczarskie również dysponowały własnym transportem. Ale nie wiedziałam, czy mają przepustkę do centrum Moskwy. I czy takie samochody potrzebują przepustki?

Przyjechała moja córka.

Mama przywiozła ją starym mitsubishi, który dzielnie prowadziła, narzekając na zepsutą klimatyzację, podartą skórę na fotelach, brak ABS-u, brak pamięci pozycji foteli, brak elektronicznego ustawiania lusterek... Za to miała CD.

Mama urodziła się na wsi.

Ja wychowałam się w niskim bloku na peryferiach Moskwy. Wstydziłam się nawet taksówkarzy, którzy odwozili mnie do domu.

Uważałam, że należy mieszkać w luksusowym apartamencie, chociaż nigdy nie widziałam takiego apartamentu na własne oczy. Ale z książek i z kina wiedziałam, o co chodzi.

Co innego moja córka. Dla niej to, że jedzenie gotuje kucharka, a dom sprząta sprzątaczką, jest równie naturalne jak wschód i zachód słońca.

Mama wystawiała torby z bagażnika i jednocześnie pouczała:

– Oszczędzaj psychikę Maszy. To wszystko i tak zbyt mocno nią wstrząsnęło.

„To wszystko”, czyli śmierć jej zięcia. Dziwne, przecież byłam tylko o rok młodsza od Maszy, kiedy mój ojciec zginął w wypadku samochodowym.

Wydawało mi się, że kto jak kto, ale matka powinna mnie teraz rozumieć.

Myślałam o mistycznym podobieństwie naszych losów. Jak rozerwać tę fatalną spiralę, jak nie dopuścić, żeby znowu powtórzyła się w życiu Maszy?

Chociaż był przecież jakiś postęp. W odróżnieniu od mamy nie byłam rozwiedziona.

– Postaraj się w ogóle nie rozmawiać z nią na ten temat – radziła matka, nie zwracając uwagi na obecność Maszy. – Jakby nic się nie stało.

To była jej podstawowa zasada wychowawcza: „Jakby nic się nie stało”.

Przyjechałam do nich na wieś, żeby je zabrać na pogrzeb Serża.

Całą drogę mówiłam sobie: musisz być opanowana. Na widok samochodu Masza wybiegła na wiejską ulicę, podskakując z radości na jednej nodze. Kiedy zobaczyła, że jestem sama, zapytała, gdzie tata. Ukłękłam przed nią i wybuchnęłam płaczem. Trzymałam ją za rękę i mówiłam, że tata zmarł. Że zdarzyło się wielkie nieszczęście. Z domu wybiegła mama, błyskawicznie zorientowała się w sytuacji i zabrała Maszę. Paplała: „Nie płacz, weź misia, zaraz dam ci jabłuszko, o tak, bardzo ładnie”.

„Płacz! – chciałam krzyknąć, widząc, jak moja córka z przerażeniem na twarzy gryzie jabłko. – Płacz! I zapamiętaj ten dzień na całe życie! Twój ojciec zasłużył na to, żebyś pamiętała!”

Pamiętałam dzień, w którym mama powiedziała mi, że ojciec zginął. Pamiętam tę chwilę. Przechodziłyśmy koło parkingu. Miałam siedem lat.

„Ojciec zginął. W wypadku samochodowym” – powiedziała mama, prowadząc mnie za rękę.

Zapamiętałam ten parking i panikę, w jaką wpadłam, patrząc na najzupełniej obojętną minę mamy. Chwilę później mówiła już o tym, co będzie na kolację.

Od tej pory mam duże problemy z okazywaniem emocji. Czasami nie jestem pewna, czy odpowiednio reaguję na to, co się dzieje. Czasami mam się ochotę roześmiać, ale nie wiem, czy wypada. A kiedy chce mi się płakać... Choć po śmierci Serża wszystko jakoś wróciło na swoje miejsce. Kiedy chce mi się płakać, płaczę i wiem, że mam do tego prawo.

Stałyśmy z Maszą objęte i machałyśmy odjeżdżającej mamie, dopóki samochód nie zniknął za zakrętem.

Masza czule obejmowała mnie w talii. Patrzyłam na nią z góry i myślałam, że teraz zostałyśmy tylko we dwie.

Córka patrzyła mi w oczy uważnie i z miłością.

– Powinnaś mnie stamtąd zabrać.

– Tak. Ale babcia nie pozwoliła. Masza rozumiała.

– Ale dlaczego oni zabili tatę? Myślałam, że zabijają tylko złych ludzi.

– Przecież znasz historię. Wiesz, że królów też zawsze zabijali.

– A tata był królem?

– Tak – powiedziałam. – Tata był królem. W jego żyłach płynęła królewska krew, na pewno.

– Jak to? – spytała Masza.

– Był i już. Tylko prawie nikt o tym nie wiedział. Ale mu zazdrościli. I w końcu zabili, żeby zająć jego miejsce.

Masza była taka malutka i jednocześnie taka dorosła. Niektóre sprawy rozumiała lepiej niż ja.

– To znaczy, że jestem królową? – zapytała po długim namyśle.

„Każde kłamstwo pociąga za sobą kolejne kłamstwa” – mówiła mi mama, kiedy byłam mała.

– Oczywiście. Jesteś królową. Poważnie skinęła głową.

Gadałyśmy do późnego wieczora. I zasnęłyśmy razem, na kanapie, objęte. Nad ranem zaniósł ją do swojego pokoju i ubrałam w różową pidżamę. Choć naturalnie królowy powinny sypiać w nocnych koszulkach.

Nazajutrz powiedziała, że chce się spotkać ze swoim przyjacielem, Nikitą, synem Weroniki. Zaprosiłyśmy ich w gości, a przy okazji jeszcze naszą sąsiadkę Olę. Córka Olgi, Polina, była rówieśniczką Maszy.

Dzieci szalały w wielkim nadmuchiwanym basenie, a my siedziałyśmy na szezlongach, mrużyłyśmy oczy w słońcu i opalałyśmy się chyba już ostatni raz w tym sezonie, sącząc przez słomkę drinki „mojito” – idealne na babie lato: odświeżająca mięta, baccardi, pełna szklanka tłuczonego lodu i gazowana woda mineralna. Moja gosposia świetnie przyrządzała drinki.

Dzieci rzucały w siebie plażowymi piłkami, piszczały i chlapały. Polina przyniosła ze sobą flakonik baniek mydlanych, płyn wylał się do basenu i teraz cała woda pieniała się i bąbelkowała.

Rozmawialiśmy o tym, która z nas ma najgłupszego kierowcę.

Na razie wygrywał kierowca Olgi. Olga opowiedziała, jak kupował owoce.

Wieczorem Olga zostawiła mu listę zakupów: „Kiść bananów, pięć brzoskwiń, trzy kiwi, dwa mango, jeden ananas i kiść winogron”. Miał kupić to wszystko rano, przywieźć i położyć na stole, zanim Olga zejdzie na śniadanie. Olga zaczynała dietę owocową. Nazajutrz, zaraz po przebudzeniu, w wyśmienitym humorze, postanowiła zjeść śniadanie na balkonie. Zajrzała do kuchni po swój koszyk owoców i zobaczyła na stole kiść bananów, pięć brzoskwiń, trzy kiwi, jednego ananasa, kiść winogron i dwa bakłazany. „A gdzie mango?” – zapytała. „Nie było” – odpowiedział kierowca i skruszony rozłożył ręce.

Weronika powiedziała, że jej kierowca wyciął jeszcze lepszy numer.

Kierowca Weroniki codziennie rano przychodzi wyprowadzić na spacer jej szpica Cedryka (zdrobienie od Cydr) i zawieźć gospozię na rynek. Kiedy wracają, Weronika akurat się budzi i układa plan na resztę dnia: odwiedzić dzieci, skoczyć do pralni chemicznej, oddać buty do szewca itd. Tego dnia gospościa zachorowała. Kierowca przyszedł, wyprowadził psa, po czym zaspana Weronika wręczyła mu listę zakupów i wysłała do sklepu „Siódmy kontynent” w Kryłackim.

Lista wyglądała następująco:

parówki czerkizowskie – 2 kg śmietana – jedno opakowanie majonez – dwa opakowania ziemniaki – 5 kg Vanish do tkanin kolorowych płyn do mycia naczyń Palmolive mięso dla Cedryka (rosołowe)

Dała kierowcy listę i poszła dalej spać. Godzi• nę później zadzwonił telefon. Kierowca poinformował:

– Weroniko Andriejewno, kupiłem parówki, śmietanę, majonez, ziemniaki, Vanish, Palmolive i rosółowe, nie kupiłem tylko mięsa dla Cedryka.

– Że co? – nie rozumiała zaspana Weronika.

– Kupiłem parówki, śmietanę, majonez, ziemniaki, Vanish, Palmolive i rosółowe, nie kupiłem mięsa dla Cedryka.

– Że co? – dalej nie rozumiała Weronika.

– Kupiłem parówki, śmietanę, majonez, ziemniaki, Vanish, Palmolive i rosółowe, nie kupiłem mięsa dla Cedryka.

– Kupiłeś rosółowe?

– Kupiłem. Nie kupiłem tylko mięsa dla Cedryka. Wszystkich pytałem, ale nikt nie miał takiego.

– Słuchaj – Weronika zawiesiła głos, rzucając w duchu mięsem dla Cedryka. – Cedryk to pies, którego codziennie rano wyprowadzasz na spacer. To dla niego kupiłeś rosółowe.

Kierowca Weroniki zajął pierwsze miejsce. Natomiast kierowcy Olgi przyznałyśmy nagrodę pocieszenia.

Zapytałam Weronikę, co tam u Świetlany. Weronika spojrzała na mnie zdumiona i aż usiadła na szezlongu.

– Myślisz o niej?

– Nie – wzruszyłam ramionami. – Tak tylko zapytałam.

Już wiele razy zauważyłam, że kiedy tylko włożę elegancką sukienkę wieczorową, zrobię sobie wystrzałowy makijaż i uczeszę włosy u najlepszego fryzjera w mieście, nie mam najmniejszych szans na jakąkolwiek romantyczną przygodę. Mężczyźni będą rzucali łapczywe spojrzenia ponad moją głowę, i tylko błyski w oczach kobiet wynagrodzą mi całą tę inwestycję.

Już dwie minuty rozpaczliwie naciskałam klakson, siedząc w samochodzie na stacji benzynowej. Nikt nie podchodził, żeby mi nalać benzyny. A miałam pusty bak i nie mogłam odjechać.

Złapałam pistolet w dwa palce i jakoś mi się udało trafić nim do baku. Nacisnęłam spust. Zapłaciłam.

Minęły lata od czasu, kiedy sama tankowałam samochód. Teraz sprawy wyglądały znacznie lepiej. Zazwyczaj niczym w nic nie musiałam trafiać i nie śmierdziało.

Nacisnęłam na gaz i wyjeżdżając ze stacji, zauważyłam biegnącego człowieka. Machał rękami i podskakiwał. Machał wyraźnie w moją stronę.

Pewnie zapomniałam wyciągnąć wąż z baku.

Sprawdziłam. Nie, wszystko OK.

Chciałam jechać dalej, ale mężczyzna, łysy i uśmiechnięty, zdążył do mnie podbiec.

– Uff, już myślałem, że pani nie dogonię.

– Co? – takim tonem nauczycielka żąda wyjaśnień od ucznia, który dwudziesty ósmy raz w tym miesiącu spóźnił się na lekcję.

– Bardzo mi się pani podoba.

– Coś takiego – chciałam zatrzasnąć drzwi, ale on mocno je trzymał.

– Naprawdę. Dawno już nic takiego mi się nie zdarzyło.

– Współczuję.

– Proszę zostawić mi swój telefon.

– Niech pan powie coś, co mnie do tego skłoni. Uśmiechnęłam się bezczelnie.

Był zdumiony.

– Proszę posłuchać. Od dziesięciu lat nie biegłem za żadną dziewczyną. I kiedy biegłem, myślałem, że to wystarczy.

– Może wystarczyłoby na jakimś stadionie...

– Ale nie za takim drogim samochodem?

– Co, już się pan wystraszył?

– Nie! Jak pani ma na imię? Może zjemy razem obiad?

– Gdzie?

– Lubi pani „Czekoladkę”?

– Nie – snobizm bogatej kobiety.

– A gdzieś za miastem? Może w „Wiejskiej Werandzie”?

To tuż obok mojego domu. Niezłe jedzenie.

– Miał pan tylko jedną szansę. I nie wykorzystał jej pan.

Zatrzasnęłam drzwi. Nie rzucił się pod koła. Było mi głupio, że tak od razu zrezygnował. „To przez ten botoks” – pomyślałam i poczułam się lepiej.

* * *

Siedziałyśmy w nocnym klubie „Bazar”, niedaleko mojego domu na wsi. Z tarasu na piętrze można było obserwować wszystko, co się działo na dole. Podjeżdżały samochody i wysadzały pasażerki przy supermarkecie; do klubu przychodziły stateczne pary małżeńskie; szesnastolatki szalały na kładach; staruszki sprzedawały drożdżówki i opowiadały samotnym mężczyznom, że ich wnuczki to dopiero potrafią. W otwartych bagażnikach samochodów popiskiwały, tuląc się do siebie, puszyste szczeniaki – też je tu sprzedawano, drogo i w dobre ręce. Słowem, życie toczyło się jak zwykle, a my z Leną obserwowałyśmy je leniwie, nawijając na widelce papardelle z prawdziwkami.

– Patrz – Lena wskazała mi coś widelcem. – Wika idzie do sklepu. Przecież miałaś uczyć Maszkę pływać.

Za szklanymi drzwiami sklepu zniknęła wysportowana dziewczyna z krótkimi włosami.

– Miałam. A co?

Lena wytarła usta serwetką, jednocześnie wystukując jakiś numer na klawiaturze telefonu.

– Halo, Wika! Czy to nie twój wypasiony 624--TN minął mnie właśnie na Rublowce? Z przodu siedziało dwu czarnuchów, dobrze widziałam?

Lena zrobiła rozczarowaną minę. Pewnie liczyła na to, że Wika wrzaśnie „Zakosili!” i spanikowana wybiegnie ze sklepu.

– A... Czyli tylko mi się zdawało... Słuchaj, właśnie parkujemy pod nowym klubem, może skoczysz z nami na herbatę i makaron? O, świetnie, kochana, super. To czekamy.

– Nie dała się nabrać – wesoło skonstatowała Lena. – Ma w samochodzie dwu facetów. Zaraz podrzuci ich do domu i przyjdzie.

– A co to ma wspólnego z pływaniem Maszy? Lena zrobiła tajemniczą minę.

– Zaraz się dowiesz.

Zamówiłyśmy deser. Mieli tu genialną szarlotkę. Akurat na tę porę roku – koniec lata. Ciężka sprawa, w maju czy czerwcu nie ma mowy o deserach, szkoda figury przed sezonem. Ale teraz już można.

Przyszła Wika. Obok, nie odrywając od niej oczu, kroczył wysoki chłopak, świetnie umięśniony i z drogą, modną fryzurą.

– Poznajcie się – powiedziała śpiewnie Wika z leciutką wyższością w głosie. – To jest Denis.

Pocałowała po kolei mnie i Lenę; potem to samo zrobił Denis. Przysunął jej krzesło. Wika

tymczasem zdążyła upomnieć kelnera:

– Coś mi się zdaje, że włączyliście klimatyzację na pół gwizdka.

Pogadałyśmy o wystroju klubu (sporo by można zmienić) i przejrzałyśmy menu. Wika zamówiła jedzenie dla siebie i dla Denisa.

Denis powiedział:

– I tak zrobisz to lepiej ode mnie. To tak przyjemnie, kiedy obok jest człowiek, któremu można we wszystkim zaufać.

Tak otwarcie adorował Wikę, a ona przyjmowała to z takim wdziękiem, że zawiść wszystkich naokoło mieli już jak w banku.

– Wika wspominała, że trenuje pan pływaków? – zaczęła Lena delikatnie, odczekawszy, aż Denis skończy jeść.

– Owszem. Jestem międzynarodowym mistrzem pływackim – powiedział to tak zwyczajnie i z taką dumą, jakby chodziło o pola naftowe.

Sytuacja zaczęła się klarować.

– Międzynarodowym? – piała Lena. – Czyli jeździł pan za granicę, kiedy my wszystkie spędzałyśmy jeszcze wakacje w jakimś Dagomysie?

– Nie – odgryzła się Wika. – Kiedy spędzałyśmy wakacje w Dagomysie, Denis jeździł na kolonie ze swoim przedszkolem. I nosił pampersy.

Denis zrezygnował z zemsty w rodzaju: „Ależ moja droga, przesadzasz, byłem wtedy co najwyżej studentem”.

Lena natomiast szła za ciosem:

– Nawet ubranie nosi pan sportowe. Ciekawe, jakie marki preferują sportowcy? Nike? Adidas?

– Adidas. W każdym razie ja – Denis uśmiechnął się równiutkimi białymi zębami. – Ale w takich lokalach wolę coś bardziej klasycznego.

Wika była wyraźnie zadowolona ze swojego protegowanego. Z miną szczęśliwej i wyłącznej właścicielki zanurzyła dłoń w jego włosach.

– Gdzie się poznaliście? – z twarzy Leny nie schodził jadowity uśmieszek.

„Biedna Wika – pomyślałam – ale się nasłucha za ten głupi megalians!”

Ale Wika nie wyglądała na biedną.

– W klubie sportowym, gdzie ćwiczę – patrzyła zadowolona na Denisa. Tak ludzie patrzą na walizki, kiedy je rozpakowują po powrocie z egzotycznych krajów. – Denis jest tam trenerem.

Lena otworzyła usta, żeby zapytać, czy czasem nie trenował Wiki, ale ta zmroziła ją spojrzeniem.

– Podszedł do mnie na ulicy. W jednej ręce miałam torebkę, w drugiej tenisówki, próbowałam otworzyć samochód, żeby upchnąć w nim to wszystko, a na dodatek dzwonił telefon. Koszmar. Denis mi pomógł i poszedł sobie. Ale ja zaczęłam o nim myśleć.

Denis wybuchnął śmiechem.

– Zobaczyłem najpiękniejszą kobietę świata w takiej głupiej sytuacji. Z torebki coś się sypało, telefon dzwonił jak wściekły, a ona za nic nie mogła otworzyć samochodu.

Było im dobrze razem.

Trudno, on nie ma pieniędzy, a ona nie jest już najmłodsza. On kocha sport, a sportowcy zarabiają marnie. Ona trzy razy wychodziła za mąż i trzy razy się rozwodziła; z dwu ostatnich małżeństw miała dzieci. Byli mężowie płacili alimenty, więc niczego jej nie brakowało. Chyba tylko takich zachwyconych oczu i muskularnych ramion. Po miesiącu znajomości Denis przeprowadził się do domu Wiki, do przytulnego pokoiku na parterze, koło łaźni. Przy łaźni był basen, w którym uczył pływać dzieci Wiki.

Byli ze sobą tak szczęśliwi, że obie z Leną poczułyśmy się zbędne.

Jednak kiedy tylko wspomnialiśmy, że pora już na nas, Wika tak serdecznie poprosiła, żebyśmy zostały, że zostałyśmy i nawet zamówiły butelkę wina.

Patrzyłam na Lenę i usiłowałam przypomnieć sobie, do kiedy jest ważna moja karta do klubu sportowego. Miałam ochotę na odrobinę sportu. – Lena, sądząc po minie, również.

* * *

Wylegiwałam się na kanapie przed telewizorem. Naciskałam guziki pilota i co sekundę zmieniałam program.

Chciałam obejrzeć wszystkie bloki reklamowe i sprawdzić, kiedy najlepiej puszczać moją reklamę. Na razie nic mi się nie podobało. Chociaż ci, którzy wkrótce zabiorą się do robienia naleśników na mojej maślanecy, pewnie oglądają meksykańskie seriale. No i rosyjskie. Usłyszałam sygnał teleturnieju „Jaka to melodia”. To jest to, mają wysoką oglądalność. A inne? Nie wiem. Lepiej się z kimś skonsultować. Na trójce idzie kronika kryminalna. Ludzie to lubią. Będą oglądali zakrwawione trupy. I przegryzali naleśnikami.

Zastygłam nieruchomo.

Na ekranie zobaczyłam zbliżenie twarzy Fetyszysty. Martwego.

Czy to się dzieje naprawdę?

Jakbym nie siedziała na tej kanapie i jakby to nie do mnie głos zza kadru mówił o kolejnym bestialskim morderstwie.

„Porachunki mafijne” – tak prowadzący zatytułował reportaż. Ofiara: taki a taki, trzydzieści dwa lata, kawaler, poszukiwany listem gończym z paragrafu takiego a takiego za zabójstwo z premedytacją, a wcześniej jeszcze z innych paragrafów za napad z bronią, rozboje i afery finansowe. Zamordowany z wyjątkowym okrucieństwem.

Zrobiło mi się niedobrze i nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Ale nie pobiegłam do łaźienki. Siedziałam jak zahipnotyzowana i wpatrywałam się w ekran, żeby nie uronić ani jednego słowa.

Zwymiotowałam we własne ręce, po czym wytarłam je w koc.

Stałam pod gorącym prysznicem. Łzy mieszały się z wodą, traciły słony posmak. Coś

krzyczało mi w uszach, coś tłuło się w mojej piersi i wrywało na zewnątrz. Ale byłam twarda, nie puszczałam. Wiedziałam: jeśli raz wypuszczę, to koniec. Nie potrafię z tym żyć. Nie potrafię bawić się z córką, pić majito, jeździć samochodem ani opalać się na słoneczku, bo świadomość bycia mordercą gasi wszelkie szczęście. Dlatego ukryję tę świadomość głęboko i będę żyła dalej. Długo i szczęśliwie.

Zadzwoił telefon. Wyświetlił się numer Olesia. Podniosłam słuchawkę, ale nic nie powiedziałam.

– I co, widziałas? – zapytał wesoło Oleś.

– Tak – odpowiedziałam głucho. Miałam wrażenie, że dopiero uczę się mówić i że to moje pierwsze słowo.

– No. Czyściutka robota. I dowiedział się, za co, tak jak chciałaś.

Odłożyłam słuchawkę. Potem do niego zadzwoniłam.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Że co? – zdziwił się Oleg.

Długo i szczęśliwie. Czyściutka robota. W nocy nie mogłam zasnąć. Rano kupiłam proszki nasenne.

Zadzwoiłam do Świetłany.

– No, jak tam?

– Dziękuję. Toksykoza minęła. Ale lekarze mówią, że jest niebezpieczeństwo wcześniejszego porodu.

Chciałam zadać jej tylko jedno pytanie. Ale nie zadałam. Chyba była zadowolona z mojego telefonu i mówiła bez przerwy.

– Jestem w dwudziestym ósmym tygodniu. Teraz kształtuje się zmysł powonienia. Staram się unikać miejsc, w których brzydko pachnie. Głupio, prawda?

– Głupio – przytaknęłam.

– Wiesz, ma już około szesnastu centymetrów. Na USG zrobili mi jego zdjęcie. Wykapany Sierioża. Przepraszam... może cię uraziłam.

– Nie, w porządku.

W końcu zadałam zasadnicze pytanie:

– To chłopiec?

– Tak, teraz już wiadomo na pewno. Na zdjęciu dokładnie widać.

– Jak mu dasz na imię?

Chciałam rzucić słuchawką, zostawić to wszystko w cholere, ale nie potrafiłam. Rozmawiałam z nią i sama nienawidziłam się za to.

– Sierioża. Na pamiątkę po ojcu. Oj, kopnął. Zawsze reaguje na swoje imię.

– Masz pieniądze?

– Dostaję pensję. Ale co to za pieniądze.

– Przywiozę ci trochę. Daj swój adres. Mieszkała na Babuszkinińskiej. Nie znałam takiej ulicy. Zapisałam adres i odłożyłam słuchawkę.

Pozostawał jeszcze jeden telefon. Miałam pewien dług.

Zadzwoiłam do Olega. Od kroniki kryminalnej minął już tydzień.

– Nie mogę spotkać się z tobą dzisiaj – powiedział jakimś pretensjonalnym tonem. – Jutro też nie. Może pod koniec tygodnia... – Miałam wrażenie, że sprawdza terminarz w laptopie. – Tak, niech będzie w przyszły poniedziałek, zadzwoń do mnie jeszcze, wstępnie wpisuję cię na drugą. To co, jesteśmy umówieni?

Zatkało mnie. Gdzie on się tego nauczył? Włożył do kieszeni moje dwadzieścia pięć tysięcy i poczuł się wielkim ważniakiem. I teraz bawi się w oligarchę. Pewnie do poniedziałku zatrudni sekretarkę. Zabawne.

Nie było łatwo znaleźć dom Świetłany. Chamowniki zdawały mi się po prostu Manhattanem w porównaniu z ulicą Babuszkinińską. Jakaś sfiksowana staruszka na pasach uderzyła drewnianą laską w mój reflektor. A potem odwróciła się i pogroziła pięścią. Nie byłam pewna, czy reflektor

ocalał, ale bałam się wysiąść z samochodu i sprawdzić. Zresztą co niby mogłam zrobić tej starej? Najwyżej dać jej pieniądze. Kiedyś kupiłam u takiej staruszki pod supermarketem trzy wyschnięte pęczki jakichś ziół. Staruszka była taka wzruszająca. Obwiązała pęczki wstążeczką i zapewniała mnie, że to specjalny zestaw do kiszenia ogórków. Wyobraziłam sobie, jak zbierała je gdzieś tutaj, na podwórku za blokiem, długo i uczciwie zastanawiając się, co by tu jeszcze dodać – wachała gałązki drzew i myślała, ile może kosztować taki pęczek. Nigdy nie kisiłam ogórków i nie miałam zamiaru tego robić. Kupiłam wszystkie trzy pęczki, po dziesięć rubli za sztukę, nie targowałam się. Położyłam na tylnym siedzeniu, żeby nie wyrzucać do kosza na jej oczach. Odjechałam jakieś dwieście metrów i okropnie zachciało mi się płakać. Zawróciłam i pojechałam szukać staruszki; w końcu wypatrzyłam ją na chodniku. Szła cała zadowolona z siebie i swojego pomysłu. Podbiegłam do niej: „Proszę to wziąć, bardzo proszę” – wepchnęłam jej w dłoń pieniądze. Podziękowała, a potem długo za mną patrzyła, zdumiona i bezradna.

Świetlana mieszkała na czwartym piętrze bez windy. Miałam wrażenie, że nikt poza nią nie mieszka w tym zrujnowanym budynku.

– No co ty – powiedziała – to jeszcze całkiem porządny blok, patrz, mam nawet wodę.

I zademonstrowała mi, że kran działa jak należy. Siedziałyśmy w kuchni, to znaczy siedziałam ja, bo byłam gościem, a taboret Świetlana miała tylko jeden. Jeden taboret i jeden stół. Chociaż właściwie trudno było nazywać to coś stołem.

Po lewej, zaraz za wejściem, były drzwi do pokoju, ale zamknięte. Miałam nadzieję, że nie będę musiała zwiedzać tej części mieszkania.

Świetlana nalala herbaty i wysypała pierniki na biały, bez zbędnych ozdób, talerzyk. Miała na sobie dzinsowe ogrodniczki i jaskrawo-pomarańczową koszulkę. Spięte w długi koński ogon włosy upodabniały ją do ciężarnej kangurzy.

– Chcesz dotknąć? – zaproponowała, przyciągając moją rękę do brzucha.

– Nie – uśmiechnęłam się uprzejmie, żeby jej nie urazić.

Wiedziałam już, że Serż nigdy tutaj nie był.

– Gdzie poznałaś mojego męża? – spytałam chłodno.

Świetlana chwilę milczała, a potem uparcie pokręciła głową.

– Przepraszam – powiedziała dumnie. – Nie będę o tym mówiła, Serż by tego nie chciał. I nie jestem pewna, czy zaczęłabyś lepiej o nim myśleć. Z wysokości tej swojej wieży mogłabyś mieć do niego pretensje. Ja nie mam. Przecież go kocham – urwała i splotła ręce na brzuchu, typowym gestem wszystkich ciężarnych.

„Co za suka” – pewnie miałam to wypisane na twarzy, bo odwróciła wzrok.

Byłam wściekła. Na co ona sobie pozwala, ta dziwka, ta cichodajka, ta idiotka?

– Jasne – próbowałam się uśmiechnąć. Jeszcze tylko awantury brakowało mi w tym koszmarnym domu. – Pyszna herbata.

Przypomniała mi się Katarzyna Wielka. Kiedy dworzanie wyprowadzali ją z równowagi, nabierała wody w usta. Żeby nie krzyżeć. I często robiła to jeszcze przed audiencją. Wspaniała

kobieta. A księżnę Tarakanową wykończyła w Twierdzy Pietropawłowskiej. Tarakanową była w ciąży...

– Jaśminowa – Swietłana pokazała mi pudełko.

Dokładnie taką herbatę kupowałam sobie do domu. Droga, ale fantastycznie aromatyczna.

– Kiedy poród?

– Za cztery miesiące.

Wyciągnęłam z torebki pieniądze w bankowej banderoli.

– Weź. I wynajmij sobie jakieś mieszkanie, dobrze? Przecież nie możesz przywieźć tutaj dziecka.

Miałam na myśli dziecko Serża.

Prawie całowała mnie po rękach. Było mi trochę głupio, ale przyjemnie. Zebrałam się do wyjścia i na pożegnanie rzuciłam jej całkiem szczery uśmiech. Obiecała zadzwonić w przyszłym tygodniu.

Łaska boska, mój samochód stał na podwórku nietknięty.

Zadarłam głowę, pewna, że zobaczę w oknie brzuch Swietłany. Okna były puste. Nawet bez firanek.

W poniedziałek zadzwoniłam do Olesia. O dziwo, odebrał sam. Widać zabawa już mu się znudziła, pomyślałam.

Umówiliśmy się na drugą, tam gdzie zwykle.

Przyjechałam spóźniona o dwadzieścia minut, więc uznał, że powinien mnie upomnieć.

Bardzo się zmienił. Gdyby nie wieloletnia znajomość, pewnie wzięłabym go za energicznego biznesmena, człowieka sukcesu. Pojawiło się w nim coś nieuchwytnego w szczegółach, ale doskonale wyczuwalnego w całości, coś, co wyraźnie mówiło wszystkim dookoła: jestem pewny siebie i osiągnąłem sukces.

Zachwyliła mnie ta nagła przemiana. Nie ukrywałam tego. Zdawało mi się, że nawet stalowe zęby nieco wyszlachetniały.

Oleś chyba czytał w moich myślach.

– Od czwartku biorę się za zęby – powiedział, kłapiąc szczęką. – Dotąd po prostu nie miałem czasu.

– A co robiłeś? – nawet nie ukrywałam, że trochę się z niego nabijam. – Jakies hurtowe zamówienie?

– Spotkałem kolegę z klasy, Kolę – Oleś zignorował moje pytanie. – I teraz razem pracujemy.

– Czyli kim jesteś?

– Sam nie wiem. Kimś pośrednim między szefem ochrony a osobistym sekretarzem... Każdy potrzebuje swoich ludzi, rozumiesz?

Rozumiałam. Też by mi się tacy przydali. Tylko skąd ich wziąć?

– To ten Kola z gazety?

– Tak. Świetny chłopak. Tylko kręci się przy nim kupa sępów. Żrą na jego rachunek.

– A... – skądś to znałam. Oleg podał mi kartę:

– Co ci zamówić?

Bez mrugnięcia okiem przyjąłem nowe zasady gry.

– Sok mandarynkowy. I sałatę z awokado i krewetkami.

Oleg gestem przywołał kelnera. Złożył zamówienie.

– Gdzie znalazłeś tego kolegę z klasy?

– O, to cała historia. Najpierw dzwoniłem do jego biura. Ale nie chcieli mnie z nim połączyć. Pięć razy próbowałem. W końcu musiałem zorganizować wieczór klasowy. Znalazłem prawie wszystkie telefony. Wiesz, trzymamy się razem. A najważniejsze, że znalazłem jej telefon.

– Czyj?

Nie spodziewałam się, że Oleg jest taki operatywny.

– Sońki Piętrowej. Strasznie się w niej kochał. A ona skończyła dziesiątą klasę i zaraz wyszła za męża. Za chłopaka z równoległej klasy. A Kola przez całe studia za nią tęsknił. Namówiłem Sońkę, żeby do niego zadzwoniła. Też jej nie połączyli, ale on zaraz oddzwonił. W ciągu pięciu minut. Zapytała, czy mógłby pomóc w organizacji spotkania. Gdybyśmy go tak po prostu zaprosili, pewnie by nie przyszedł. Ale nie mógł powiedzieć, że jej nie pomoże. No i we trójkę wszystko przygotowaliśmy. Wyszła świetna impreza. Kola wynajął wielki jacht. Od razu wiedziałem, że to wszystko tylko dla Sońki. I pomagałem mu, chociaż udawałem, że nic nie widzę. A on to docenił.

– I co? – zapytałam, ostrząc sobie zęby na jakąś pikantną love story. – W nocy na statku, w świetle gwiazd, wreszcie wyznał jej miłość?

– Nie. Posiedział na statku pół godziny i zszedł na brzeg. Wystarczyło, że popatrzył na naszych kumpli z klasy i zaraz zrozumiał, co z nich wyjdzie po wszystkich tych whisky i rumach. Poszedłem za nim. A ona została. Była już wtedy pijana i nie chciała rezygnować z imprezy, idiotka. A my napiliśmy się w jego samochodzie. I on też powiedział: „Idiotka, albo w ogóle nic już z tego nie rozumiem”.

– Idiotka – potwierdziłam. – Chyba że on jest jakiś potwór.

– Żaden potwór! – obraził się Oleś.

– Dobra, dobra – znowu mnie rozbawił. Oleś rzucił okiem na zegarek.

– Spieszysz się? Chciałabym jeszcze wypić kawę.

– Nie, nie, w porządku. Po prostu mam spotkanie. Wiesz, on bierze udział w akcjach dobroczynnych. Co miesiąc przelewa pieniądze. Muszę przejrzeć parę rachunków. Pewnie wszystko jest czyste, ale na wszelki wypadek... Mieliliśmy już drobny incydent... na szczęście wszystko załatwiłem. Winni zostali ukarani.

– Nie wątpię.

Podaliśmy mu pieniądze zawinięte w foliową siatkę.

– Masz. Dwadzieścia pięć. Skinął głową.

– Jak będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń – powiedział.

– OK.

„Pieniądze psują ludzi dopiero po jakimś czasie. A na początku czynią ich lepszymi – myślałam. – Chociaż może zepsutych ludzi nic nie może już bardziej zepsuć”.

– Słuchaj, kto to jest Wowa Szczur? – zapytał mnie nagle Oleg.

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami. – A powinnam wiedzieć?

– Nie.

Do restauracji weszła dziwna para: on w podkoszulku, ona w brylantach. „Ciekawe, możezabili jej męża?” – pomyślałam.

– Jakiś palant – ocenił błyskawicznie Oleg. – Nietutejszy.

Chłopak w podkoszulku zamówił whisky Blue Label. Raczej nie za jej pieniądze. Dolatywały do nas strzępki ich rozmowy. Kilkakrotnie usłyszeliśmy: Czeczenia.

– Pewnie wrócił z wojny – powiedział Oleg. – Wszyscy wracają stamtąd jacyś zakręceni.

Kierowca otworzył szeroko drzwi nowiutkiego mercedesa. Oleś pomachał mi na pożegnanie, wrzucił na siedzenie siatkę z pieniędzmi, a potem wsiadł sam. Okna były przyciemniane, ale wyobraziłam sobie, jak przygryza cygaro i chwyta pilota od telewizora. A może nie miał telewizora w samochodzie?

Kampania reklamowa maślanki „Naleśniki Babuni” składała się z dwunastu wejść dziennie na czterech programach trzydziestosekundowego klipu; z tego pięć wejść w najlepszym czasie na trzech najlepszych programach. Ponadto jako bonus dwa razy dziennie na każdym programie szedł piętnastosekundowy klip, wersja mini. Do tego czterdzieści billboardów przy głównych ulicach miasta. I trzydzieści tysięcy plakatów rozlepianych w centrach handlowych. I całostronicowe artykuły w „Kommiersant Daily” i „Wieczorze Moskwy”. Maślanka „Naleśniki Babuni” została oficjalnym sponsorem trzech edycji programu „Na zapas”. Budżet trzymiesięcznej kampanii reklamowej wynosił milion dolarów USA.

Podpisałam z siecią sklepów „Mospan” umowę na transport towaru z zakładów mleczarskich i sprzedaż.

Podpisałam z zakładami mleczarskimi w Lubiercach umowę na dostawę dziesięciu ton maślanki dziennie oraz umowę dzierżawy sześciuset metrów kwadratowych powierzchni przemysłowej.

Kupiłam maszyny do pakowania maślanki i ustawiłam je w pomieszczeniach wdzierżawionych od zakładów mleczarskich.

Zatrudniłam pięćdziesięciu ludzi. Znalazłam technologa, który pracował nad wydłużeniem okresu przydatności do spożycia, co pozwoliłoby na trzydziestoprocentowe obniżenie kosztów.

Zastawiłam w banku swój dom na dwadzieścia procent rocznie, bo nie miałam aż tak dużo pieniędzy.

Wyjeżdżałam z domu wcześniej rano i wracałam jeszcze wcześniej rano.

Byłam tak zmęczona, że któregoś dnia zgubiłam się na obwodnicy. Siedziałam w samochodzie na poboczu i płakałam, bo nie wiedziałam, jak trafić do domu.

Myślałam wyłącznie o maślanec. Sama nie wiem, kiedy przestałam wspominać Serża. Któregoś dnia nie pomyślałam o nim ani razu. Dotarło to do mnie dopiero w nocy, kiedy przyłożyłam głowę do upragnionej poduszki. „Wyjdę jeszcze za mąż. I urodzę dwójkę dzieci” – pomyślałam, niewykluczone, że już przez sen.

Interes stale trzeba było mieć na oku. Rozlać i rozwieźć do sklepów dziesięć ton maślanki dziennie. Podpisać faktury. Sprawdzić horrendalną stertę dokumentacji. Co chwila jeździć do jakiegoś Biriulewa i wykupywać samochód z łap milicji. Odpisywać koszty nie sprzedanych a przeterminowanych już resztek towaru. I następnego dnia wszystko od początku.

Po trzech tygodniach któregoś poranka po prostu się nie obudziłam. Nie obudziłam się również w południe. Dopiero następnego dnia. Tak przerażona byłam chyba tylko na widok swojej twarzy po botoksie. Pognałam do telefonu. Usłyszałam, że wszystko OK, nie było żadnych kłopotów. Wyznaczyłam sobie godziny pracy: od ósmej rano do szóstej po południu. I ani chwili dłużej. I wolne weekendy. Po czym pojechałam do pracy. Był czwartek.

Siedziałam na ławeczce przy grobie Serża.

Patrzyłam tam, gdzie kończyły się sosny i zaczynało niebo. Gdzie kończyło się nasze życie i zaczynało inne.

Dotykałam jego warg na zimnej bryle marmuru i paraliżowała mnie samotność.

„Nigdy – to znaczy śmierć”.

„Tęsknię za tobą, Serż” – szeptałam jak modlitwę.

„Tęsknię za tobą, Serż!” – krzyczałam z całych sił, a każdy grób odpowiadał mi echem.

„Tęsknię za tobą, Serż!” – i wszystko we mnie w środku rwało się, pękało i ulatywało tam, gdzie kończyły się drzewa.

Było coś jeszcze. Coś ważnego. Pomiędzy nim i mną. „Pomściłam cię” – wyszeptały bezgłośnie moje wargi.

Znowu byliśmy sobie bliscy. Znowu byliśmy razem. Nawet po jego śmierci nasze dusze trzymały się za ręce.

Wsiadłam do samochodu jak automat. Równie dobrze mogłabym wsiąść na obłok albo na wielbłąda.

W kieszeni zaczął wibrować i zaraz potem dzwonić telefon.

Numer Weroniki średnio mnie ucieszył, jednak telefon nie dawał za wygraną.

– Halo – wyszło trochę ochryple. Ale przecież nie zamknę się w sobie, nie ucieknę od świata?

– Gdzie jesteś? – zapytała podejrzliwie Weronika.

– Na cmentarzu Wagańkowskim. Już wyjeżdżam.

Uczciła minutą ciszy coś, czego nawet nie potrafiła ubrać w słowa. To znaczy pamięć Serża.

– A ja siedzę sama...

– Coś się stało? – zaniepokoił mnie jej ton.

– Igor już trzecią noc nie spał w domu. „Znowu” – pomyślałam.

– Dzwonił?

– Dzwonił. Rozmawiał z gosposią. Gadał jakieś bzdury. O białej dyplomatce. Naćpał się czy jak?

– Ale co o białej dyplomatce?

– Wyciągnij, mówi, z kotłowni moją białą dyplomatkę i sweter narciarski. Przygotuj to wszystko, przyjadę i zabiorę.

– Weronika, jaką znowu białą dyplomatkę? Skręciłam na wylotówkę z miasta, w stronę domu Weroniki.

– A skąd mam wiedzieć? Nigdy nie miał żadnej białej dyplomatki!

– No to nieźle! – ubawiła mnie cała ta historia. – Ale na wszelki wypadek sprawdziłaś w kotłowni?

– Pewnie, że sprawdziłam! – wrzasnęła Weronika. – Niech no tylko wróci! Ja mu dam dyplomatkę, ja mu dam sweter!... – Chlipnęła raz i drugi, ale zaraz się opanowała. – Koszmar!

Co za idiota!

Podjechałam pod dom Weroniki jednocześnie z Nikitą. Kierowca przywiózł go ze szkoły.

– No, jak tam? – zapytałam rówieśnika Maszy.

– Super. Zaraz ci pokażę, co dziś narysowałem – otworzył tornister, z tornistra wysypały się zeszyty; zaczął je zbierać, upuścił worek z kapciami prosto w kałużę.

– Szybko, pozbieraj to! – krzyknął do mnie Nikita. – Pójdę, powiem coś mamie, może nie zauważy!

Zebrałam zeszyty i weszłam do domu.

W holu stała moja przyjaciółka i strofowała syna. Okazało się, że przyjechał czterdzieści pięć minut za późno i teraz nie zdąży na angielski.

– Szukałem tornistra – tłumaczył się Nikita.

– Dziewuchy mi schowały.

– Nie dziewczuchy, tylko dziewczynki! – krzyczała Weronika.

– No, dziewczynki... – już szedł do kuchni, do nakrytego stołu.

– Cała twoja rodzina czegoś dzisiaj szuka, jak nie dyplomatki, to tornistra – zauważyłam.

– Koszmar – Weronika teatralnie wzniosła oczy do nieba. – Potwory.

Zamknęłyśmy się w gabinecie, żeby choć przez chwilę nie słyszeć tego wszystkiego.

– Koszmar – powtórzyła Weronika, zasuwając zasłony.

– I co teraz zrobisz? – zainicjowałam konstruktywny dialog.

– Nie wiem – usiadła w fotelu i wbiła wzrok w czubki swoich butów.

– Wyrzucisz go?

– Wyrzucę. Koniec. Dostyc tego dobrego. I niech wszystko zabiera, nic od niego nie potrzebuję.

Słyszałam to średnio trzy razy w miesiącu. Zawsze z tego samego powodu i w tej samej poetyce.

Byli ze sobą już piętnaście lat. Kochała go, i on o tym wiedział.

– Tak właściwie to on cię kocha... – powiedziałam.

– Nic nie potrzebuję. Ani jego miłości, ani w ogóle nic – jednak się rozplakała. – W nocy cały czas myślę, gdzie on jest? Z kim? Kiedy to wszystko się skończy?

Głaskałam ją po głowie i sypałam banałami.

– On tego tak nie zostawi – chlupała Weronika. – Zabierze mi dzieci. Wszystko mi zabierze...

– To dlatego, że cię kocha. A ty jego... Ile już razy mu wybaczałaś?

– Koniec! Nigdy więcej!

Plakała jak bóbr, nie przejmując się tym, że słyhać ją w całym domu.

Ja oczywiście też miałam wilgotne oczy.

Z konstruktywnego dialogu nic nie wyszło.

– Ale jaka biała dyplomatka? – nie mogła się uspokoić Weronika. – Jaki sweter narciarski? Po co mu to? I specjalnie zadzwonił o szóstej rano, wiedział, że o tej porze odbierze gosposia...

Może gdzieś wyjeżdża?

– Aha. W góry, na narty. Z białą dyplomatką. Którą dotąd ukrywał w kotłowni. A potem ją wykradli, na pewno znaleźli mapy najlepszych stoków... Weronika, przecież to jakieś bzdury!

Na stole zadzwonił telefon. Popatrzyłam na zapłakaną przyjaciółkę, a ona pokręciła głową.

– Odbierz i nie mów, że jestem.

Dzwoniła jej starsza córka. Prosiła, żeby przekazać mamie, że wszystko w porządku i że jest we „Fridays”.

Przekazałam.

– Wyobrażasz sobie – Weronika głośno wytarła nos – ten jej Mitia, no, ten, z którym chodzi, syn posła, pracuje w weekendy we „Fridays” jako kelner.

– Żartujesz? – ubawiła mnie.

– Nie żartuję. I ona teraz w kółko tam przesiaduje, stała klientka ze stałą forszą, wiesz.

– A gdzie jego ochroniarze?

– Nie wiem – zamyśliła się Weronika – pewnie ochraniają cały „Fridays”.

– Ciekawe, po co on to robi?

W końcu nie co dzień dzieci posłów harują po knajpach.

– Może uwodzi elektorat? – wysunęła przypuszczenie Weronika.

– Nie wiem. Jakby zaczęli o tym mówić w całym mieście, to tak.

– Chcesz herbatę?

– Chcę.

Weronika uchyliła drzwi i krzyknęła:

– Olu! Podaj nam herbatę! – po czym zatrzęsnęła je, wróciła na swój fotel i zwinęła się w kłębek.

– Może do niego zadzwonisz? – powiedziałam.

– Nie. Dzwoniłam do mamy. Na wszelki wypadek przyjedzie. Nie podoba mi się ta historia z dyplomatką. Całkiem zwariował... A ja mam przecież dzieci.

– Słusznie.

– Ostatnio nawet bierze się do bicia. Jak tylko mówię, że od niego odejdę...

– Może wynajmiesz ochroniarzy? Weronika zamyśliła się.

Wyobraziłam sobie, jak Igor wraca po trzech dniach, niewyspany, zmęczony i głodny, wraca do własnego domu, żeby zabrać z kotłowni białą dyplomatkę i sweter, i widzi porozstawianych po całej okolicy drabów z ogolonymi łbami i kałaszami w rękach. Wtedy już na pewno pomyśli, że zwariował.

Opisałam tę scenę Weronice.

– No. Zaraz zapyta: „Co to za ludzie?”, a ja mu na to: „Gdzie? Przecież nikogo tu nie ma”. Podbiegnie do nich, zacznie ciągnąć za wąsy, a oni nic. A ja zapytam: „Kochanie, co ty robisz?”. I jak już w końcu pójdzie spać, odeślemy wszystkich ochroniarzy. Rano pomyśli, że był w delirium, i rzuci picie, palenie i dragi.

– Super.

Przyszła gosposia z plecioną tacą. Nalała do filiżanek herbaty. Zapytała, czy nie jesteśmy głodne. Właśnie zrobiła zapiekankę. Odmówiliśmy.

Przybiegł Nikita. Pocałował mamę i pojechał na angielski, machając mi na pożegnanie łapką. W drzwiach odwrócił się jeszcze:

– Mamo, kupisz mi drukarkę pod choinkę?

– Drukarkę? Po co ci drukarka?

– No bo mam komputer i w ogóle wszystko, tylko nie mam drukarki. Kolorowej.

– Nie kupię. Wiesz, ile to kosztuje? Poza tym nie potrzebujesz drukarki.

– Dobra, jak chcesz – Nikita zachował całkowity spokój. – Zamówię sobie u Dziadka Mroza i już.

Poczekaliśmy, aż zamkną się za nim drzwi i wybuchnęliśmy śmiechem.

– Tata wrócił! – dobiegł nas radosny ryk Nikity z głębi domu.

– O, Dziadek Mróz we własnej osobie – w głosie Weroniki usłyszałam marnie skrywaną ulgę.

Wysłałam przez werandę i pojechałam do domu.

We środę, parząc się w łaźni tureckiej i wklepując wszystkie możliwe kremy i maseczki, rozmawialiśmy o romansie Leny.

Facet miał trzydzieści siedem lat, rozwiedziony, przystojny, bez rzucających się w oczy nałogów: żaden tam narkoman, żaden zboczeniec, żaden gej, żaden pedofil; przynosił kwiaty; nie był impotentem; pytał o zdrowie mamy; prostytutki w nocnych klubach nie witały się z nim serdecznie; naprawił Lenie samochód; przed południem nie pił; dał od razu bezpośredni numer na komórkę, bez żadnych sekretarek; nie używał zapalniczek Dupont; czyścił buty; nie nosił okularów Cartiera; nie podrywał sprzedawczyń. Lena była zakochana.

Robił w branży meblowej.

Lena odwiedziła jego sklepy i, jako dziewczynka dobrze wychowana, pochwaliła jakość i styl mebli, które sprzedawał.

Zaproponował Lenie, że urządzi jej na nowo dom, niech tylko wybierze sobie w jego sklepach wszystko, co jej się spodoba.

Właśnie zastanawialiśmy się, czy powinna przyjąć tę propozycję, a jeśli tak, to na jakich warunkach.

Byliśmy we trzy: ja, Lena i Katia.

– Tak w ogóle to przydałoby się odświeżyć dom – mówiła Lena. – Meble kupował jeszcze mąż, dziesięć lat temu. Zdążyły mi się znudzić.

– No to super! – moim zdaniem należało brać, skoro dawali.

– Ale spotykamy się dopiero od miesiąca... – Lena bała się, że zepsuje dobre wrażenie.

– No to co? Jak chcesz, pojedę z tobą i wszystko wybierzemy? – Katia wyraźnie miała ochotę poznać faceta Leny.

- Nie – zwietrzyła ryzyko Lena.
 - A co musisz zmienić? Salon i kuchnię obowiązkowo... – wyliczałam.
 - On nie sprzedaje kuchni – przerwała Lena.
 - Szkoda. Kuchnie są najdroższe.
 - Całą resztę też ma drogą – pocieszyła Katia.
 - Czyli tak – liczyłam na palcach – salon, hol, twoja sypialnia, sypialnia dla gości...
 - Sypialnię dla gości chcę urządzić w stylu chińskim – oświadczyła kapryśnie Lena.
 - Niech ci będzie – wzruszyłam ramionami – jak chcesz, może być nawet w indyjskim.
- Lena zrzuciła prześcieradło i poszła się wyparzyć.
- Kto chce masaż? – dzielnie zapytała Gala.
 - Ja! Mydlany – położyłam się na stole.
 - Nie wiem, o co jej chodzi – powiedziała Ka. tia, też idąc się wyparzyć. – Ja bym brała jak leci, razem z wazonami i dywanikami.

Gala głaskała moje ciało gąbką; gąbka była mięciutka, jakby cała zrobiona z mydlanej piany. Ogarnęła mnie błogość i nie od razu zauważyłam, że przyjechała Weronika.

Położyła się na szezlongu w dzinsach i w ciemnych okularach, zapaliła papierosa. Patrzyłam na nią w milczeniu.

W końcu nie wytrzymałam.

– Co jesteś taka tajemnicza?

Zza szklanych drzwi łaźni w obłoku pachnącej bergamotką pary wybiegły błyszczące od potu dziewczyny i wskoczyły do zimnej kąpieli.

– Ani się waż palić! – krzyknęła Lena, zanim dała nura.

– Dzień bez papierosa! – oznajmiła Katia, chciwie łapiąc powietrze.

– Czemu się nie rozbierasz? – podeszłam do Weroniki. – Nie za ciemno ci w tych okularach?

Miała podbite oko. Obrzydliwy fioletowy krwiak pod lewym okiem.

Lena w biegu wycierała się ręcznikiem.

– Igor? – rzuciła ponuro Katia.

Po policzkach Weroniki płynęły łzy, jakby puściła jakaś uszczelka. Weronika nie mrugała, nie rozmazywała łez po twarzy, nie zwracała na nie uwagi, tak jakby płynęły całkiem niezależnie od niej.

– Ale sukinsyn – powiedziałam. Weronika przytaknęła.

– Bydłę – skomentowała Katia. – Co się stało?

– Znowu nie wrócił na noc. Powiedziałam, że odchodzę – Weronika miała wysoki, przenikliwy głos. – Zaczął mnie bić.

Nasze oburzenie nie miało granic.

– Zrobiłam obdukcję – Weronika rozplakała się na całego. – To był ostatni raz!

– Wsadzisz go do więzienia? – nie wierzyła Lena.

– Wszystko jedno! Pewnie, że do więzienia! – płakała jak bóbr, chociaż wszystkie trzymałyśmy jej stronę. – Nienawidzę go, nienawidzę!

Nie wiedziałam, jak ją pocieszyć. Ale w tamtej chwili nienawidziłyśmy Igora równie mocno jak ona.

– Rzucił mnie na łóżko – głos jej się załamał, nawet już nie płakała, tylko cicho piszczała, jak ledwie urodzony szczeniak. – Nie mogłam krzyczeć, bałam się wystraszyć dzieci, a on mnie zgwałcił...

Głaskałam Weronikę po ręce i powtarzałam jak jakieś zaklęcie:

– Świnia... Co za świnia...

Weronika przestała płakać i włożyła okulary. Potem zdjęła.

Igor wyglądał jak dobrotliwa karykatura Schwarzeneggera. Ale Weronika uważała, że jest wyjątkowo przystojny. To była prawdziwa miłość.

– Gdzie robiłaś obdukcję? – zapytała Katia.

– Pojechałam na pogotowie. Powiem mu, że jeśli nie odejdzie, podam go do sądu. Mam zaświadczenie – Weronika rozpięła i podciągnęła rękaw koszuli. – O, jeszcze tu i na nogach.

Z przerażeniem oglądałyśmy dorodne siniaki. Zadzwonił interkom. Podniosłam słuchawkę. Gospośia oznajmiła, że przyjechał mąż Weroniki.

– Mówiłaś mu, gdzie będziesz? – zapytałam zdumiona.

Weronika pokręciła głową.

– Przecież dzisiaj środa. Pewnie się domyślił.

– Pójdiesz z nim pogadać? – spytała Katia.

– I tak się stąd nie ruszy, lepiej już pójdę – Weronika włożyła okulary i ruszyła do drzwi.

– Jakby coś, to krzycz... – prosiła Lena.

– Chcesz, pójdziemy z tobą? – zaproponowałam.

– Nie. Dzięki, dziewczyny.

Skoczyłam się wyparzyć, a Lena z Katią zostały, żeby obgadać Igora.

Weronika wróciła dosyć szybko. Miała radosną, wręcz szczęśliwą minę. Może i wczoraj w nocy Igor ją zbił i zgwałcił, ale teraz przyleciał się kajać, płakał i klęczał, więc wszystko wróciło do równowagi. Weronika była usatysfakcjonowana. Ale żądała więcej, dla zasady. Jeszcze dzisiaj ma spakować swoje rzeczy. Albo jutro poda go do sądu.

– Pojutrze są urodziny Nikity – żaliła się Weronika. – Ojciec zrobił mu piękny prezent!

Zmusiłyśmy ją, żeby się rozebrała i poszła do łaźni. O masażu nawet nie było mowy – nie przy takich siniakach. Gala zajęła się tylko jej stopami i nałożyła gorący kompres na twarz.

Lena opowiedziała Weronice o meblach i poprosiła o radę.

– Bierz jak leci! – powiedziała zdecydowanie Weronika. – Najwyżej dasz komuś w prezencie.

– Też tak myślę – podchwyciła Katia i wniosek przeszedł większością głosów.

Dobrze, że facet nie jest magnatem naftowym. Szkoda, że nie ma sklepu jubilerskiego.

Cztery dni później spotkałam się z Weroniką. Przeniosła przyjęcie urodzinowe Nikity na weekend. Igor biegał z kieliszkiem wina między kłownami i cyrkowcami i jakoś nie wyglądał na rzuconego męża.

– Jak tam u was? – zapytałam, kiedy Masza wręczała Nikicie prezent.

– A... – machnęła ręką Weronika – co za bydlę... – dorzuciła jeszcze parę epitetów pod adresem męża, ale w jej głosie nie wyczułam złości. – Codziennie przynosi kwiaty. Po sto sztuk. Żebyśmy zostali ze sobą przez sto lat.

– Nieźle – powiedziałam.

Weronika uśmiechnęła się. Siniak pod okiem był starannie zapudrowany.

Ogień w kominku migotał i przygasał.

Tego dnia spadł pierwszy śnieg.

Miałam gości. Siedzieli przy zastawionym stole i pili, nie wznosząc toastów. Od śmierci Serża minęło sześć miesięcy. Wielu znajomych po prostu nie przyjechało. Ale byli wszyscy ci, na których najbardziej liczyłam.

Nie zaprosiłam Świetlany. Wraz ze swoim wielkim brzuchem, w którym pływało dziecko, stałaby się główną atrakcją wieczoru. Egoistyczna zazdrość nie pozwoliła mi powiedzieć rodzicom Serża, że będą mieli wnuka.

Świekra siedziała nad pustym talerzem, zaciskała wargi i pogrążała się w coraz głębszym zamyśleniu. Z latami jej ból będzie jeszcze ostrzejszy.

Ojciec Serża, po sześćdziesiątce, dowcipniś i babszar, pił niemal bez przerwy, między kolejnymi kieliszkami ocierając z twarzy łzy ciężką, niezręczną dłonią.

Patrzyłam na kamienną twarz mojej mamy i chciałam wiedzieć, o czym myśli. O Serżu? O mnie i o Maszy? O sobie? A może o tym, że przed pierwszym śniegiem nie zdążyliśmy okryć sadzonek na wsi? Mama spostrzegła, że się jej przyglądam. „Wypij waleriany” – wyszeptwała już chyba dziesiąty raz tego dnia. Kochała nas: Serża, mnie, Maszę, ogród i resztę, która teraz była całym jej życiem. I ani myślała się poddawać. Kochała życie; była niezniszczalna.

Zadzwoił Wanieczka. Coś tam mówił; słuchałam obojętnie. Między nami nic już nie było.

„Nie ma co płakać po rozlanym mleku” – zaserwował wyuczone ostatnio przysłowie; nie bardzo rozumiałam, kogo ma na myśli: mnie, Serża czy też całą naszą trójkę.

Goście przyjeżdżali i odjeżdżali. Z dziećmi albo z żonami. Przyjaciele i po prostu znajomi. Ci, których nie uważałam za przyjaciół, chociaż oni sami się za nich uważali.

Przypominało to zwyczajne przyjęcie. Alkohol i plotki. Ludzie, którzy długo się nie widzieli, głośno krzyczeli na powitanie.

Kobiety siedziały osobno i, jak zwykle, coś tam sobie szeptały.

Życie płynęło dalej, jak gdyby nic się nie stało.

Stałam z mężczyznami. Wszyscy chcieli posłuchać o maślance. Mężczyźni sądzili, że cały dochód utopię w kosztach transportu. Wyjaśniałam skomplikowany schemat dystrybucji towaru do punktów sprzedaży detalicznej; bardzo mi pochlebiało, że słuchają z taką uwagą. Omówiliśmy budżet reklamowy; poleciłam Irmę i jej agencję, i ktoś nawet zanotował telefon. Poskarżyłam się na brak technologów, dostałam adres agencji headhunterskiej. Kiedy wspomniałam, że chciałabym rozszerzyć rynek zbytu, kilka osób natychmiast zaproponowało mi pomoc. Mężowie moich przyjaciółek rozmawiali ze mną jak równi z równym. Coś niesamowitego.

Ale mój monopol na męską uwagę skończył się, kiedy podeszła Katia. Właśnie obcięła

swoje fantastyczne kasztanowe włosy i teraz demonstrowała miniaturową główkę porośniętą krótką szczecinką. Szczecinka była wzruszająca i bardziej seksowna niż wszystkie czasopisma erotyczne razem wzięte.

Maślanka z miejsca poszła w zapomnienie.

Wszyscy wyciągali ręce i błagali, żeby Katia pozwoliła im pomacać głowę.

– Szykuj się – powiedziała twardo Regina, żona najlepszego przyjaciela Serża, Wadima. – Czekają cię wielkie zmiany w życiu.

Regina była scenarzystką. Lubiła mawiać: „Jestem takim miniBogiem. Stwarzam świat”. Nie przyjaźniliśmy się z nią. Nie znała naszych kłopotów, a my nie potrafiliśmy jej zrozumieć. Chodziła, nie dotykając ziemi, my natomiast staliśmy na niej pewnie, obiema stopami.

Katia odwróciła ślicznie ostrzyżoną główkę w jej stronę. Zdumiona uniosła brwi.

– Wiem, co mówię – uśmiechnęła się Regina. – Idzie nowe.

– Jestem gotowa – bez szopy włosów Katia zdawała się bardziej otwarta. A może zmiany już się zaczęły?

Podszedł do mnie Wadim.

– Jak leci?

Dzwonił rzadko. Nie żywiłam do niego urazy.

Kiedyś, kupując Serżowi na śniadanie ser i jogurty, dorzucałam kilka dla Wadima. Byłam przekonana, że Regina w ogóle nie daje mu śniadania.

– W porządku – uśmiechnęłam się. – Pracuję.

– Brawo. Świetnie ci idzie.

– Dzięki.

Wyszliśmy we dwoje na werandę i staliśmy tam, patrząc sobie prosto w oczy.

– Jak Masza?

– Już OK. Lepiej. Chwilę milczał.

– Milicja jeszcze cię nachodzi? Czy dali sobie spokój?

– Dali spokój – dawno już zapomniałam o milicji. – Byłam u nich dwa razy i tyle.

Wadim skinął głową.

– Trochę ci pomogliśmy. Mieli nakaz aresztowania.

– Żartujesz! – roześmiałam się. – Chcieli mnie aresztować?

– Tak – Wadim chyba nie widział w tym nic zabawnego. – Nawet byli po ciebie w mieszkaniu, ale na szczęście wyjechałaś na wieś.

– Idiotyzm – po pół roku cała ta historia zdawała mi się jakaś nierealna.

Tymczasem Wadim wspominał każdy szczegół i raz jeszcze wszystko przeżywał.

– To był dobry ruch. Sprawę prowadziło dwu oficerów, jeden od dawna nasz, drugi ciągle nie mógł się zdecydować...

Przypomniałam sobie komisariat i przesłuchanie, i dotarło do mnie, o kim mówił Wadim.

– Wystawiliśmy im jednego frajera. I tak szukali go listem gończym. Wyjątkowa gnida.

Własnymi rękami bym zadusił. W życiu go nie znajdą. Szkoda, nawiasem mówiąc.

Nagle nie w głowie, ale gdzieś w głębi mojego brzucha pojawiło się straszne przypuszczenie.

– Portret pamięciowy? – zaraz Wadim odpowie i wszystko stanie się jasne.

– Tak, sporządzili na podstawie zeznań takiej naszej kobitki. Powiedziała, że przechodziła obok. Pokazaliśmy jej fotografię, a ona opisała gościa milicjantom. Dwie godziny ją maglowali. Ale była zadowolona. Portret pamięciowy i tak dalej – co za postęp, powiedziała... Gdzie idziesz?

– Zaraz wrócę... Patrzył za mną zdumiony.

Przeszłam pomiędzy gośćmi, uśmiechając się jak automat, coś tam do nich mówiłam.

Potem z pokoju do pokoju, spokojnie, jakbym czegoś szukała, sama nie wiem, czego.

Wypiłam solidną porcję baccardi, wyszłam na dwór, wypić następną.

Nie byłam w stanie ani siedzieć, ani się położyć. Stać ani chodzić. Jakbym nie istniała. Mój rozum dostał potężnego kopa. Nokaut, tak się to chyba nazywa. Rozum położył uszy po sobie i nie chciał wychodzić z zamroczenia. Bał się.

W głowie zagnieździł mi się jakiś robak. Przegryzał się od karku ku oczodołom; czułam każdy ruch jego śliskiego ciała. Monotonnie, bez ustanku wypluwał mi do mózgu słowa, które gdzieś już tego dnia słyszałam: „Jestem takim miniBogiem. Stwarzam świat”.

Czekałam, aż się to wszystko skończy.

Ale nie chciało się skończyć.

Zabiłam niewinnego człowieka.

Nokaut. Znieście mnie z ringu.

Katia – tak, chyba Katia – pomogła mi dojść do sypialni.

Kiedy masz dwadzieścia lat, pijesz, żeby podobać się ludziom: błyskotliwa, otwarta, rozpustna.

Kiedy masz trzydzieści lat i chcesz się komuś podobać, starasz się nie pić. Bo kiedy pijesz – skąd się to bierze? – robisz się złośliwa, zarozumiała i – koszmar! – wulgarna.

Kiedy masz dwadzieścia lat, chcesz być bliżej ludzi.

Kiedy masz trzydzieści lat, chcesz być bliżej siebie samej sprzed dziesięciu lat. I jak najdalej od ludzi.

Kiedy masz dwadzieścia lat, po kilku baccardi z lodem ziemia płynnie usuwa ci się spod nóg; kiedy masz trzydzieści, niebo spada ci na głowę.

Kiedy masz dwadzieścia lat, budzisz się z uśmiechem. Kiedy trzydzieści – z bólem głowy.

Szłam do apteczki tak, jakbym miała nie czaszkę, a naczynie napelnione po brzegi drogocennym płynem.

Łyknęłam pyralginę.

Wracając, potknęłam się o różową miskę. Miska, przewracając się, zaczepiła o szczotkę, a szczotka boleśnie uderzyła mnie w plecy. Krok dalej czyhało jeszcze wiadro.

W łóżku poczułam się bezpiecznie.

Jedwabna pościel otulała moje ciało; kołatanie w głowie powoli ucichło.

Zakopałam się pod kołdrą. I zaczęłam żałować, że nie trzymam w sypialni alkoholu.

Słyszałam szum przyływu. Byłam ziarenkiem piasku, jednym z miliardów. Wszyscy byliśmy piaskiem. Fale rzucały nami, kotłowały i w końcu wynosiły na brzeg. A podczas odpływu zagarniały z powrotem. Byłam ziarenkiem piasku, które ubzdurało sobie, że jest falą.

Byłam zdechłym ślimakiem.

Zadzwoiłam do Olega.

Człowiek zawsze chce przerzucić swoje problemy na kogoś innego.

Oleg spał.

Poprosiłam, żeby przyjechał. Od kiedy miał mercedesa z kierowcą, przestałam ukrywać przed nim swój adres i numer telefonu.

Okazało się, że w najbliższych dniach nie ma czasu.

Byłam wściekła. W końcu kto mu dawał pieniądze przez te wszystkie lata? Czasami. No i pracę.

Później zgodził się zjeść ze mną kolację w „Pałace Hotel”. Za dwie godziny.

Spóźniłam się, jak zwykle.

Czekał już na mnie.

– O co ostatnio pytałeś? – zawołałam, nawet nie mówiąc cześć. – O szczura? Co to za szczur?

Oleś był opanowany. Pił kawę z malutkiej białej filiżanki z czarnym brzegiem.

– Siadaj – powiedział z uśmiechem. – Co się z tobą dzieje?

– Pamiętasz, pytałeś o...

– O Wowę Szczura – powiedział Oleś. – No i co?

– Dlaczego o niego pytałeś?

– Zamówić ci kawę? I croissanty? Ja wziąłem jeszcze omlet.

– Oleg! Możesz mi odpowiedzieć? Traciłam cierpliwość.

– Najpierw mów ty. Co się stało?

Kelner sztywno zapalił świeczkę na stole i poprawił mały kwiatek w miniaturowym wazoniku. Powiedziałam całkiem cicho:

– To nie on... Rozumiesz?

Oleg zapalił papierosa. Wypuścił parę kółek dymu.

Miałam nadzieję, że zaraz powie, że to nieprawda.

– Wiedziałem. Chłopaki mi powiedzieli. Cud znowu się nie wydarzył. Koszmar trwał.

– On też powiedział, że to Wowa Szczur – Oleg rozłożył ręce. – Ale ty chyba nie wiesz, kto to jest Wowa Szczur?

Pokręciłam głową: nie, nie wiem.

– Więc po co – wszystko to ciągle jeszcze nie mieściło mi się w głowie – skoro powiedział...

po co... Niektóre rzeczy trudno nazwać po imieniu.

Oleg wzruszył ramionami.

– A co, myślisz, że wszyscy kajają się i spowiadają? Zresztą chłopcy mieli robotę, za to im płaciłem. A cała reszta...

Oleg zrobił gest, który miał pewnie znaczyć, że całą resztę chłopaki mają w nosie. Albo że człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

– Poza tym mało to ludzie gadają... Ryknęłam na cały głos:

– Ale to jest prawda!

W restauracji był poza nami tylko jakiś stary Anglik. Pił swoją herbatę z mlekiem i nie zwracał na nas uwagi.

– Kierowca też mówił... – dorzuciłam ciszej.

– Przecież jest w śpiączce? – zdziwił się Oleg.

– Już nie.

– Aha.

Wyglądało na to, że Olesiowi zrobiło się mnie żal.

– Nie martw się – powiedział takim tonem, jakby mi ktoś zjadł moją czekoladkę.

Patrzyłam na Olega i nie mogłam uwierzyć, że mówimy tym samym językiem.

– Wiesz – na jego twarzy pojawiło się obrzydzenie – to była skończona gnida, ten Okoń...

Próbowałam powstrzymać go gestem. O zmarłych albo dobrze, albo wcale.

– Jasne, rozumiem, głupio wyszło – ciągnął Oleś. – Ale wiesz...

Wyciągnęłam paczkę papierosów. Oleg podał mi ogień. Miał zapalniczkę Dupont. Nie paliłam od dziesięciu lat.

– Ale mogę ci zwrócić pieniądze.

Jakie pieniądze? Zgasiałam papierosa.

– Wiesz, kiedy już wyjaśniłem, kim jest ten nasz klient, no, kiedy zdobyłem informacje... Nieszczęśliwy zbieg okoliczności... Facet miał z różnymi na pieńku... Co miałem robić? – spojrzał na mnie przepraszająco. – Nie ty jedna zamawiałaś Okonia. Daj już spokój.

Nie wiedziałam, czy uśmiecha się, bo mu wesoło, czy po prostu chce mi pokazać swoje nowe białe zęby, w końcu jest świetna okazja.

– Co? – nie zrozumiałam.

– Generalnie jeszcze jeden taki zamówił u mnie Okonia. Więc skoro tak głupio wyszło, jak masz mieć wyrzuty sumienia, mogę ci oddać pieniądze.

Pokręciłam głową.

– Nie chcę. Ucieszył się.

Popatrzyłam w okno. Widok ulicy przypominał jako żywo ilustrację wiersza Puszkina *Mróz i słońce*. .. Zamówiłam herbatę i ciastko.

„Głupio wyszło”, powtarzałam w myślach, smakując każdą sylabę.

Herbata była tak aromatyczna, że zapytałam kelnera, co to za gatunek.

– Zwykły Lipton – odpowiedział kelner. „Głupio wyszło”.

Chciałam powiedzieć Olegowi, że świetnie wygląda.

– Kup sobie nową zapalniczkę – poradziłam.

– Jaką? – nieufnie zerknął na złotego Duponta.

– Jednorazową.

– Dlaczego?

– Bo zapalniczek Dupont używają tylko buraki. Albo ci, którzy nie mają forsy.

– Dobra – powiedział zadowolony.

– Kto to jest Wowa Szczur?

– Nie wiem – Oleg zrobił gest w stronę kelnera i ten poszedł po rachunek.

– Ale to na pewno on? – zapytałam. Oleś wzruszył ramionami.

– A co mówi kierowca?

– Kierowca na razie nie może mówić. Pisze, i to z trudem.

– A co pisze?

– „Szczur”.

– Marnie – westchnął Oleg. – Przydałoby się więcej informacji. Bo w ten sposób to ja mogę wykończyć wszystkich bandytów w mieście.

Rozbawił mnie.

– Nikt by po nich nie płakał.

– I tu się mylisz... Teraz są sami swoi. A jakby przyszli następni... – Oleg położył kartę kredytową, nawet nie patrząc na rachunek. – Zamówisz coś jeszcze?

– Na razie nie.

Spojrzał na moją zamyśloną twarz i krzepiaco powiedział:

– Nono. A właśnie, z tym twoim kierowcą. Uważaj, żeby go ktoś na amen nie uciszył.

– Wiem. Ma całodobową ochronę. W końcu jest świadkiem.

Od dziecka wierzyłam w cuda. I – konsekwentnie – w Boga. Chyłkiem biegałam do cerkwi jełochowskiej i prosiłam Boga o cud: żeby dostać piątkę z matematyki; żeby mnie nie wywołano do dentysty; żeby mama mnie nie skrzyczała za porwaną sukienkę; żeby kupiła psa. Przeważnie wszystko to się udawało. Dziękowałam Bogu i prosiłam o nowe cuda: żebym zdała na studia; żeby on się we mnie zakochał; żeby moje dziecko urodziło się zdrowe; żeby mąż kupił mi mercedesa 220!

Kilka miesięcy przed śmiercią Serża zapaliliśmy na Wielkanoc świece w cerkwi; pomyślałam wtedy, że właściwie nie mam już o co prosić. Chciałam coś wymyślić, ale nie potrafiłam. Pomyślałam, że największym cudem jest chyba to, że nie muszę już liczyć na żadne cuda.

Kiedy zabili Serża, powiedziałam mamie: „Boga nie ma”. Odpowiedziała: „Niestety”.

Samochód Olesia zniknął za zakrętem, ale ja długo jeszcze spoglądałam w tę stronę.

Z tyłu ktoś trąbił. Nacisnęłam na pedał gazu tak, jakbym chciała go złamać. Powolutku

ruszyłam.

Ludzie biegali zaaferowani po ulicach, trzaskali przeszkłonymi drzwiami sklepów, przystawali przed wystawami; odbite od śniegu słońce oślepiło ich, więc mrużyli oczy, ale nie zasłaniali twarzy – słońce rzadko zagląda do nas o tej porze roku. Wszędzie stały obwieszone ozdobami choinki, wisały kolorowe girlandy – w powietrzu wyczuwało się już Nowy Rok. Całe miasto czekało na wieczór sylwestrowy i niecierpliwie liczyło godziny.

Zaparkowałam koło maleńkiej cerkwi na cmentarzu Wagańkowskim.

Dzisiaj miałam się o co i za kogo modlić: o spokój duszy Serża, o zdrowie córki, za rodziców i za mój nowy biznes, i jeszcze za siebie, żebym wreszcie odnalazła spokój, i żeby kiedyś...

Ale nie po to tu przyszłam. I nie po cud.

Pierwszy raz w życiu weszłam po tych schodach, żeby błagać o przebaczenie. Błagać szczerze i pokornie.

14

Przyjechałam do firmy jak zwykle, o dziesiątej trzydzięci. Na stole leżała już przygotowana teczka z raportem księgowym za zeszły miesiąc. Obok książka rozchodów. Zdjęłam futro, przejrzałam się w lustrze i wróciłam do sekretariatu. Ekspedytorzy mieli mi zostawić listę zadłużonych sklepów.

– Proszę, jest tutaj – sekretarka skwapliwie podała mi kilka kartek. Przebiegłam je wzrokiem. Dziesięć sklepów zalegało z płatnością za towar.

– Przyślij do mnie Siergieja – powiedziałam. Sekretarka złapała słuchawkę interkomu.

Siergiej zajmował się sprzedażą. Chciałam usłyszeć od niego osobiście, co z tym fantem zrobić.

– Masz świadomość, że reklamę finansujemy z bieżących obrotów? – rzuciłam się na małego Siergieja w trzy razy za dużej marynarce, takie lubił.

– Mam.

No myślę, w końcu razem ustalaliśmy budżet na ten rok.

– Iz czego mam zapłacić agencji – zajrzałam do kalendarza – pojutrze?

– A co ja mam zrobić? – oburzył się Siergiej. – Nasłać na nich bandytów? Czy może pozwać do sądu?

– Nie wiem – naprawdę nie wiedziałam. Kiedy rozszerzyliśmy rynek zbytu, podpisując umowy z kolejnymi trzydziestoma sklepami poza siecią „Mospan”, problem niewypłacalności zaczął mi spędzać sen z powiek.

– Próbowałem prośbą i groźbą. Nic z tego. Będą odraczali płatności o całe tygodnie.

– Zaprzyjajnij się z nimi – poradziłam.

– Ze wszystkimi? – zapytał Siergiej. – Nie dam rady, trochę ich za dużo.

– Od dzisiaj masz nowe stanowisko służbowe: przyjaciel dyrektorów. Przyjaciel dyrektorów raz w tygodniu pije z dyrektorami.

Usłyszeliśmy jakiś hałas. Drzwi gwałtownie otworzyły się na oścież i do gabinetu, głośno stukając podkutymi butami, wpadło pięciu ludzi z kałasznikowami, w czarnych kominiarkach. Zaraz potem leżeliśmy już na podłodze. Ręce kazali nam założyć na karki.

Przez otwarte drzwi gabinetu widziałam swoją sekretarkę i jeszcze kilkoro pracowników rozciągniętych na parkiecie.

Pomyślałam, że zaraz zaczną strzelać. I to w całym mieście, nie tylko w mojej firmie.

A potem jeszcze, czy przypadkiem nie zadarła mi się spódniczka.

– Kto tu jest szefem? – zapytał bezceremonialnie jeden z zamaskowanych.

Odczekałam kilka sekund.

– Ja.

Wyszło ochryple i dosyć ponuro.

Ten, który pytał, podszedł całkiem blisko, tak, że jego wyczyszczony na wysoki połysk but znalazł się tuż przed moimi oczami. Przyjrzał mi się uważnie.

– Może pani wstać.

Niezgrabnie wstałam, żałując, że nie włożyłam dziś džinsów.

– On też może? – wskazałam Siergieja.

– A kto to jest?

– Menedżer.

– Niech poczeka za drzwiami.

Siergiej wstał. Był tak skurczony, że z gabinetu wymknęła się w sumie sama marynarka.

Razem z nim wyszło trzech ludzi w kominiarkach. Zostało dwóch. No i ja.

– Proszę siadać – powiedzieli uprzejmie. Usiadłam za biurkiem, starając się omijać wzrokiem papiery z księgowości.

– Kim pani jest? – zapytali. W ich tonie była jakaś dobroduszość.

Przedstawiłam się.

– Czyli to pani firma?

– Tak.

Poprosili, żebym im pokazała odpowiednie dokumenty.

Poszłam po nie do sekretariatu. Sekretarka nadal leżała na podłodze. W drzwiach stał dzielnicowy. Kiedyś go już spotkałam, wpadł się przedstawić.

Kiedy wróciłam, jeden z mężczyzn zdjął kominiarkę i z wyraźnym zaciekawieniem przeglądał papiery na biurku.

Pomyślałam, że w takich wypadkach trzeba do kogoś dzwonić i prosić o pomoc. Ale do kogo?

– Tak... – powiedział ten bez kominiarki. – Dokumentację rekwirujemy...

– Po co? – sama rozumiałam, że to nie jest właściwe pytanie.

– Pewnie chciałyby pani wiedzieć, kim jesteśmy? – odpowiedział mi ten w kominiarce.

Przytaknęłam.

Pokazali mi legitymacje. Zdażyłam zobaczyć tylko: ABW.

– Ale skąd panowie się tu wzięli? – zapytałam ostrożnie.

– Rutynowa kontrola – odpowiedział wesoło ten przy biurku, a jego kolega zdjął kominiarkę. – Mówi to pani coś?

Nie mówiło.

Rozsiedli się na kanapach. Wyglądali jak uosobienie prawa i sprawiedliwości.

– Może herbatę? Kawę? – zaproponowałam.

– Dobra herbata nie jest zła – starszy puścił oko do kolegi.

Z przyzwyczajenia chciałam zadzwonić do sekretarki, ale przypomniałam sobie, że sekretarka leży na podłodze.

– Czy moi ludzie mogą już wstać? – zapytałam z uroczym uśmiechem, przyjmując reguły gry, które mi narzucili.

– A po co? – z takim samym uśmiechem zapytał ten młodszy.

– A na przykład po to, żeby zrobić herbatę – zachowywaliśmy się jak na niedzielnym pikniku za miastem. Tylko kałasznikowy nie pasowały do tej idylli.

Pozwolili moim ludziom wstać, starszy wydał polecenie przez radio. Zabroniono im ruszać się z miejsca i czegokolwiek dotykać.

Przeżona sekretarka przyniosła herbatę.

„Jutro złożę wypowiedzenie” – pomyślałam, widząc jej minę.

– No i jak się pani tutaj pracuje? – zapytał niespiesznie ten starszy, nalewając sobie herbaty.

– Dziękuję – odpowiedziałam wymijająco, śledząc jego ruchy.

– Widzę, że całkiem, całkiem – młody rozejrzał się po gabinecie. Gabinet urządziłam sobie w słodkim stylu „Hollywood: lata trzydzieste”.

– Chociaż nie brakuje kłopotów – wieloznacznie rozłożyłam ręce.

– Na przykład ABW konfiskuje lewe dochody – zawtórował młodszy.

– A może się jakoś dogadamy? – uśmiech ani na chwilę nie zniknął z mojej twarzy.

– Jak to się dogadamy? – zapytał naiwnie młodszy.

W tym tonie rozmawialiśmy bite półtorej godziny.

– Pani jest naprawdę czarująca – mówili funkcjonariusze. – Iw niczym nie przypomina rekina biznesu.

– Panowie również są bardzo sympatyczni – odpowiadałam. – Iw niczym nie przypominają milicjantów.

W końcu po dwu godzinach przeszliśmy do konkretów.

– Mam w kasie trzy tysiące dolarów USA – powiedziałam.

Szczerze ich ubawiłam.

– Dwadzieścia. To i tak znacznie mniej, niż pani zapłaci, jeśli zarekwirujemy dokumentację i

wstrzymamy działalność firmy. Na jakiś miesiąc.

– Pięć – zaproponowałam.

– Pięć kosztuje już to, że sobie tu gawędzimy. A te papiery na stole, ślicznotko?

W rezultacie stanęło na dziesięciu.

Miałam wsiąść z pieniędzmi do ich samochodu i wysiąść po paru kilometrach.

Wysłałam odprowadzana przerażonymi spojrzeniami moich pracowników.

W samochodzie wymieniliśmy się telefonami i otrzymałam zapewnienie, że przez najbliższy rok mam już kłopot z głową.

Pierwszą osobą, na którą natknęłam się po powrocie, był nasz dzielnicowy.

– Przecież mówiłem, że z ludźmi trzeba żyć w przyjaźni – powiedział bez żadnych wstępów.

– A pani co? Uprzedziłbym przynajmniej...

Weszłam do gabinetu, gdzie otoczyli mnie moi pracownicy. Znalazłam wzrokiem Siergieja.

– Idź jutro do dzielnicowego i daj mu dwieście dolarów pod choinkę.

Moi ludzie czekali na wyjaśnienia.

– Wszystko w porządku! – powiedziałam wesoło. – Rutynowa kontrola. Musicie się przyzwyczaić.

Zamknęłam się w swoim gabinecie.

Otrzeptałam sweter z nitek, które przyczepiły się do niego na podłodze. A może nie było żadnych nitek?

Usiadłam nad raportem księgowym. Do leżącej obok książki rozchodów przyszło wpisać jeszcze jeden wydatek.

Wpadłam do „World Class” na Żukowskiej, ale nie zdążyłam wcześniej zadzwonić, więc oczywiście z manicure nic nie wyszło. Gorące prośby, żeby upchnąć mnie gdzieś między klientkami, choćby na malowanie paznokci, nikogo jakoś nie wzruszyły.

Objechałam jeszcze parę salonów i w końcu się udało: klientka nie przyszła, zapisano mnie na jej miejsce.

Wybierałam się na urodziny Leny.

Manikiurzystkę Ołę, starszą już kobietę, znała cała Moskwa. Tylu plotek, ile musiała wysłuchać każdego dnia, nie pomieściłby żaden brukowiec. Ola pracowała już we wszystkich modnych salonach, była na „ty” z całą elegancką Moskwą. W „Welli” jej klientką była sama Naina Jelcyna, która, o dziwo, wołała spotykać się z dziewczynami w salonie, niż wzywać specjalistów do domu. Ola zawdzięczała jej przeprowadzkę z lokalu komunalnego do jednopokojowego mieszkania na Sokole.

Bez pośpiechu zapytała, co tam u mnie, mistrzowsko polerując paznokcie.

Mogłam jej wszystko opowiedzieć o wszystkim. I nikt poza nami dwiema nigdy by się o tym nie dowiedział.

Niezdecydowanie wzruszyłam ramionami.

– Kto ci robił te paznokcie? – zapytała z lekką zazdrością. – Patrz, tu na małym palcu zepsuli

cały kształt!

Serce zamierało mi w piersi na takie uwagi.

– Ktoś w Moskwie... nie pamiętam – odpowiedziałam obojętnie, żeby nie wdawać się w szczegóły, to znaczy nie przyznać, że od trzech tygodni nie robiłam sobie manicure. W końcu muszę dbać o reputację.

Ola łaskawie skinęła głową.

Umyli mi włosy, a paznokcie kończyli malować, kiedy siedziałam już na krześle fryzjerskim, w monotonnym szumie suszarki. Uczesali przyzwoicie, chociaż nie całkiem tak, jak chciałam.

Godzinę później weszłam z kwiatami do restauracji „Biskwit”.

Lena urządziła babski wieczór.

Babski wieczór polega z grubsza na tym, że kobitki spotykają się i piją we własnym gronie, a potem jadą gdzieś, gdzie są mężczyźni.

Złożyłam życzenia lekko już dziabniętej jubilatce, po czym usiadłam obok Weroniki.

Weronika skarżyła się, że jej szesnastoletnia córka nie umie przygotować jajek z majonezem.

– Za krótko trzymała je w zimnej wodzie i została jakaś taka błonka, a potem przecięła nie wzdłuż, tylko w poprzek, i pod ciężarem majonezu wszystkie się poprzewracały na półmisku. A jak się przewróciły, okazało się, że całe są w żółtych plamach, bo je przypaliła. Właściwie to moja wina – mówiła skruszona Weronika – chociaż tak ją ochrzaniam. Niby gdzie się miała nauczyć? Zawsze wszystko gotowe. Może poślę ją na jakiś kurs?

– Na kurs kuchni włoskiej – podpowiedziała Olesia.

Olesia była synową prezydenta jednej z naszych byłych republik. Kiedy prezydenta wybrano na drugą kadencję, Olesia poinformowała wszystkich swoich znajomych: „Znowu jestem królową. Możecie mi gratulować”. Przy czym prezydent zakazał mężowi Olesi pojawiać się w ojczyźnie, żeby ten nie kompromitował go w oczach wyborców. Za to jego starszy syn, którego Olesia szczerze nienawidziła za zarozumiałość żony, był prawą ręką ojca. Jak w bajkach.

– Za dużo od niej wymagasz – powiedziała jakaś nieznajoma ciemnowłosa dziewczyna ze złotym serduszkim Bulgari na rzemyku. – Ilu języków się uczy?

– Trzech – odpowiedziała po namyśle Weronika, jakby musiała najpierw starannie policzyć.

– A co poza tym? Jakaś muzyka? – nie odpuszczała nieznajoma.

– Tak – dumnie potwierdziła moja przyjaciółka, nabijając na widelec roladkę z kalmara. – Skończyła szkołę muzyczną, gra na fortepianie. I jeszcze studium historii sztuki przy Muzeum Puszkina.

– A teraz co robi?

– Przygotowuje się do egzaminów na studia, na stosunki międzynarodowe, i kończy jedenastą klasę.

– Trudno się na to dostać?

Zamiast Weroniki odpowiedziała jej sąsiadka z lewej. Widziałam ją tylko raz, na jakimś przyjęciu u Leny.

– Dwadzieścia osób na miejsce! Co najmniej! Dwu kelnerów obchodziło stół, serwując apetyczne tartinki.

– No to kiedy niby ma te jajka gotować? – roześmiała się Lena.

Olesia opowiadała w natchnieniu:

– Są takie świetne kursy, pięciodniowe. Małe grupy, po siedem osób. W poniedziałek wylot do Rzymu. Superhotel, codziennie zajęcia plus zwiedzanie. I prawdziwy kucharz z pięciogwiazdkowej restauracji. Sama chciałam pojechać. I jeszcze przy okazji na shopping.

Podniosła kieliszek.

– To co, zdrowie jubilatki? Daj ci Boże bogatego męża!

Zgodnie stuknęłyśmy się kieliszkami.

– I co? – drażyła temat Weronika. – Potem będzie umiała zrobić jakieś carpaccio czy inne pappardelle, a zwykłej jajecznicy nie usmaży?

– I bardzo dobrze – wzruszyła ramionami Kira. – Sam cholesterol, ta twoja jajecznicza.

Kira wyróżniała się z naszej bladej gromadki niesamowitą czekoladową opalenizną. Trzymała na kolanach ślicznie uczesaną Taję – yorka, również w kolorze czekolady. Jedwabista sierść miniaturowego pieska nadawałaby się na najwyższej jakości perukę.

Kira właśnie przyleciała z Florydy. Była z Tają w klinice. W sumie operację można było przeprowadzić również w Europie, ale tam yorkom przyczepiano do tylnych łapek kółka, dzięki czemu pieski mogły się poruszać, a na Florydzie leczyli łapy jakąś nową metodą, tak że kółka nie były potem potrzebne.

– Mimo wszystko, wicie – mówiła Kira – takie kółka to kłopot. Pewnie stukają po podłodze. I mogą się zaczepiać o dywan.

Operacja się udała i zadowolona Kira polecała wszystkim klinikę na Florydzie.

Okazało się, że nie zna jeszcze swojej sąsiadki z lewej. Ola miała sklep z odzieżą sportową. Wciągnął ją temat klinik i operacji, i zaczęła głośno opowiadać o swojej nowej piersi. Operowano ją zaledwie przed miesiącem. Blizny jeszcze się nie zagoiły. Temat chwycił; połowa dziewczyn przy stole miała podobne doświadczenia, więc rozmowa wyraźnie się ożywiła. Czasem tylko przerywał ją głośny chichot, kiedy któraś z nas zauważała, że słuchają również wszyscy przy sąsiednich stolikach. Jak zwykle w piątki restauracja była pełna.

Z piersi zeszło na chirurgię kosmetyczną w ogóle. Doliczyłyśmy się w sumie czterech poprawionych nosów, sześciu odsysań tłuszczu, dwu podciągań oczu i pięciu zmian kształtu warg. Na dwanaście dziewczyn.

Toasty były coraz częstsze, rozmowy coraz głośniejsze.

Dochodziła północ, restauracja powoli pustoszała.

Ktoś zaproponował, żeby jechać do „Czerwonego Kapturka”. Lena poprosiła o rachunek. Weronika głośno zapytała, kto ma największy rabat w knajpach Nowikowa. Niestety, żadna z

nas nie zasłużyła jak dotąd na więcej niż dziesięć procent. Lena podała kelnerowi kartę kredytową i numer karty dyskontowej. Po „strzemiennym winku” i „strzemiennym papierosku” zbierałyśmy się jeszcze dobre pół godziny, aż w końcu, pozawijane w futra, zapakowałyśmy się do samochodów i długim łańcuchem pomknęłyśmy do klubu z męskim striptizem „Czerwony Kapturek”.

Chyba było jeszcze wcześniej, bo w klubie okazałyśmy się jedynymi gośćmi.

Zajęłyśmy wielki stół pośrodku sali, pod wysoką żelazną klatką. Kelnerzy podali menu. Wybrałyśmy „gorące tańce”. Zamówiłyśmy też po koktajlu. I od razu poprosiłyśmy o oddzielne rachunki. Zamierzałyśmy wypić sporo i wracać późno, a lokal był drogi, ceny kosmiczne, potem same kłopoty: biegać po wszystkich i sprawdzać, kto brał „indywidualny striptiz” czy inny „taniec w gabinecie”. A tak każda kontrolowała własne wydatki.

Młode opalone ciała w kąpielówkach tańczyły przy naszym stole i Lena z Katią już się wdrapały na scenę (taniec na scenie doliczali tu do rachunku), a nieustraszona Olesia weszła do metalowej kabiny, dokąd tuż za nią pospieszył goły Murzyn. Kira nie odrywała oczu od niebieskookiego blondyna w slipach z siatki, który na partnerkę erotycznych piasów wybrał Taję, czyli yorka Kiry. Muzykę puścili tak głośno, że dałyśmy sobie spokój z rozmową i rozlazłyśmy się po całym klubie w poszukiwaniu przygód.

Dwie godziny później przyszło mi do głowy, że długo już nie widziałam Leny. Wyszłam na ulicę i sprawdziłam, czy stoi jeszcze jej samochód. Stał. Nawet gdyby założyć, że zniknęła ze striptizerem w jakimś zacisznym kącie, dawno już powinna była wrócić.

Odstawiłam swój koktajl na pierwszy lepszy stolik i poszłam w stronę toalet. Drzwi jednej z kabin były uchylone. Ola pedantycznie, dwiema kartami kredytowymi American Express, formowała białe kreski kokainy na brzegu muszli sedesowej. Tuż obok siedziała w kucki Katia ze zwiniętą w rurkę studolarówką.

– Nie widziałyście Leny? – zapytałam. Nie widziały.

Raz jeszcze przeszukałam cały klub i wyszłam na ulicę. Zajrzałam do samochodu Leny. W środku siedziała Lena i płakała gorzkimi pijackimi łzami. Było mi zimno; zastukałam w okno.

– Zmarzłam! – pisnęłam oburzona, kiedy mnie wreszcie wpuściła.

– Przepraszam – powiedziała Lena przez łyż.

– Ej, czemu płaczesz? To twoje urodziny! Lena nie odpowiedziała, tylko płakała dalej.

Objęłam ją.

– Coś nie tak z tym twoim facetem? Przytaknęła.

– Przedwczoraj poleciał do Berlina i ani razu nie zadzwonił – mówiła, połykając słowa.

– Nawet nie złożył życzeń? – naprawdę byłam zdumiona.

– Nie – powiedziała przybita Lena i rozplakała się jeszcze bardziej.

– Może coś mu się stało? Nie odpowiedziała.

Siedziałyśmy objęte w samochodzie i nic już nie mówiłyśmy. Łzy na policzkach Leny zdążyły wyschnąć, ale obie nawet nie drgnęłyśmy.

Przestraszyłam się, że zaraz zaśniemy.

– Chodź na drinka – zaproponowałam.

– Chodź – podchwyciła Lena. – I pojedziemy do domu.

– Dobra.

Do domu wróciłyśmy nad ranem. Milicjanci z drogówki spali w swoich budkach, szosy świeciły pustką, więc wszystkie dotarłyśmy szczęśliwie. Lena skończyła trzydzieści dwa lata.

Cała zachwycona przeglądałam się w lustrze: moje zmarszczki powoli wracały na swoje miejsce. Oczywiście uśmiech wciąż jeszcze nie był taki sam jak kiedyś – przypominał uśmiech namalowany na twarzy klauna, ale szło ku lepszemu. Wesołe promyczki zmarszczek rozbiegały się od zewnętrznych kącików oczu; cierpliwie trenowałam je przed lustrem. W końcu któryś z uśmiechów wyszedł prawie idealny. Natychmiast go zapamiętałam. Kilka minut później zmusiłam do uśmiechu również oczy.

Byłam całkiem zadowolona. Znowu się sobie podobałam. Wspaniałe uczucie! Jestem piękna. Tańczyłam po pokoju w jedwabnej koszuli nocnej na cieniutkich ramiączkach, wyobrażając sobie, że to suknia wieczorowa i że patrzą na mnie setki zachwyconych oczu. Co chwila przepływałam przed lustrem i uśmiechałam się do swojego odbicia tym uśmiechem, którym człowiek rzadko obdarza kogokolwiek poza sobą samym. Postanowiłam wdać się w romans z jakimś fotografem, żeby całymi dniami mu pozować. Czułam się kobietą Jamesa Bonda, mogłam oczarować każdego. Cudownie!

Telefon zadzwonił dziarską muzyczką z filmu *Nu, zając, pogodi!* Wyświetlił się moskiewski numer Wanieczki. Prawie już o nim zapomniałam. Jednak w ludziach, którzy kiedyś sprawili nam ból, jest coś niesamowicie pociągającego. W pierwszym odruchu chciałam odebrać. Nie! Wanieczka miał swoją szansę, ale jej nie wykorzystał. Muzyczka nagle się urwała. „Co za dużo, to niezdrowo” – skomentowałam w imieniu Wanieczki. Albo inaczej. „Nie dla psa kiełbasa”.

Pomyślałam, że dawno już nikt mnie nie kochał. I spróbowałam wyobrazić sobie mężczyznę, którego miłość przyjąłabym teraz jak długo wyczekiwaną nagrodę. Wyobraźnia usłużnie podsuwała postać Serża. Próbowałam go zamienić na kogoś innego, ale zmieniał się tylko wyraz twarzy. Postanowiłam oszukać samą siebie. Wyobraziłam sobie Toma Berengera obejmującego mnie z całą namiętnością, o jaką go podejrzewałam. Pochylił głowę i niemal muskał wargami moje ucho... a potem zaczął mówić głosem Serża.

Ręce mi opadły. Wyciągnęłam przyniesione z firmy papiery i pogrążyłam się w studiowaniu rachunków.

Od pracy oderwała mnie Lena. Pytała, czy może wpaść z wizytą.

Wiedziałam, że jeśli odłożę teraz wszystkie te cyfry i procenty, potem będę musiała liczyć od początku. Ale Lena powiedziała, że jest już trzy minuty od mojego domu, więc pozostawało jedynie ucieszyć się z jej przyjazdu.

Lenę dopadło rozczarowanie. Ledwie jej ukochany wrócił z zagranicy i załagodził fatalną wpadkę z urodzinami, zaraz oświadczył, że Nowy Rok musi spędzić ze swoją byłą rodziną w Courchevel. Ze względu na dziecko. Żeby córeczka miała prawdziwe ferie. Mama, tata i córka, rodzina w komplecie. Lena była wściekła.

– Nie rozmawiałam z nim na temat sylwestra, czekałam, jaką mi zrobi niespodziankę, a tu

masz! Niespodzianka! – rzucała się Lena.

– A on co?

– Nic! Mówi: przecież to moja córka!

– Koszmar! – zawołałam. – I co teraz zrobisz?

– A ty gdzie idziesz na sylwestra?

– Jeszcze nie wiem... Jeśli mama weźmie Maszkę do siebie, pewnie się gdzieś wybiorę...

– To ja z tobą. A on niech spada... Lena była bardzo zdenerwowana.

– Wiesz – powiedziała po chwili milczenia – zakochałam się w nim...

Westchnęłam ze zrozumieniem.

Od czasu naszego ostatniego spotkania brzuch Swietłany urósł co najmniej dwukrotnie. Była teraz potężna jak zapaśnik sumo, i całkiem już przestała o sobie dbać.

Żałowałam, że Serż nie zobaczy jej w tym stanie.

Spotkałyśmy się w „Wiejskiej Werandzie”. To był jej pomysł. Moim zdaniem w dziewiątym miesiącu ciąży nie powinna siadać za kierownicą. A tym bardziej wyjeżdżać za miasto.

Właśnie od tego zaczęła rozmowę.

– Kierownica uwiera mnie w brzuch – poskarżyła się z satysfakcją na twarzy.

Poradziłam, żeby jeździła taksówką.

Zamówiliśmy kurczaka po chińsku, a Swietłana poprosiła jeszcze kelnera o kiszone ogórki.

Kelner uśmiechnął się domyślnie.

– Dlaczego nie wynajmiesz sobie mieszkania? – zapytałam ze źle skrywaną irytacją.

– Wiesz – powiedziała, zaglądając mi przymilnie w oczy – postanowiłam nie wynajmować.

– Tak? – pomyślałam, że pewnie przepuściła już wszystkie moje pieniądze.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, zostanę na razie w tym starym. A pieniądze wpłaciłam jako pierwszą ratę za mieszkanie w Kryłatskim. Budują tam fantastyczny dom i będzie dobre powietrze dla dziecka – teatralnie westchnęła. – Pierwsza rata to piętnaście tysięcy. Dziesięć mi dałaś, a teraz, gdybyś była tak dobra... dla mnie i dla dziecka Sergieja... jeszcze pięć...

– A reszta? – zapytałam.

– Sześćset dolarów miesięcznie rozłożone na dziesięć lat. Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, prosiłabym... Skończę jakąś szkołę, zacznę pracować... Mam wielkie plany.

Rozumiałam, że to sensowniejsze, niż płacić po dwa tysiące miesięcznie za wynajem. Jeszcze sensowniej by było, gdyby miała własne pięć tysięcy albo gdybym kupiła to mieszkanie na siebie. A potem niech sobie tam mieszka – za darmo.

Świetłana pogrzebała w torebce i z rozpromienioną twarzą wyciągnęła niebieskie zawiniątko. Były to maleńkie śpioszki z guziczkami pośrodku.

– Patrz, jakie śliczne! – była tak zachwycona nowym nabytkiem, że zaczęła wyglądać prawie ładnie, z tą niebieską szmatką przytuloną do policzka.

Kątem oka dostrzegłam uśmiechy rozanielonych dziewczyn przy sąsiednim stoliku.

Poczułam się w tym wszystkim taka mała i nieważna, że zachciało mi się podskakiwać.

– Na jakim etapie budowy jest dom? Swietłana starannie zapakowała śpioszki.

– Dziura w ziemi – uśmiechnęła się. – Dlatego tak tanio.

– A kiedy odbierzesz mieszkanie?

– Za dwa lata. Zrobiłam rozeznanie, to bardzo porządny developer, mają już parę realizacji.

Myślę, że dotrzymają terminu. Już sobie wyobrażam, jak będziemy obchodzić drugie urodziny Sieriożki w nowym mieszkaniu. Chcę urządzić pokój dziecienny w stylu morskim.

Skinęłam głowę.

– OK. Przyjedź jutro do mnie do biura. Porozmawiam z księgowym.

Swietłana pisnęła i pocałowała mnie w policzek.

Chcąc nie chcąc, pomyślałam, że tysiące razy robiłam to samo z Serżem. Tylko Serż zawsze uśmiechał się, kiedy go całowałam, zadowolony i dumny.

Nie mogłam się uśmiechać, bo bankomaty, kiedy już dadzą gotówkę, zazwyczaj się nie uśmiechają.

Swietłana jadła kurczaka, łapczywie zerkając na talerze na sąsiednich stolikach.

W drzwiach nieoczekiwanie stanęła Lena. Rzuciła kurtkę z ognistorudych lisów szefowi sali i podbiegła do mnie.

– Jak dobrze, że cię spotkałam! Jestem taka głodna! Nie chciało mi się jechać do domu... – zerknęła na Swietłanę, ale z pytaniem zwróciła się tylko do mnie: – Nie przeszkadzam wam?

Nie byłam pewna, czy koniecznie chcę poznać Swietłanę z moimi przyjaciółmi.

– Pewnie, że nie. Siadaj.

Swietłana pospiesznie zabrała torebkę z pustego krzesła i z szerokim uśmiechem powiedziała:

– Jadłyśmy kurczaka po chińsku.

– Wezmę dwie porcje! I jeszcze kuskus! Chłopiec czy dziewczynka? – Lena wbiła rozczulone spojrzenie w brzuch Świetlany.

– Chłopiec – powiedziała śpiewnie Swietłana.

– Poznajcie się: Swietłana, Lena – powiedziałam.

Ale Lena już straciła zainteresowanie nową znajomą. Z wielkim ożywieniem omawiała z kelnerem szczegóły zamówienia. Stańło na puree ziemniaczanym i stroganowie.

– Ma pani dzieci? – zapytała zniecierpliwiona Swietłana.

– To kochanka mojego męża – wyjaśniłam, z rozkoszą obserwując jej zmieszanie.

– A... – Lena zaserwowała Swietłanie uprzejmy uśmiech. Po takim uśmiechu przestaje się mówić ludziom dzień dobry.

Świetłana studiowała kartę. Lena odwróciła się do mnie z wyraźnie wypisanym na twarzy pytaniem. Zostawiłam je bez odpowiedzi.

Wymieniłyśmy jakieś nic nie znaczące słowa.

Kelner przyniósł Swietłanie truskawki flambee.

– Świetnie wyglądasz – skomplementowała mnie Lena.

– Dzięki, ty też. Jak tam ukochany?

– Postawiłam mu ultimatum – Lena nalała sobie filiżankę kolekcjonerskiej chińskiej herbaty po dziesięć dolarów. Za łyk, naturalnie.

– Słusznie – lubiłam takie proste, konkretne rozwiązania. – Z jakimi warunkami?

– Powiedziałam mu: wybieraj! Nie mam nic przeciwko twojej córce. Mogę ją nawet adoptować, jeśli koniecznie chcesz. Ale żona?!

Rozdygotana Lena wbiła we mnie pytające spojrzenie. Oczekiwała poparcia. Nie zawiodłam jej.

– „Powiedziałam mu, że tak: po pierwsze, rozwód. Po drugie, żadnych wspólnych wakacji z byłymi żonami. Po trzecie...

– To on się jeszcze nie rozwiódł? – zapytałam.

– Wyobraź sobie, że nie! Już cztery lata nie mieszkają razem, a ona cały czas traktuje go jak męża, kochanka, ojca i biednego krewnego jednocześnie!

– Koszmar – pokręciła głową Świetlana. Obie z Leną spojrzaliśmy na nią nieufnie.

– I jeszcze mu powiedziałam tak – ciągnęła Lena, ignorując uwagę Świetlany. – Możesz sobie wozić córkę do szkoły czy gdzie tam chcesz, ale nie codziennie. Od czego są kierowcy. W weekendy możesz się z nią spotykać, ile chcesz, ale bez matki.

Możesz jeździć z nią na wakacje, ale tylko we dwójkę. Albo ze mną. I przestań traktować mnie jak kochankę, z którą się trzeba ukrywać. Racja?

– Racja – pochwaliłam. – I co?

– Zabroniłam mu dzwonić, przyjeżdżać, pisać, wysyłać telegramy i tak dalej, dopóki nie przyjmie moich warunków. Najlepiej będzie, jak wywiesi białą flagę, czyli poprosi o rękę i serce.

– Można jeszcze spróbować wziąć go na zazdrość – poradziła Świetlana.

– Na zazdrość? – powtórzyła bez przekonania Lena.

– No tak. Zostawić jakiś kwiatek w samochodzie. Telefon nie wiadomo od kogo...

– Albo wizytówkę w jakimś widocznym miejscu! – podchwyciła w natchnieniu Lena.

– No.

– Dokładnie.

– Albo zniknąć na parę dni. Zostawić telefon u mamy, niech mówi, że Lenka pojechała do domu i zapomniała zabrać.

Lena patrzyła na Świetlanę z takim zachwytem, że miałam ochotę zostawić je same i wyjść.

– Też o tym myślałam. A potem niewinnie powiedzieć, że byłam u przyjaciółki na wsi!

Świetlana przyklasnęła.

W torebce Leny zadzwonił telefon.

– To on. O wilku mowa. Zaraz go tak urządzę... – zdawało mi się, że mrugnęła do Świetlany. Nie mogłam wyjść ze zdumienia.

Dzwonił monter sieci telefonicznych. Lena wezwała go dwa dni wcześniej, żeby pokazać,

gdzie ma zainstalować dodatkowe gniazdko. Czekał już pół godziny.

– Zapomniałam! Jadę! – krzyknęła Lena, szybko pożegnała się i w biegu naciągając kurtkę, wypadła na ulicę.

– Jaka sympatyczna dziewczyna – zauważyła Swietłana, kiedy Lena zniknęła nam już z oczu.

– Tak – powiedziałam powoli – jej mąż dwa lata temu odszedł z inną.

Swietłana uśmiechnęła się współczująco i pogłaskała swój wielki brzuch.

– Muszę już lecieć. Chcesz coś jeszcze? – zapytałam oschle.

– Nie, dziękuję.

Poprosiłam o rachunek. Swietłana zaczęła szukać numerków z szatni.

Zgadzała się na wszystko z taką rozbijającą gotowością, że pomyślałam sobie: nic dziwnego, że nasi mężowie odchodzą do takich Swietłan... „Od Len” – sprecyzowałam mściwie.

Wszystkie niedziele spędzałam z córką. Jechałyśmy do dziecięcego klubu „Santa Fe” albo na statek „Wiking”, chodziłyśmy do cyrku albo do teatru. Tym razem pojechaliśmy do teatryku. Masza siedziała na tylnym siedzeniu i opowiadała najnowsze szkolne plotki: Ola ma swoją stronę w Internecie, Kati mama pozwala malować usta błyszczkiem, a Nikita, niestety, jest okropnie tępy. Mówiąc o Nikicie, Katia uśmiechała się przepraszająco. Była wyjątkowo dobrze wychowana. Za dobrze. Czasem myślałam, że przegapiłam moment, w którym należało dać już sobie spokój z dobrym wychowaniem.

Dobre wychowanie zaczynało ją ograniczać, krępować jej ruchy, i – co najgorsze – jej uczucia. Wyrobiło w niej mnóstwo kompleksów w rodzaju „nie wolno”, „nie mogę”, „nie powinnam”, „nie wypada”. Co w połączeniu z naprawdę dobrym i współczującym sercem niemal paraliżowało jej osobowość. Miałam nadzieję, że z czasem wszystko to minie.

Masza pochwaliła się piątką z matematyki i oświadczynami Prochorowa, a potem z goryczą opowiedziała, jak to nauczycielka przy całej klasie wyśmiała jej fryzurę.

– A co, opiekunka nie zaplotła ci rano warkocza? – zapytałam.

– Pewnie że zaplotła. Ale na przerwie Nikita uderzył mnie tornistrem, zaczęłam go gonić, przyłożyłam mu piórnikiem, a potem upadłam i jedna gumka mi się zsunęła.

– I co ta nauczycielka?

Masza spuściła wzrok i powiedziała cichutko:

– Nakrzyczała na mnie. I cała klasa się śmiała.

Byłam tak oburzona, że przejechałam skrzyżowanie na czerwonym świetle. Na szczęście w pobliżu nie było milicji.

To był pomysł Serża: posłać Maszę do zwykłej szkoły z rozszerzonym angielskim. Ja optowałam za British School. Tam na pewno nikt nie poniżałby mojej córki na oczach całej klasy.

– To dlaczego nie wyszłaś? Dlaczego stałaś i słuchałaś? – krzyknęłam.

Masza milczała. Sama świetnie wiedziałam, dlaczego nie wyszła. Nie wyszła, bo

nauczycielka była dorosła. A dorosłych trzeba zawsze słuchać.

Gwałtownie zatrzymałam samochód.

– Wsiadaj – powiedziałam.

– Jak to? – Masza rozejrzała się zdezorientowana. Stałyśmy naprzeciw pałacyku, w którym mieściło się konserwatorium. Śnieg padał wielkimi płatkami i płatki osiadały na rzęsach przechodniów.

– Wsiadaj – powtórzyłam zdecydowanie. – Stań na środku chodnika i wrzasnij na cały głos.

– Co mam wrzasnąć? – spytała szeptem Masza. W jej oczach dostrzegłam przerażenie.

– Po prostu „aaa”! Tylko bardzo głośno. Najgłośniej, jak potrafisz.

– Nie mogę – po policzkach popłynęły łzy.

– Możesz! – ryknęłam. – Musisz! I to już! – krzyczałam na córkę tak, że cała się trzęsła. Ale nie mogłam się już powstrzymać.

Masza stała na chodniku i uparcie wpatrywała się we mnie przez przednią szybę samochodu. Otworzyłam okno od strony pasażera.

Masza czekała, aż szyba całkiem się opuści. Jej pierwsze słabe „aaa” brzmiało jak SOS na otwartym morzu.

– Głośniej! – powiedziałam szeptem. Odczytała to słowo z ruchu moich ust.

– Aaa! – krzyknęła Masza, jakby smakując tę literę. – Aaa!

Przerażenie w jej oczach zmieniło się w łobuzerski błysk, a potem w radość i wielkie, niewiarygodne zdumienie.

– Aaa! – wrzeszczała na całe gardło. Niebo jakoś nie zważyło jej się na głowę, czego pewnie oczekiwała.

Przechodnie mijali ją, nawet się nie zatrzymując, rzucali tylko krótkie spojrzenia na roześmianą dziewczynkę w różowej czapeczce. Dziewczynka stała sobie i wrzeszczała z całych sił: „Aaa!”

Tak wrzeszczą jeńcy, którym udało się uciec na wolność.

– Wsiadaj – pokiwałam na nią palcem.

Ale ona wcale nie miała ochoty ruszać się z chodnika. Wodzowie nie lubią opuszczać pola wygranej bitwy.

– Chcesz, krzyknę jeszcze? – zaproponowała, włączając na tylne siedzenie.

– Nie, nie chcę.

Uśmiechałam się zadowolona, a zaróżowiona, dumna z siebie i obłądnie szczęśliwa Masza rwała się już do kolejnych bohaterских czynów.

– To co, na spektakl? Czy jedziemy do restauracji uczcić twoje zwycięstwo?

– Do restauracji! – zawołała wesoło córka, a kiedy już zawróciłam, zapytała: – Jakie zwycięstwo?

– Nad sobą.

Po drodze wstąpiłyśmy do sklepu. Kupiłam Maszy wielkiego różowego misia.

- Miś i Masza – powiedziała zachwycona, sadwiąc go obok siebie.
- Mama, Masza i miś – poprawiłam. Szeroko uśmiechnięta Masza pokiwała głową.

Kierowca składał zeznania.

Rano, o dziesiątej, jak zwykle, wszedł na klatkę domu, w którym mieszkał Serż. Zadzwoił do drzwi. Serż od razu otworzył. Był już ubrany. Kierowca poprosił go o kluczyki od samochodu. Serż powiedział, że się spieszy i że wyjdą razem. Winda, jak w wielu starych budynkach, zatrzymywała się na podestach między piętrami. Kiedy zjechali na dół, kierowca przepuścił Serża w drzwiach. To uratowało mu życie. Ostatnie, co zobaczył, to dwu mężczyzn, jeden na schodach prowadzących na górę, drugi – na dół. Tego, który stał niżej, kierowca rozpoznał. Widział go kilkakrotnie w biurze Serża. Nic więcej nie pamiętał. Nawet strzałów.

Pewnie była to jakaś reakcja obronna organizmu: najokropniejsze przeżycia zostały wymazane z pamięci.

O tym, że do nich strzelano i że Serż nie żyje, kierowca dowiedział się dopiero w szpitalu.

Początkowo nie chciał rozmawiać z milicją, wykręcał się stanem zdrowia.

Podtrzymywali go w tej decyzji lekarze i rodzina.

Ale oficerowie – przypuszczałam, że nawet wiem, którzy – zagrozili, że wyrzucą jego ochroniarzy, jeśli nie zacznie mówić. Co oznaczało śmierć. Więc zaczął zeznawać.

Był bardzo osłabiony i jeszcze nie wstawał z łóżka. Nogi miał nadal bezwładne, ale już samodzielnie przyjmował pożywienie – wyciągnięto sondy i lekarze mówili, że idzie ku lepszemu.

W jego sali po parę godzin dziennie siedział milicyjny grafik. Rysował portrety pamięciowe.

A ja ciągle myślałam: dlaczego go nie dobili? Serża dobili, a kierowcy nie. Może ktoś ich spłoszył? Ale to by znaczyło, że są inni świadkowie. Dlaczego siedzą cicho?

Postawiłam na stoliku przy łóżku litrową puszkę czarnego kawioru. Nie wiedziałam, czy wolno mu jeść kawior. Ale przywoziłam tylko kawior. Jego rodzina raczej nie kupi mu czegoś tak drogiego. A jego mama dalej nie mówiła mi dzień dobry. Nadal odprowadzała mnie spojrzeniem pełnym nienawiści, więc starałam się bywać w szpitalu możliwie rzadko. Tym bardziej że kierowca zaczął zachowywać się podobnie, i to było już całkiem nie do wytrzymania. W końcu nie mogłam się czuć winna temu, że on żyje, a mój mąż nie.

Pokazali mi dwa naszkicowane ołówkiem portrety pamięciowe. Nie znałam nikogo podobnego, ale starannie przyjrzałam się obu mordom, usiłując dociec, która z nich należy do Wowy Szczura.

W sumie niewiele wiedziałam o pracy mojego męża. Nawet w jego firmie bywałam raz na pół roku. Najwyżej.

W ostatnich dwu tygodniach ciągle mówił, że ma jakieś kłopoty, wieczorami wracał bardzo późno, ale myślałam, że kłopot jest jeden konkretny i ma na imię Świetlana.

Zadzwoiłam do Wadima.

– Musimy się spotkać.

– Czekam.

Wadim miał biuro w starej willi na Srietience. Willa była zabytkowa, miał nad nią pieczę konserwator. I ochroniarze Wadima, dla pewności. Wadim parał się budownictwem samorządowym. Przed dwudziestu laty skończył z wyróżnieniem jakąś filologię na Uniwersytecie Moskiewskim. I zaraz potem zaczął budować: najpierw piramidy finansowe, później bloki na peryferiach miasta i wreszcie własne imperium, które nazwał na cześć żony „Regina”. Chociaż plotka głosiła, że tak miał na imię seter czy inny chomik Wadima, kiedy Wadim był jeszcze pionierem.

W jego gabinecie odrestaurowano oryginalne szesnastowieczne freski. Każdy centymetr ściany ozdabiała skomplikowane barwne arabeski. Odtwarzali je specjaliści sprowadzeni z klasztoru w Zagorsku. Wadim planował odnowić w ten sposób całą willę.

– Kim jest Wowa Szczur? – zapytałam, sadowiac się wygodnie w wielkim skórzanym fotelu.

Kiedyś miałam wrażenie, że mu się podobam. A/może miał ten rzadki u mężczyzn talent – rozmawiał z każdą kobietą tak, jakby była jedyna na świecie.

– Wszystko w porządku? – zapytał zaniepokojony Wadim. – Nic ci nie grozi?

– A co mi może grozić? – głos mi zadrzał. – Coś przede mną ukrywasz?

Wadim wzruszył ramionami.

– Dlaczego o niego pytasz?

– Najpierw powiedz mi, kim on jest.

– Widzisz, przyjaźnił się z Serżem. Obaj uwielbiali kasyno. Znasz przecież swojego... Nic go nie mogło powstrzymać. Wowa to ten sam typ.

– I tyle?

– No, zaczęli jakieś interesy... Mieli wspólny projekt.

– Jaki?

– Ale dlaczego pytasz? – Wadim mówił cicho i miękko, znowu miałam wrażenie, że coś do mnie czuje.

– To on... zabił... Serża – dwa razy zabrakło mi oddechu, zanim to powiedziałam.

– Czemu tak uważasz?

– Znali się z Okoniem?

– Nie wiem.

Pomyślałam, że nikt poza mną nie zamawiał Okonia. Oleś zwyczajnie skłamał. Wadim powoli tracił cierpliwość.

– Dobra, opowiedz mi wszystko, co wiesz.

– Ale ja nic nie wiem! – krzyknęłam zrozpaczona. – Tylko tyle, że to był Wowa Szczur. To ty mi opowiedz!

Wadim też wiedział niewiele.

Poszło o wielkie i dochodowe przedsiębiorstwo państwowe. Państwo gotowe było sprzedać

czterdzieści dziewięć procent jego akcji. Oczywiście swoim ludziom. Decyzja praktycznie już zapadła, omawiano jedynie szczegóły. Serż miał zostać jednym z akcjonariuszy. Wadim nie miał pojęcia, jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Wowa Szczur. Ale na pewno pierwszoplanową.

– Uważasz, że to przez ten interes? – zapytałam.

– Jestem przekonany, że tak.

– Czyli Wowa dobrze na tym wyszedł? Wadim zapalił papierosa.

– To był łakomy kąsek, niejeden się na niego oblizywał...

– I to już wszystko? – byłam rozczarowana.

– Tak.

Sekretarka przyniosła kawę.

– Właściwie nie prosiłem – Wadim spojrzał na nią zdumiony. – Może napijesz się kawy?

– Nie, muszę jechać. Dziękuję – uśmiechnęłam się do sekretarki. Była doskonałym przeciwieństwem Reginy. Ślicznym przeciwieństwem. – Na razie, Wadim. Zadzwoń.

Doszłam już do drzwi, ale zawróciłam. Wbiłam wzrok w antyReginę. Zrozumiała, zaserwowała mi profesjonalny uśmiech i wymknęła się z gabinetu. Podeszłam blisko do Wadima.

– Jak myślisz – zapytałam prawie szeptem – dlaczego nie dobili go strzałem w głowę?

Wadim w lot wszystko zrozumiał. Ci chłopcy w luksusowych biurach są jednak całkiem bystrzy. Inaczej nie mieliby swoich imperiów, nazywanych imionami chomików.

– Bo chodziło im o Serża – odpowiedział zwięźle.

Skinęłam głową i wyszłam.

Cała Moskwa wyjechała w góry.

Ci, którzy jeszcze nie wyjechali, pakowali walizki, żeby ruszyć zaraz po Nowym Roku. Ci, którym zależało na towarzystwie starych znajomych i sąsiedztwie oligarchów, jechali do Courchevel.

Pozostali do Sankt Moritz.

Paru snobów wybrało się gdzieś pod równik, ale nie było ich wielu. Z tym, że wykupili wszystkie bilety na rejsy Aeroflotu i teraz bez wcześniejszej rezerwacji nie było co marzyć o wycieczce na Malediwy, Seszele czy inną Florydę. Podobnie jak o miejscu w przyzwoitym hotelu. Nie mówiąc już o luksusowym.

Ci, którzy zostali, rozkoszowali się pustymi ulicami bez korków i spotykając znajomych, zwracali się do nich jak do członków swojego bractwa: „Ty też tutaj? Świetnie!”.

A w sylwestra szli do restauracji.

Dla tych, którzy mają szczęście mieszkać przy szosie rublowskouspienskiej, a nie zamierzają wyjeżdżać na Nowy Rok, wręcz stworzona była „Wiejska Weranda”.

Właśnie tam wybierałam się na sylwestra.

Towarzystwo przyszło dość dziwne: ja, Katia, Lena z narzeczonym, który nazajutrz wyjeżdżał do Courchevel z byłą rodziną, sąsiedzi Leny – mąż i żona oraz dwaj homoseksualiści

Mitia i Motia, żeby było trendy.

Dali nam stolik pośrodku sali, pod prawdziwą brzozą przybraną jak choinka.

Kiedy weszłam do restauracji, przy naszym stoliku siedziała już Ania. Wymachiwała papierosem w długiej lufce. Nogi w siatkowych pończochach zarzuciła na kolana Moti. Parę lat temu miała kupę szczęścia, wpadła z oligarchą, urodziła mu dziecko i teraz mogła sobie kupować siatkowe pończochy w dowolnych ilościach i trzymać nogi na dowolnych kolanach. Tyle tylko, że oligarcha ją rzucił, a ona go naprawdę kochała.

Goście byli w komplecie, restaurację wypełniało skondensowane oczekiwanie szampańskiej zabawy.

Elegancy kelnerzy nalewali wino, które wchodziło w cenę wejściówki, bez ograniczeń.

Ania nieustannie klęła, ponieważ uważała to za ekspresję osobowości.

Na nasz widok Mitia machnął ręką jakimś swoim znajomym, złapał Anię i poszedł ją przedstawiać.

Ania, trzeba jej przyznać, miała poczucie humoru, więc została ze znajomymi Miti – teraz bawiła ich rozmową, wydmuchując im kłęby dymu prosto w twarz. Mitia natomiast wrócił, żeby przywitać się ze mną i z Katią.

My tymczasem ścisaliśmy się już z Kirą. Jej york nie wytrzymał jednak operacji na Florydzie, umarł i został pochowany w zabytkowej chińskiej szkatułce w ogrodzie za domem Kiry. Do „Werandy” przyjechała z miniaturowym pudlem, pofarbowanym wellą na jaskraworóżowo, pod kolor sukni Kiry. Pudel, to znaczy pudlica, nazywała się Blondi i wszystkie dziewczyny w restauracji na jej widok piszczwały z zachwytem.

Kira oznajmiła, że czeka na Olesię, która przyjedzie spóźniona, bo właśnie kłóci się z mężem. Rano doszła do wniosku, że mąż już jej nie kocha.

– Dlaczego? – spytała Katia.

– Chyba się jej coś śniło – wyjaśniła łaskawie Kira.

Katia niecierpliwie zerknęła na zegarek: o północy miał się rozstrzygnąć jej zakład z oligarchą. W poprzedniego sylwestra założyli się, że Katia na rok rzuci palenie. O pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Minutę po północy zamierzała się porządnie zaciągnąć.

– To może nie będziesz już palić? – spytał Mitia.

– Będę – powiedziała Katia. – I to jeszcze jak!

Katia kończyła budować dom na Nikolinej Górze i pięćdziesiąt tysięcy dolarów miała teraz jak znalazł.

O północy zrobił się taki huk, jakby otwarto wszystkie naraz szampany, które były w tej restauracji.

Krzyczeliśmy, stukaliśmy się kieliszkami, ściskaliśmy się i całowali.

Każdy z gości miał jakichś znajomych przy sąsiednich stolikach, więc atmosfera była prawie rodzinna.

Podeszłam do Wiki, żeby jej złożyć życzenia. Wika przez cały wieczór uśmiechała się do

mnie zza swojego stolika. Była z dziećmi i trenerem pływackim. Wyglądał nieskazitelnie. Wika karmiła go łyżeczką, małymi kawałkami bakłażana.

– Jedziecie gdzieś na ferie? – rzuciłam jak hasło. Byłam pewna, że wybierają się do Courchevel. W Courchevel trener Wiki, młody i przystojny, zrobiłby furorę.

– Nie – Wika, jak zwykle, nieomal śpiewała. – Pojedziemy w lutym, jak już wszyscy wrócą. Potrzebuję trochę spokoju.

– Wszyscy mówią, że potrzebują trochę spokoju, ale nikt nie wyjeżdża w lutym.

Młodsza córka Wiki podbiegła do stolika i pociągnęła trenera za rękaw.

– Daj pić – powiedziała kapryśnie.

Podał jej wodę i poprawił rozwichrzone włosy. Mała szybko uśmiechnęła się, wzięła szklankę i dokądś pobiegła.

Wszystkie marzą o pięknych chłopcach i ich zakochanych oczach, a Wika ma to naprawdę.

Przyjechała Żanna Aguzarowa, nie wiedzieć czemu cała zabandażowana. Tylko oczy błyskały z wąziutkiej szczeliny. „Żeby nie było widać, jak się czerwieni ze wstydu, że występuje przed taką publicznością” – powiedział Mitia. Żanna śpiewała i wszyscy tańczyli na stołach.

Zauważyłam, że Motia pali marihuanę.

Obejrzałam się na kelnerów. Ich twarze były najzupełniej obojętne.

Wyciągnęłam rękę po jego jointa, ale pokręcił głową i podał mi nowego. Rozejrzałam się za zapalniczką.

Motia i kelner jednocześnie podali mi ogień.

Tego się nie spodziewałam. Dotychczas kelnerzy przypalali mi jointy tylko w amsterdamskich coffee shopach.

Był to ostatni cud tego wieczoru. Do piątej rano tańczyłam z Anią w rytm jakichś piosenek zespołu „Superówki”. Zdaje się, że Ania zabrała któregoś z nich mikrofon.

Lena piła piwo, szklanka po szklance, i wreszcie zapomniała, że narzeczony dalej się jej nie oświadczył.

Patrząc na niego, myślałam, że na co dzień pewnie nie nosi różowych krawatów i nie tankuje tyle mocnej whisky. Wypiłam już parę butelek szampana i miałam wrażenie, że jestem wyjątkowo spostrzegawcza. On nie jest taki, jaki się wydaje na pierwszy rzut oka, podsumowywałam narzeczonego Leny. Adoruje śliczną Lenę i widzi się takim, jakim chciałby być, i bardzo mu to pochlebia.

Olesia pewnym krokiem zgrabnej kobiety sunęła między mężczyznami; tańczyła, uwodziła i co chwila rzucała na męża pytające spojrzenia: „Widzisz, jaka jestem rozrywana?”.

Młodszy syn prezydenta jednej z byłych republik związkowych wdał się w dyskusję polityczną z sąsiadem z lewej.

Kira poznała się z facetem w błyszczącej różowej koszuli i stała obok niego, głaszcząc różową Blondi i próbując zaczesać jej sierść na punka.

Katia przysiadła się do stolika jednej z głównych gwiazd „Wiejskiej Werandy”. Była to

postać znana w całej Moskwie. Lubił maskować łysinę szpanerskim kaszkietem i brylować w nocnych klubach. Imponował małolatom na przykład tym, że znał słowa wszystkich piosenek jeszcze z czasów, kiedy wchodziły dopiero w modę.

Z restauracji wychodziliśmy razem. Zapominając o apaszkach, torebkach, prezentach, zapalniczkach i telefonach.

Kelnerzy starannie pozbierali to wszystko, usiłując zapamiętać, co znaleźli przy którym stoliku. Wiedzieli, że pod wieczór goście zaczną dzwonić i pytać o swoje zguby. Co kosztowniejsze przedmioty od razu oddali szefowi sali, a ten zanotował nazwiska ich właścicieli. Kelnerzy doskonale znali wszystkich gości.

Przed wyjściem zrobiło się dość tłoczno. Kilku milicjantów usiłowało zaprowadzić względny porządek. Z racji Nowego Roku i hojnych sylwestrowych prezentów od restauracji nie czepiali się nietrzeźwych kierowców i nie kazali nikomu dmuchać w balonik.

Wszyscy byli zbyt pijani, żeby do nich dotarło, że zabawa, do której z takim zapalem szykowali się przez cały miesiąc, właśnie się skończyła.

Zadzwoił do mnie mężczyzna podający się za brata mojego kierowcy.

W ferie noworoczne odpoczywałam, do biura jeździłam co drugi dzień, więc gdyby nie zadzwonił, spałabym do drugiej. Zadzwonił o dziewiątej.

– Nie za wcześnie? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałam oschle, usiłując sobie wyobrazić, co też się mogło stać.

Od trzech tygodni nie byłam w szpitalu, ale wiedziałam, że zdrowiu kierowcy nic nie grozi. Poprzednim razem zostawiłam pieniądze, które powinny wystarczyć jeszcze na dziesięć dni.

– Całkiem pani o nas zapomniała – w jego głosie usłyszałam wyrzut.

– Coś się stało? – usiadłam na łóżku i zerknęłam na otwarty lufcik. Było za zimno, żeby wylazić spod kołdry.

– Przecież wie pani, że on jest w trudnej sytuacji...

– Jak mogę pomóc?

– Poza panią nie mamy się do kogo zwrócić... Jego rodzina ignorowała mnie przez bite pół roku. Co im się stało?

– Wypisujemy go – wyjaśnił brat. – Oczywiście nie czuje się jeszcze całkiem dobrze, ale w domu będzie miał lepszą opiekę.

– A co na to lekarze? – zapytałam, myśląc o ochroniarzach.

– No... nie mają nic przeciwko.

– To świetnie.

– Tyle że... widzi pani, mamy w związku z tym trochę wydatków...

– Proszę mówić!

– On potrzebuje pielęgniarki, no i mieszkanie mamy niedostosowane, poza tym jest teraz na specjalnej diecie...

– Kiedy wychodzi?

– Za trzy dni – powiedział niepewnie brat. Sprawa nie była chyba postanowiona.

– Wpadnę do szpitala jutro. O trzeciej. Odłożyłam słuchawkę.

Jeszcze jedno mieszkanie? Może by tak zamieszkali ze Swietlaną? Albo może w ogóle zabiorę dziecko do siebie? Albo wyjadę? Do Courchevel! A oni niech sobie sami sprzedają maślanke, leżą na podłodze pod lufami kałaszów i uczą się naprawiać linię pakującą...

Zwinęłam się w kłębek pod kołdrą. W salonie przesuwano meble: odchodziło mycie podłogi. Narzuciłam kołdrę na głowę, ale zanim zdążyłam zasnąć, do mojej kryjówki wdarł się brzęk talerzy. Całkiem jak w hotelu, kiedy człowiek dostaje pokój nad bufetem, w którym serwują śniadania. Tyle że tam podobne dźwięki łagodzi szum przypiływu.

Narzuciłam na ramiona szlafrok i zesłam na dół.

– Proszę to wszystko zabrać – bez żadnych wstępów wskazałam wiadra, szczotki i szmaty,

jak zwykle walające się po całym domu.

Zdumiona gosposia wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Codziennie wyjeżdżam z domu – wyjaśniłam lodowatym tonem – więc chyba można sprzątać pod moją nieobecność. A kiedy wracam, jest chyba jakieś zajęcie w prasowni czy w kuchni, a w reszcie domu może być porządek?

Odwróciłam się i poszłam z powrotem do sypialni. Gosposia zbierała wiadra i wycierała kałuże.

Kiedy znów zesłam na dół, już ubrana, zaraz do mnie podeszła.

– Nie docenia pani, jak się staram – powiedziała dumnie i zacisnęła wargi.

– Doceniam, ale mnie też trzeba trochę zrozumieć! – już czułam, do czego zmierza ta rozmowa. – Pani pracuje, a potem wraca do domu odpoczywać. A ja przyjeżdżam odpoczywać tutaj, tak?

– Pani chce powiedzieć, że za mało pracuję? – rozplakała się jak na komendę. – Od szóstej rano jestem na nogach! A jak się pralka zepsuła, tydzień prałam ręcznie!

Pokiwałam głową. Wiedziałam, co teraz nastąpi.

– A ile miałam roboty z pani sukienką sylwestrową! Cała w plamach, jakieś wino czy coś!

Milczałam. Było mi absolutnie obojętne, co to za plamy, wino czy coś. Najważniejsze, żeby te plamy sprząła. I sprząła.

– Jeśli pani nie jest zadowolona, lepiej odejść! – powiedziała gosposia, zdejmując fartuch.

Mogłam ją zatrzymać. Przeprzić, powiedzieć, jaka jest świetna i jaka jestem jej wdzięczna za wszystko, co dla mnie robi. Zresztą faktycznie była świetna. W porównaniu z innymi.

– No cóż, jeśli pani nie ma ochoty dalej pracować... – powiedziałam zrezygnowana.

– Nie mam! Bo pani sama nie chce!...

Wsiadłam do samochodu. Bez śniadania.

Ciekawe, czy przynajmniej posprząta te cholerne miski, czy rzuci wszystko jak jest? Postanowiłam odłożyć poszukiwania nowej gosposi do wieczora.

Musiałam zjeść śniadanie. Wpadłam do firmy.

Pracownicy nie spodziewali się mojego przyjazdu. Siedzieli na stołach, palili, chociaż surowo tego zabroniłam, i dzielili się kanapkami.

Na mój widok zaczęli nerwowo gasić papierosy i witać mnie przepaszającym tonem.

– Dajcie coś do jedzenia – poprosiłam i weszłam do gabinetu.

Nowa sekretarka, dokładna kopia starej, przyniosła mi chińską zupę. Zjadłam ją z przyjemnością, nawet nie myśląc, jaka jest niezdrowa.

Wszedł Siergiej. Podał mi kilka kartek z tabelkami.

– Proszę rzucić okiem – powiedział poważnie. Obroty spadły nam o połowę.

– No i co w tym dziwnego? Przecież uprzedzałam, że niedługo wszyscy zaczną sprzedawać maślanke. Od „WimmBillDanna” po jakiegoś „ProdMleczKukujewa”.

Bezmyślnie otwierałam i zamykałam szuflady biurka.

– Nie zrobiliby tego tylko w wypadku, gdyby maślanka nie szła! – powiedziałam poirytowana, zastanawiając się, kiedy wysła swoje CV „Wimm-BillDannowi”. Może nie tak od razu? Znalazłam Siergieja przez Internet, jak połowę moich pracowników, i oczywiście wiedziałam, że wcale nie musi być wobec mnie lojalny.

– Ale co pani zamierza? Zwiększyć obrót?

– A skąd! Przecież nie dogonimy naszej konkurencji?

Miałam zamiar pomyśleć o tym w weekend, w nadziei, że tymczasem wszystko samo się jakoś ułoży. Ale Siergiej uparcie żądał odpowiedzi.

– Przecież ci mówiłam, że musimy wykorzystać to, co już mamy. Zorganizować firmę transportową. Mamy samochody, umowy ze sklepami. Trzeba dotrzeć do hurtowni spożywczych, wtedy jest szansa, że staniemy się konkurencyjni. Pracujesz nad tym? – rzeczywiście, cały ostatni miesiąc przedstawiałam Siergiejowi moje plany.

– A maślanka? – zapytał.

– Co maślanka? – nigdy nie nauczę się zachowywać jak Katarzyna Wielka. Nawet nie mam wody na biurku. – Zapomnij o maślanke! Idź dalej! Nie oglądaj się za siebie! Chociaż z maślanki też nie musimy na razie rezygnować. Niech sobie będzie sto pięćdziesiątą dziewiątą pozycją w naszej ofercie.

Siergiej siedział ze spuszczoną głową. Ramiona jego wielkiej marynarki prawie zasłoniły mu uszy.

– Kontaktowałeś się z hurtowniami? – zapytałam.

– Nie w pełnym zakresie – wymamrotał.

– Więc zajmij się tym dzisiaj. Pojutrze czekam na wyniki. Chociaż akurat są ferie. Czyli za dwa tygodnie.

Byłam wściekła, że nie skontrolowałam tego wcześniej. Jeżeli chcesz, żeby coś było zrobione dobrze, zrób to sama.

– A co z umowami na reklamę?

– Musimy podpisać nowe. Prawie wszystkie się skończyły.

– Załatw tylko billboardy. Z telewizją koniec. Mam nadzieję, że zarezerwowałeś powierzchnię reklamową?

– Jasne – potwierdził Siergiej. Dobre punkty schodzą w ciągu paru dni, trzeba rezerwować z wyprzedzeniem. – Za część nawet już zapłaciłem. Ale w paru miejscach zaczęli brać drożej.

– Przejrzyj cenniki innych agencji. Na wszelki wypadek. I przedstaw mi wszystkie propozycje. Coś z nich wybiorę. Myślę, że do wiosny zostawimy jeszcze jakieś dwadzieścia billboardów.

– Dobrze, to idę załatwiać z tymi hurtowniami.

– Idź.

Był już przy drzwiach.

– Złożyliśmy pracownikom życzenia noworoczne? – zawołałam w ostatniej chwili.

– Jasne. Kwiaty, bombonierki i premia.

Miał do tego głowę. Kiedy ktoś z jakiegoś powodu lądował w szpitalu, Siergiej wysyłał mu w moim imieniu rosół.

– To poproś, żeby mi przynieśli jeszcze coś do jedzenia.

Zegarek wskazywał południe. Zaparkowałam koło szpitala, ale nie wychodziłam, słuchałam jeszcze radia. Śpiewała Mylene Farmer. Oboje z Serżem ją uwielbialiśmy. W średniowiecznej męskiej szacie z koronkowymi mankietami, z ognistorudymi lokami do pasa śpiewała coś wzruszającego i zarazem spokojnego o wojnie. Za jej plecami jeźdźcy pojedynkowali się na miecze, spadali z koni, ginęli pod ostrzałem armatnim, a ona przechadzała się między nimi z miną przewodnika wycieczki. A potem zakochała się w generale.

Kierowca wyglądał lepiej. Siadał już na łóżku i zaczynał mówić. Uśmiechnął się, kiedy weszłam.

Jego mama natomiast zachowywała się ciągle tak samo.

Podbiegł do mnie mężczyzna, który okazał się bratem kierowcy.

Nie przywiozłam kawioru. W ogóle nic nie przywiozłam.

– Jak się czujesz? – zapytałam po ogólnym powitaniu.

– Wychodzę – powiedział ochryplym głosem. Rurka, wystająca dotąd z jego gardła, zniknęła.

Nie mieliśmy o czym rozmawiać.

Chyba mieli nadzieję, że w związku z jego wyjściem ze szpitala rzucę się teraz w wir jakichś przygotowań.

– A co mówią lekarze? – zapytałam.

– Że jest wyraźna poprawa – radośnie zameldował brat.

Mama całą swoją postawą sygnalizowała, że robi wielką łaskę, znosząc moją obecność na sali.

– Mieszkacie wszyscy razem? – zapytałam.

Okazało się, że brat jest żonaty i mieszka osobno. A kierowca z mamą w dwupokojowym mieszkaniu. Ale brat zamierza się rozwieść.

– Skomplikowana sytuacja rodzinna – wyjaśnił mętnie.

– Czy pani pracuje? – zapytałam mamę najuprzejmiej, jak tylko potrafiłam.

Nieoczekiwanie rzuciła się na mnie.

– Przepracowałam czterdzieści lat! Jestem na emeryturze! Do dzisiaj do mnie dzwonią, w każde święta składają życzenia! Proszę, jakich mam synów! Jeden przez ciebie mało nie... – urwała i pociągnęła nosem.

Kierowca czuł się głupio. Ale rozumiałam, że przecież kiedyś mama musiała się wygadać.

Zaproponowałam, żebyśmy wyszły na korytarz zamienić parę słów.

– Nie muszę nic ukrywać przed moimi synami!

– No, proszę szybko wracać do zdrowia – powiedziałam delikatnie i wyszłam.

Brat dogonił mnie na schodach.

– Niech jej pani wybaczy – poprosił. – Tyle wycierpiała.

Skinęłam głowę.

– Jeżeli wasza mama nie pracuje, pewnie będzie sama siedziała z synem. Będę mu płaciła pensję do czasu, aż całkiem wyzdrowieje. I zapłacę za leki. Proszę zbierać rachunki – odsunęłam jego rękę. – Powodzenia.

– Dlaczego zabrali mu ochroniarzy? – krzyknął, kiedy biegłam już po schodach.

Tego nie wiedziałam. Ale od razu zauważyłam brak znudzonego faceta w mundurze na taborecie pod drzwiami.

– Dowiem się – rzuciłam przez ramię.

– Do widzenia!

Teraz przystanąłam i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Powodzenia. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

Zaczął do mnie dzwonić. Codziennie. Nie miałam wyjścia, musiałam z nim omawiać ich bieżące problemy rodzinne. Zaproponował mi nawet pomoc.

– Jeśli coś – mówił w słuchawkę – proszę się nie krępować, zajmę się wszystkim.

Nie odbierałam, kiedy wyświetlał się jego numer. Dzwonił z innego.

– Brat chciałby panią pozdrowić! – krzyczał tryumfalnie, jakby jego głównym celem było zapodanie mi tej radosnej nowiny skoro świt.

Kiedy cały dumny poinformował, że brat chodzi już sam do toalety, poprosiłam go, żeby sobie darował szczegóły fizjologiczne. Resztę znosiłam w milczeniu.

Codziennie dziwił się, czemu nie przyjeżdżam do nich w gości.

– Chory dopytuje o panią – mówił wieloznacznie.

Telefony kończyły się – a i to nie na długo – dopiero wtedy, kiedy wpadał do mojego biura po pieniądze na ponadplanowe wydatki. Wydatków takich było coraz więcej. Po trzech dniach zaczął dzwonić znowu.

Zapytałam Wadima, co się stało z ochroną.

– Zanim ich złapią, zanim wytoczą sprawę, minie pewnie rok. A kto będzie cały rok ochraniał jakiegoś kierowcę? – wyjaśnił krótko i węzłowato Wadim. I uspokoił mnie: – Spokojnie, nic się nie martw. Komu on jest teraz potrzebny?

„Swojemu bratu” – pomyślałam.

Telefony brata zrobiły jednak swoje. Kiedy postanowił poznać mnie z jakąś ich kuzynką, twardo odmówiłam. Ale musiałam udzielić mu instrukcji dotyczących moskiewskich uczelni: kuzynka zdawała na studia. Poradziłam technologię przemysłu spożywczego.

– Jeśli będzie w tym dobra, jak nic zarobi dwa tysiące dolarów miesięcznie – tłumaczyłam bratu kierowcy. – To bardzo perspektywiczny zawód.

– A ile trzeba zapłacić, żeby się tam dostać? – zapytał bez specjalnego skrępowania.

Uśmiechnęłam się radośnie.

– Nic. Na razie ten kierunek jest jeszcze mało popularny.

Coraz częściej zapomniałam zabrać z biura komórkę. Brat kierowcy martwił się i był obrażony. Kierowca również się martwił. W końcu nawet ich mama zaczęła przysyłać mi pozdrowienia.

Poznałam szczegółowo dzieciństwo mojego kierowcy. Urodził się z zajęczą wargą. Dzieci go przedrzeźniały. Rodziców nie było stać na operację. Dobrze się uczył, lubił historię. Marzył, że będzie pisał powieści historyczne. Ale na studia nie poszedł – brali tylko swoich, a rodzice nie mieli pieniędzy na łapówkę. Kochający brat uświadomił mnie, że nie mieli również pieniędzy na ciepłe ubrania, więc dzieci w kółko chodziły przeziębione, a potem na kwiaty dla dziewczyny, więc w końcu odeszła... Słowem, nie mieli pieniędzy na nic, co w rezultacie popchnęło go na tę fatalną drogę (czytaj: posadę naszego kierowcy) prowadzącą wprost pod lufy pistoletów.

Gdybyśmy znali wszystkie te smutne fakty z biografii naszego pracownika, z całą pewnością nigdy byśmy go nie zatrudnili. Ale też nigdy nie wyglądał na specjalnie nieszczęśliwego. Miał pełno dziewczyn, dobrze mu płaciliśmy, wesoło pomykał swoim zaporozcem i przez trzy lata chorował raptem ze dwa razy. Chociaż, oczywiście, wszystko to było mało jak na człowieka, który zamierzał poświęcić życie pisaniu powieści historycznych.

Nawet gdyby zasłonił Serża własnym ciałem, zabiliby ich obydwu. Tylko najpierw jego, a potem Serża. Serża nie zapomnieliby dobić.

* * *

Świetlana urodziła. Urodziła chłopca, trzy pięćset pięćdziesiąt. Dziewięć punktów w dziesięciopunktowej skali.

Do szpitala pojechała sama, żeby położyć się wcześniej, na wszelki wypadek. Ale po drodze złapały ją skurcze. Bardzo słabe. Dlatego w izbie przyjęć przyjmowano ją bez pośpiechu.

– Robimy lewatywę? – zapytała stara pielęgniarka.

– A można nie robić? – odpowiedziała z naiwną nadzieją Świetlana.

Pielęgniarka przyniosła nocnik i postawiła pośrodku pokoju.

– Tylko się nie napinaj – powiedziała surowo i wyszła.

Świetlana siedziała w zadartej szpitalnej koszuli na nocniku, kiedy do izby przyjęć weszli praktykanci.

– Tutaj przygotowujemy do porodu – warknęła pielęgniarka i spojrzała na Świetlane.

– Nie napina się pani?

– Nie – wymamrotała Świetlana.

Dziesięć par oczu pilnie śledziło każdy jej ruch. Chciała wstać i uciec, ale nocnik był pełny, więc została i bała się już tylko, że wybuchnie płaczem.

Praktykanci poszli sobie, a pielęgniarka wróciła i zaprowadziła ją na piętro, na porodówkę.

– Tak... – mruknął młody doktor, przeglądając jej kartę. – Planowano cesarkę?

Świetlana potwierdziła.

– Ma pani rozwarcie na trzy palce. Sama pani urodzi, najdalej za godzinę. Spróbujemy?

– Ale ja mam szyjkę... Tyłozgięcie... Lekarz mówił, że trzeba mi zrobić cesarkę – protestowała niepewnie Swietłana.

– Wszyscy mają szyjkę – zapewnił doktor. – Urodzi pani i nawet okiem nie mrugnie. OK?

– OK.

Po sześciu godzinach skurcze stały się bardzo bolesne. Swietłana ciągle płakała, podłączyli jej dwie kroplówki.

– Zróbcie mi zastrzyk w kręgosłup! – błagała, kiedy ból przycichał na kilka sekund.

– Nic z tego, kochaniutka – wyjaśniała położna – znieczulenie zewnątrzoponowe można było dać wcześniej, teraz już za późno.

– Zróbcie mi cesarkę! – krzyczała Swietłana. Mówili jej, że już za chwilę urodzi, ale jakoś nie rodziła.

– Wezwijcie mojego lekarza! – wyła.

Ale okazało się, że jej lekarz skończył już zmianę i poszedł do domu.

Kiedy dwie pielęgniarki przetaczały obok Świetlany wózek, ta zdecydowanym ruchem wyrwała sobie z żył igły kroplówek, wyskoczyła z łóżka i podtrzymując rękami wielki brzuch, popędziła w nadziei, że zdąży przed następnym bolesnym skurczem. Na oczach osłupiałych pielęgniarek wdrapała się na wózek.

– Zawieźcie mnie na cesarkę! – zażądała, wskazując palcem drzwi sali operacyjnej.

– Co za bezczelność! – skomentowała jedna z pielęgniarek.

Swietlanę znowu złapały bóle; zwinęła się w kłębek, a po twarzy płynęły jej łzy wielkie jak groch. Druga pielęgniarka przyprowadziła lekarza.

– Myślę, że trzeba robić cesarkę – powiedział spokojnie lekarz, oglądając rodzącą.

W sine już żyły Świetlany wbito jeszcze jedną igłę – igłę z błogosławionym znieczuleniem.

Dwadzieścia minut później syn Serża powitał świat głośnym krzykiem.

– Chłopiec. Żywy – skostatowała obojętnie położna.

Świetłana spała w słodkim, głębokim zapomnieniu.

Dopiero następnego dnia poinformowano mnie, że Serżowi urodził się syn. Swietłana zadzwoniła od razu, kiedy tylko wypuścili ją z sali pooperacyjnej.

Chciałam kupić kwiaty, ale po drodze nie było żadnej kwaciarni.

Bałam się tego dziecka. A jeśli będzie podobne do Serża? Przecież na pewno będzie.

Właściwie nawet pragnęłam, żeby było podobne. Przypomniałam sobie malutką Maszę. Jej twarzyczkę w szpitalu dawno już zapomniałam, ale były zdjęcia i na tych zdjęciach Masza wyglądała jak kawałek świeżego mięsa. Gdyby nie wielkie niebieskie oczy. Masza urodziła się od razu z włosami. Ciekawe, czy syn Serża będzie łysy?

Przypomniałam sobie, jak Serż przyjechał po nas do szpitala. Był okropnie zdenerwowany i długo nie chciał wziąć na ręce becika z córeczką.

Gdyby Serż żył, to on jechałby teraz do szpitala. I czułby to samo. Tylko teraz nie

dotyczyłoby to mnie ani Maszy. Ta świadomość była znacznie gorsza niż konieczność odwiedzenia Swietłany.

Naciągnęłam foliowe ochraniacze na buty i otworzyłam drzwi do sali.

Swietłana leżała na łóżku.

Wyglądała dość dziwnie, zawsze widziałam ją w ciąży. Na mój widok wybuchnęła płaczem.

– To był koszmar – chlipała. Stałam w drzwiach.

– Gdzie dziecko? – zapytałam.

– Nie wiem. Przynoszą mi je. Ten okropny ból! Lekarz zostawił mnie i poszedł sobie do domu, nie mogli mi dać znieczulenia...

– Uspokój się – powiedziałam. – To wszystko nerwy. Gratuluję syna.

Skinęła głową.

– Chcesz być jego chrzestną? – zapytała.

– Pójdę go poszukać. Potrzebujesz czegoś?

– Tak – uśmiechnęła się żałośnie. – Cukierków czekoladowych. Nie wolno mi, ale mam taką ochotę...

– W porządku.

– Przyniesiesz? – upewniła się Swietłana.

– Zaraz kupię. Tu na dole jest kiosk.

Idąc korytarzem, usłyszałam za drzwiami pisk. Ostrożnie zajrzałam.

– O co chodzi? – przyskoczyła do mnie sympatyczna dziewczyna w białym fartuchu.

Wzdłuż ściany w przezroczystych szklanych pojemnikach leżały noworodki. Jak Marsjanie w laboratorium.

Złapałam się na tym, że nie znam nazwiska Swietłany.

Okazało się, że dziecko nosi moje nazwisko.

– Proszę, niech mi pani pozwoli na niego popatrzeć! – błagałam. – Chociaż sekundkę! Zaraz założę fartuch!

Otworzyłam torebkę, żeby wyciągnąć portfel. Dziewczyna w lot załapała, o co chodzi.

– Nie musi pani wkładać żadnego fartucha – powiedziała. – To zwykle przesady.

Zobaczyłam syna Serża.

Kiedy się nad nim pochylałam, ryknął płaczem.

Dałam pielęgniarce sto rubli i wyszłam.

Najbardziej pragnęłam, żeby nikt się o nim nie dowiedział.

To było teraz dla mnie najważniejsze: żebym była jedyną mamą jedynego dziecka Serża. Jedyną żoną i jedyną kobietą swojego męża.

Długo jeszcze słyszałam w uszach wrzask małego, nawet kiedy kupowałam czekoladki. Pewnie od razu zrozumiał, że wcale go nie potrzebuję. Czułam się nieswojo.

Dałam pielęgniarce siatkę ze wszystkimi rodzajami czekoladek, jakie sprzedawano w kiosku.

Nie chciało mi się tam wracać.

Opowiedziałam Kati o dziecku. Uprzedzając, że to tajemnica.

– Jest podobny do Serża? – zapytała z miejsca.

– Trudno powiedzieć – pomyślałam chwilę. – Moim zdaniem w ogóle do nikogo nie jest podobny.

Katia z zadowoleniem pokiwała głową.

– Jesteś zła, że w ogóle istnieje? – zapytała po krótkim milczeniu.

– Jestem zła, że istnieje Swietłana – odpowiedziałam.

– Może spróbuj o niej zapomnieć? – zaproponowała Katia.

Łatwo jej było mówić.

– Chcesz, pojedziemy obejrzeć mój dom? Głupio mi było odmówić.

Wsiadłam do samochodu Kati i kilka minut później byliśmy już na budowie. Przy szosie iljińskiej, zaraz za „World Class”.

– Robisz podgrzewane schody? – zapytałam, wchodząc po oblodzonych stopniach.

– Nie. Lenka powiedziała, że nie warto – machnęła ręką Katia.

Każda z nas zbudowała dom i oczywiście wiedziała wszystko lepiej.

– Teraz przerabiam dach – Katia wskazała wielkie, najróżniejszych kształtów lodowe sople na wszystkich rynnach. – Ciepło gdzieś ucieka.

Dom był ogrzewany i robotnicy chodzili w lekkich niebieskich kombinezonach.

– Kupiłam im jednakowe ubrania – powiedziała Katia.

– Ja swoim też.

Patrzyłam, jak kładą glazurę. Równiutko, jedną płytkę po drugiej, starannie nakładając cienką warstwę kleju. Profesjonalizm glazurników bardzo mi się podobał.

Katia pokazała mi salon, połączony z jadalnią i kuchnią. Pochwalałam rozmiary pomieszczenia. Sama zrobiłam sobie zamkniętą kuchnię, bo nienawidzę zapachu gotujących się potraw.

W przestronnym holu co piętnaście centymetrów, jak należy, biegły rury ogrzewania podłogowego. Na nich leżały płyty kartonowogipsowe i resztki metalowych przewodnic.

Katia rzuciła się na majstra.

– Proszę tutaj posprzątać! To przecież ogrzewanie! Kto mi potem będzie zrywał podłogi w razie jakiejś awarii? Pan?

Rury błyskawicznie przykryto folią i ogrodzono deskami.

– E. No co ty, robisz i kaloryfery, i ogrzewanie podłogowe? – zapytałam zdziwiona.

– No tak, w końcu to przedpokój. W kółko otwarte drzwi, wiesz.

– Wyrzucić kaloryfery. Ja mam na całym parterze ogrzewanie podłogowe pod granitem. I ani jednego kaloryfera. I jest tak ciepłutko, że – pamiętasz? – chodzę w samej koszulce.

Katia zamyśliła się głęboko. Weszliśmy na piętro.

W dużym pokoju z belkowanym stropem było już czysto i leżał parkiet.

– Co to za haki? – zapytałam, wskazując na sufit.

– Powieszę tu huśtawkę – wyjaśniła Katia.

– Super.

– To pokój dziecinny. Spojrzałam na nią zaskoczona. Katia podeszła do okna.

– Wiesz, okazało się, że naprawdę mam jakieś kłopoty. Najpierw myśleli, że to zwykła niedrożność jajowodów, teraz okazuje się, że coś tam jeszcze. Leczę się, codziennie biorę tabletki i jeżdżę na zastrzyki.

– Mogę ci robić – zaproponowałam. – Maszce zawsze robię sama. Zastrzyki, szczepionki.

Katia uśmiechnęła się szeroko.

– Dobra, może kiedyś wpadnę.

– Wyleczysz się – zapewniłam. – Wszystkie dziewczyny rodzą, to ty też.

Nawet nie zapytałam o ewentualnego ojca. O ile wiedziałam, Katia z nikim nie spotykała się na poważnie.

Zamknęłyśmy drzwi do pokoju dziecinnego. Było to pierwsze pomieszczenie, które Katia zrobiła „na czysto”.

– Może pojedziemy do Lenki? – rzuciła Katia.

– A może raczej do „Werandy”? Jestem okropnie głodna! – zawołałam. – Albo do Moskwy. Stańło na „Werandzie”.

Pół godziny później przyjechała Lena.

– Jakoś mi głupio patrzeć kelnerom w oczy – szepnęła. – To ta sama zmiana, która pracowała w sylwestra.

Zachichotałyśmy.

– Mnie też – zeznałam.

– E, tam – uspokajała nas Katia – nie takie rzeczy już widzieli.

Lena z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Szef sali jakoś dziwnie miło się do mnie uśmiechał przy wejściu.

– Specjalnie, żebyś nie gadała takich głupot – wyjaśniła Katia.

Zamówiłyśmy kuskus. Wszystkie.

– Jak tam twój narciarz? – zagadnęła Katia. Lena szybko podchwyciła temat.

– Dzwoni, ale nie odbieram. Ani razu nie odebrałam, odkąd siedzi w Courchevel. A jak mnie korci!

– Nie odbieraj – poparłam ją.

– Pewnie, że nie – dorzuciła Katia. – Teraz nie myśli ani o żonie, ani o nartach, tylko ciągle: „Co z tą moją Lenką? Czy ona mnie jeszcze kocha?”.

Lena roześmiała się radośnie.

– Dzwoniłam do Weroniki, ale go nie widziała. Ciekawe, co to za żona? – westchnęła Lena.

– Pewnie, że nie widziała – wtrąciła Katia. – On nie jest z tych, co łążą po wszystkich przyjęciach.

– No to po co jeździ do Courchevel? – zapytałam. – Dobrych stoków wszędzie pełno.

– Najlepiej jest w Cortinie – zapewniła Katia.

– Ja tam wolę Zermatt – zaproponowała Lena. – Niesamowite staruszki i tak dalej. Kiedyś się tam przeprowadzę.

– Aha, i za każdą parówkę będziesz płaciła pięć dolców – uprzedziłam.

Sama byłam szczęśliwą posiadaczką snowblade'ów Chanel, ale zakładałam je tylko w razie absolutnej konieczności. Konieczność pojawiała się, kiedy Serż zabierał nas z Maszą w góry.

– Wtedy to ja już nie będę miała zębów – powiedziała spokojnie Lena. – Cena parówek będzie mnie obchodziła akurat tyle, ile cena wibratorów.

Katia wołała na starość przenieść się do Paryża.

– Zamieszkać na jakimś *faubourg* i będę całymi dniami kupowała nowe kolekcje na Saint Honore – marzyła.

Ja chciałam zamieszkać kiedyś na brzegu oceanu. W wielkim domu wystawionym na południowe wiatry. I żeby smagły chłopiec w turbanie nosił krok w krok za mną składany fotel.

– Dajcie spokój – powiedziała Lena. – Jak się zestarzejemy, tutaj też będzie fajnie. Zostaniemy pierwszym pokoleniem szczęśliwych moskiewskich staruszek. Tak jak byliśmy pierwszym pokoleniem bogatych moskiewskich dziewczyn.

– Fakt – potwierdziła Katia. – Pamiętacie, kiedyś w restauracjach siedziały same dwudziestolatki. Maksimum dwudziestopięciolatki.

– A teraz – podchwyciłam – nawet do nocnego klubu strach iść. Bo zaraz spotkasz córkę Weroniki. I będziesz się czuła jak jakaś stara torba.

Podano kuskus.

Umówiliśmy się na piątek na obiad w restauracji. W Moskwie.

Przymknęli Wowę Szczura.

Siedział w areszcie śledczym i odmawiał składania zeznań.

Cały czas miałam świadomość, że w każdej chwili mogę pojechać i zobaczyć mordercę mojego męża.

Dobrze, że tam trafił.

Teraz milicja potrzebowała kierowcy, żeby przeprowadzić konfrontację. Ale kierowca źle się czuł i nie mógł przyjechać.

Jego rodzinę odwiedził adwokat Wowy. Nie miał żadnych wątpliwości co do stanu zdrowia psychicznego i pamięci kierowcy. Po prostu zaproponował pieniądze.

Poinformował mnie o tym brat kierowcy.

– Ten typ chciał nas przekupić! – krzyknął patetycznie, z szerokim uśmiechem wkraczając do mojego gabinetu.

Pewnie przez całe życie nikt nie chciał im wcisnąć tylu pieniędzy, co przez ostatnie pół roku.

– Groził? – zapytałam.

– Ależ skąd – brat prężył mięśnie szerokich ramion na znak, że moje przypuszczenie jest całkiem niedorzeczne. – Ten mięczak?

Do gabinetu zajrzał Siergiej. Zobaczył, że jestem zajęta i szybko zamknął drzwi.

– Dwadzieścia kawałków – rzucił brat, chytrze mrużąc oczy.

„Mniej niż za morderstwo” – pomyślałam.

– I co, odmówiliście? – spytałam z naiwnym zachwytem.

Brat kierowcy spojrzał na mnie zaskoczony.

– Jasne, że odmówiliśmy – po czym dodał z naciskiem: – Pewnie chciałaby pani, żeby siedział?

Nacisnęłam guzik interkomu i poprosiłam o herbatę.

Wygodnie rozsiadłam się w pluszowym fotelu.

– A pan napije się herbaty?

– Nie odmówię. Skinęłam głową.

– Czy pan również chciałby, żeby on siedział? – zapytałam, patrząc w roztargnieniu na brata kierowcy.

Zaczął się kręcić na krześle.

– Najchętniej bym go udusił! – powiedział w końcu groźnie.

Weszła sekretarka i niepewnie stanęła pośrodku gabinetu. Było nas dwoje, a filiżanka tylko jedna. Gestem pokazałam jej, że herbata jest dla gościa.

– Proszę, śmiało – zachęciłam brata.

– Zrobić jeszcze jedną? – spytała sekretarka.

– Nie, dziękuję.

– No, a jak tam się czuje nasz rekonwalescent? – zupełnie zmieniłam ton. Teraz pytałam tak, jak przywykliśmy rozmawiać ostatnimi czasy.

– Nieźle. Dużo czyta. I ogląda filmy. Według niepisanych reguł naszej gry teraz powinnam była zaproponować mu kasety.

– Mam sporo kaset. Może przywiozę następnym razem?

– Jeśli to pani nie sprawi kłopotu.

– Ależ skąd! To akurat nic mnie nie kosztuje. Wstałam.

– Proszę wybaczyć, mam jeszcze sporo pracy...

Brat kierowcy niepewnie odstawił nie dopitą filiżankę herbaty. Wciąż jeszcze patrzył na mnie z nadzieją. Uśmiechnęłam się do niego serdecznie:

– No, powodzenia! I proszę pozdrowić ode mnie chorego!

Wyszłam z gabinetu, gestem pokazując sekretarce, żeby odprowadziła gościa. Starannie zamknęłam za sobą drzwi pokoju Siergieja.

– Jak tam? – zapytałam pomocnika i westchnęłam.

Aż poczerwieniał z przejęcia.

– Wygrywamy w konkurencji cenowej! Tak jak pani mówiła!

Usta same mi się rozciągnęły w szerokim uśmiechu.

– Dwie hurtownie są gotowe w każdej chwili podpisać z nami umowy. Trzysta sześćdziesiąt pozycji w jednej umowie, w drugiej trzysta dwadzieścia! Razem sześćset osiemdziesiąt produktów!

Siergiej patrzył na mnie z szacunkiem. Czulałam się jak prawdziwa bizneswoman. A przecież mogłam przeżyć całe życie i nigdy się nie dowiedzieć, jaka jestem zdolna.

– Podpisuj te umowy – poleciłam. – I podnieś ekspedytorom procent, jeśli sami dogadują się ze sklepami.

– Ale jeśli zwiększymy liczbę sklepów, z którymi współpracujemy, będą kłopoty z transportem – zaproponował Siergiej.

– Niech ekspedytorzy nie wychodzą poza swój teren.

– OK – zgodził się Siergiej – ale...

– Ale co?

– Nie osiągniemy już takich obrotów... – skonstatował ze smutkiem.

– Za to nic nie trzeba inwestować. Nie bądź taki skąpy.

– Radziłbym jednak poczekać z tymi umowami – Siergiej podrapał się w głowę, a potem w ucho.

– Dlaczego? – spytałam zdumiona.

– Przecież nie damy rady współpracować ze wszystkimi hurtowniami, które się do nas zwrócą?

– Pewnie, że nie. Mamy ograniczone możliwości.

– W takim razie proponuję poczekać na propozycje innych hurtowni. Jeżeli mają szerszy asortyment...

– W porządku. Tylko nie przeciągaj tej sprawy. Zmniejszyliśmy produkcję maślanki, żeby nie było przestojów!

Jak zwykle biegiem udał się do wyjścia.

– Dlaczego nie dałaś mu pieniędzy? – naskoczyła na mnie Lena, kiedy wieczorem opowiedziałam jej wszystko przez telefon.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiedziałam.

– Teraz odwoła zeznania... – ostrzegła.

– Może nie odwoła. W końcu Szczur strzelał do niego, prawda?

– No wiesz... – Lena westchnęła bez przekonania.

Wyobraziłam sobie jej minę, wyrażającą pełne niedowierzenie.

– Niech chociaż raz w życiu zrobią bezinteresownie coś dobrego – powiedziałam, kompletnie zresztą nie wierząc w to, co mówię.

– Jasne, szkoda tych dwudziestu tysięcy.

– Szkoda – potwierdziłam.

– Dobra, zobaczymy. Po prostu, wiesz, on przecież nie myśli: „Ten Wowa Szczur strzelał do mnie z pistoletu. I tylko przez przypadek mnie nie zabił”. On myśli: „Pracowałem dla Serża, a teraz jego żona skąpi mi pieniądze”. Właściwie chcesz, żeby dalej dla ciebie pracował, tylko już za darmo.

Zrozumiałam.

To musi być fantastyczne uczucie, kiedy ktoś robi coś dla ciebie za darmo.

– A jak tam ten twój? – zapytałam, zmieniając temat.

– Codziennie dzwoni. Ale nie odbieram! – głos Leny stał się dźwięczniejszy i bardziej kokieterjny. – Zасыpuje mnie esemesami. Jestem królową jego życia i tak dalej.

– Nieźle – szczerze się ucieszyłam. – A ty nic?

– A ja nic. Nie odpowiadam – zaszczebotała.

– Słusznie.

Wierka Sierdiuczka śpiewa taką piosenkę: „Kiedy podchodzi – uciekam, kiedy się uśmiecha – odwracam twarz... „. Nie pamiętam dokładnie.

W moim domu sprzątała teraz Filipinka. Małeńka, ciemna, mówiła po angielsku i pewnie po filipińsku; poprosiła o sukienkę do pracy. Zadzwoiłam do agencji „Majordomus”, która reklamowała się wzdłuż całej Rublowki. Ubraniami dla służby zajmowała się żona Wałdisa Pelsza, Świetlana. Z miejsca zaproponowała zamiast sukienki kombinezon ze spodniami.

– Przecież ona na pewno nie goli nóg! – oświadczyła pewnym tonem Świetlana i obie spojrzaliśmy na nogi mojej Filipinki.

Filipinka nie znała rosyjskiego. Uśmiechała się nieufnie.

– Goli – skonstatowała Świetlana. Pomyślałam, że może Filipinki mają nieowłosione nogi,

ale jakoś nie chciałam ciągnąć tego tematu.

Świetlana wytwornie piła kawę z malutkiej zabytkowej filiżanki, a jej krawcowe mierzyły moją sprzątaczkę.

Filipinka dostała mi się po znajomości. Żona pewnego modnego śpiewaka założyła agencję pośrednictwa pracy dla Filipinek, które na całym świecie uważane są za znakomite pokojówki, ale miała jakieś problemy z naszym prawem i agencja na razie działała nielegalnie.

– Może przy okazji ubiorę masażystkę? – pomyślałam głośno.

– Pewnie – przyklasnęła Świetlana. – A masz kucharkę?

– Nie – pokręciłam głową.

Właścicielka „Majordomusa” spojrzała na mnie z góry:

– To kto u ciebie gotuje?

– Ja – skłamałam, sama nie wiem dlaczego, po czym uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami, jakby przepraszając za taką ekstrawagancję.

Świetlana popatrzyła na mnie ze współczuciem i krzepiąco uściśnęła mi dłoń na pożegnanie.

Nie pojechałam odebrać ich ze szpitala. Taka impreza kojarzyła mi się z zamieszaniem i radosną, świąteczną atmosferą. Po mnie przyjechali do szpitala Serż z Wadimem, Lena ze swoim ówczesnym mężem, Weronika bez Igora (akurat się pokłócili) i moja mama, czyli głównodowodząca całą akcją.

Nie miałam najmniejszej ochoty stać w tłumie psiapsiółek Świetlany i gorączkowo paplać na temat: czy aby wszystko w porządku z młodą mamą i jej pierworodnym. Wątpliwe, żeby udało mi się szczerze zachwycić jej świetnym wyglądem i samopoczuciem. I słodkim głosikiem pokrzykiwać: „No, do kogo mały jest podobny? Patrzcie na te oczka, wykapaną mamusia”. A któraś z psiapsiółek w króciutkiej kurtce ze sztucznego futerka obowiązkowo zapyta: „Może pani znała tatusia dziecka?”. A jakaś inna – nie daj Boże! – szepnie rozmarzona: „Co to był za facet... Bardzo się lubiliśmy!”.

– Zadzwoń do ciebie – obiecałam Świetlanie – i przywiozę ubranka dla małego. Wanienki też nie kupuj, wszystko dostaniesz.

Niczego nie wyrzucałam ani nie rozdawałam. Zawsze wiedzieliśmy z Serżem, że będziemy mieli jeszcze jedno dziecko.

Tyle tylko, że to ja miałam je urodzić.

Zadzwoiła komórka. Numer zastrzeżony. Nie chciałam odbierać. Było już późno, w sumie mogłam spać.

„Pewnie Świetlana – pomyślałam. – Zaczyna się. Dziecko ryczy, a ona nie ma pojęcia, co z nim robić”.

– Halo.

Dzwoniła Lena. Mówiła pospiesznym szeptem.

– Ten mój wrócił z Courchevel, powiedziałam mu przez telefon, że jestem na imprezie, a on przyjechał do mnie i teraz dzwoni do drzwi. Co robić?

Nic z tego nie rozumiałam.

– Jesteś teraz w domu? – zapytałam.

– No tak! – pisnęła Lena w słuchawkę. – Powiedziałam mu, że jestem na imprezie, żeby się zrobił zazdrosny, a on przyjechał! – krzyczała szeptem.

– To mu nie otwieraj, skoro powiedziałaś, że jesteś na imprezie.

– Ale na dole stoi mój samochód, czyli jak, przecież nie pojechałam piechotą.

– No to co? – byłam niewzruszona i miałam nadzieję, że ten stan udzieli się Lenie. – Mogłaś pojechać ze mną albo z Katią.

– OK. Dobra, nie otwieram. Kurczę, szkoda! Tak się za nim stęskniłam!

Odłożyła słuchawkę.

Też bym nie otworzyła. Każdy potrafi otworzyć, kiedy ukochany dzwoni do drzwi. Ale wykazać się charakterem, poczekać, aż facet będzie gotowy mało, że wyłamać drzwi, ale góry przynieść, byle mu otworzyli – to jest dopiero coś...

Znowu zadzwonił telefon.

„Pewnie odjechał” – pomyślałam.

– No jak tam, partyzantko? Przetrzywałaś oblężenie? – zapytałam.

W słuchawce po krótkim milczeniu rozległ się głos Wadima:

– Co jest, bawicie się w wojnę? Wybuchnęłam śmiechem.

– Tak, gadałam z przyjaciółką.

– Wypuścili Wowę Szczura. Będzie odpowiadał z wolnej stopy.

– Co? – momentalnie zapomniałam o Lenie.

– Wasz kierowca odwołał zeznania. Pod pozorem, że był chory i nie wiedział, co mówi.

Adwokat wpłacił kaucję i Wowa wyszedł.

Wadim mówił krótkimi suchymi zdaniami.

– Dzwonił do mnie nasz oficer operacyjny. Wszyscy są wściekli. Całe śledztwo bierze w łeb.

– I co teraz? – zapytałam przygnębiona.

– Nie wiem – westchnął Wadim. – Był jedynym świadkiem. Pewnie go nastraszyli. Albo dali kupę forsy.

– No tak – to było jedyne, co mogłam powiedzieć.

– Nic się nie przejmuj – powiedział Wadim delikatnie, jak tylko on potrafił.

Zaczynałam zazdrościć tej jego Reginie. Codziennie słyszy ten głos. „Nic się nie martw” – zamiast paskudnego „Dzień dobry”; „Nic się nie martw” każdego wieczora i oczywiście „Nic się nie martw” zamiast banalnego „No, jak ci minął dzień?”.

Zadzwoniłam do swojego „kumpla”, brata kierowcy. Pierwszy raz to ja do niego dzwoniłam. Dobrze przynajmniej, że nie wyrzuciłam telefonu.

– Co słyhać? – zapytałam, nie mając pojęcia, od czego zacząć rozmowę.

– Ze zdrowiem coraz lepiej – powiedział wymijająco.

Chwilę milczeliśmy.

– Twój brat odmówił rozpoznania zabójcy? – zapytałam.

Nie odpowiedział.

Chciałam powiedzieć „halo”, żeby sprawdzić, czy nie zerwało połączenia. Ale wiedziałam, że z telefonem wszystko w porządku.

– Chcę, żeby zeznawał – powiedziałam ostro. – Inaczej przestanę dawać wam pieniądze i w ogóle pomagać.

– Jak pani uważa – rozległo się w słuchawce. Wyobraziłam sobie, jak go grzeje upchnięte w kieszeni dwadzieścia tysięcy dolarów amerykańskich. Zielonych i szeleszczących. Może nawet w banderoli bankowej.

– Niech pani nie myśli, że nam zapłacili – powiedział.

Zrobiło mi się głupio. Człowiekowi zawsze robi się głupio, kiedy ktoś czyta w jego myślach.

– To dlaczego odwołał zeznania? – zapytałam zdumiona.

– Nie daliśmy adwokatowi żadnej odpowiedzi – wyjaśnił brat kierowcy, a w jego głosie nie było zwykłej chępliwości. – Zostawił nam telefon. Ale nie zadzwoniliśmy... Wszyscy czekali na naszą decyzję... A my nie wiedzieliśmy, że to pilne...

– I co? – aż wstrzymałam oddech, żeby lepiej słyszeć.

– Dzisiaj dostaliśmy pocztą fotografie Serża. Z przestrzeloną głową.

– Co? – zapytałam niepewnie.

Dla mnie imię „Serż” w żaden sposób nie łączyło się ze słowami w rodzaju „przestrzelona głowa”. Za każdym razem odbierałam je tak, jakby to było pierwszy raz. Z tym samym rozdzierającym bólem.

– Wezwaliście milicję? – zapytałam, żeby zapytać o cokolwiek.

– Przecież te fotografie są z milicji. Z akt sprawy. Co tu pomoże milicja? – westchnął zrezygnowany. – Ale teraz może dadzą nam spokój... Wypuścili go, słyszała pani? Dzwonił do nas adwokat, dziękował. Gnida.

– Może pan jutro wpaść do mnie do biura? – zapytałam.

– Wpadnę – poweselał.

Ledwie odłożyłam słuchawkę, telefon znowu zadzwonił. Tym razem usłyszałam Lenę.

– Zostawił mi pod drzwiami róże, sto jeden sztuk! – zawołała podekscytowana.

– Liczyłaś? – zapytałam z niedowierzaniem. Też kiedyś dostawałam takie bukiety. Bardzo dawno temu.

– Pewnie. Sto czerwonych i jedna żółta. Jak myślisz – zaniepokoiła się – co znaczy ta żółta?

– Nie wiem. Może jedno rozstanie, jak był w Courchevel, i sto spotkań. Albo sto lat wspólnego życia.

Lena aż mruzczała z zadowolenia.

– Może i tak – przytaknęła. Powiedziałyśmy sobie dobranoc i poszłyśmy spać.

Długo leżałam z otwartymi oczami. I myślałam, że Lena też pewnie nie śpi. Zastanawia się, o co chodzi z tą różą.

Przyjechałam do firmy.

Był piątek. Troje moich pracowników roznosiło woreczki z maślaną kombatantom z naszej kamienicy. Wynajmowaliśmy biuro na parterze. Kombatanci pisali skargi do urzędów. Za woreczek maślanki tygodniowo jakoś nas tolerowali.

W gabinecie czekał brat kierowcy.

– Bardzo mi przykro, że to wszystko tak wyszło – powiedziałam od progu.

Usiadłam za biurkiem. Wyciągnęłam z teczki papiery. A potem żalnym tonem poprosiłam:

– Niech mi pan pomoże wsadzić go do więzienia!

Brat kierowcy pokręcił głową i popatrzył na mnie jak na wariatkę.

Nachyliłam się do niego nad biurkiem.

– Wynajmę ochronę. Uzbrojoną. Całodobową. Nic wam się nie stanie.

Spojrzał na mnie nieufnie. W jego oczach zobaczyłam strach.

– Obiecuję! – powiedziałam z naciskiem.

– Nie, dziękuję – powiedział takim tonem, jakby dziękował za dokładkę przy obiedzie. – Mieliśmy już wystarczająco dużo emocji.

– Przecież on chciał zabić pańskiego brata! – usiłowałam nakłonić go do zemsty.

Ale rodzina kierowcy była przekonana, że wszystkiemu zawinił Serż.

– Poza tym to niebezpieczne – postanowiłam go nastraszyć – on zostanie na wolności, ale cały czas będzie myślał, że ta wolność zależy od pańskiego brata. Proszę się nad tym zastanowić! Prędzej czy później będzie miał tego dosyć!

Spojrzał na mnie z nienawiścią. Wyciągnęłam z torebki swój ostateczny argument. Dziesięć tysięcy dolarów w banderoli.

– Zapłacę. Zrekompensuję wasze straty moralne. Kupicie sobie nowy samochód. I pojedziecie na wakacje do Turcji – nie wypuszczałam pieniędzy z rąk, a on nie spuszczał z nich wzroku.

Wiedziałam, że konkretne pliki banknotów działają na ludzi lepiej niż wirtualne cyfry. Uparcie milczał.

– Będziecie mieli ochronę. Nie musicie się bać – dociskałam.

– Muszę porozmawiać z bratem – powiedział. Podałam mu pieniądze.

– Proszę wziąć.

Ani drgnął.

– No proszę – nalegałam. – Jakby co, zwróci mi je pan.

Ostrożnie wziął plik dolarów i trzymał w wyciągniętej ręce.

– Gdzie pan pracuje? – zapytałam zniecierpliwiona.

– W fabryce mebli. Robimy szafy.

– Może chce pan zmienić zawód? Myślę, że dobrze by się nam razem pracowało! – pocieszyłam go wesoło.

I tu popełniłam błąd. Omal nie wypuścił pieniędzy z ręki.

– Ale jeśli pan nie ma ochoty, nic nie szkodzi. Wsadzimy tego sukinsyna i do widzenia ślepa Gienia! – przypomniał mi się Wanieczka z jego powiedzonkami. – Będziemy sobie przysyłać kartki na święta i tyle.

W końcu to nie byle co dostać ode mnie kartkę na święta.

Brat kierowcy schował pieniądze do kieszeni.

– Proszę pozdrowić rodzinę – poprosiłam z uśmiechem. – Jutro o dziewiątej rano przyjedzie ochrona. Szef agencji powie, że to ode mnie.

Dalej uśmiechałam się promiennie. Brat kierowcy niepewnie przestępował z nogi na nogę.

– Zbiera pan dla mnie faktury? – przypomniałam sobie.

– Tak, zbieramy – powiedział.

– Proszę nic nie wyrzucać – przykazałam surowo. – Lekarstwa są teraz bardzo drogie.

Wyszedł.

Podeszłam do okna. Wielkie płatki śniegu wyglądały jak bożonarodzeniowa dekoracja. Bury wilk nie powinien latać po lesie i zreć kogo mu się żywnie podoba. Każda babcia powinna mieć swojego Czerwonego Kapturka.

Zadzwoiłam do szefa agencji ochroniarskiej, z którą współpracował Serż.

– Ile będą kosztować dwaj uzbrojeni ludzie? Całodobowo.

– Masz jakieś kłopoty? – zapytał prosto z mostu.

– Nie, ale kłopoty może mieć świadek, który powinien zeznawać przeciwko mordercy Serża.

– Rozumiem. Nie mam teraz ludzi... Ale w takiej sprawie sam bym popilnował... Dobra, przysyłę chłopaków. Co ile ich zmieniać? Co dwie doby? Co trzy?

– Niech będzie co dwie. Żeby więcej zarobili i bardziej się starali.

– Daj spokój, to moi chłopcy! Wszyscy prosto z wojny! Jak myślisz, długo to potrwa?

– Dopóki go nie wsadzą. Jeżeli nie uciekł, to pewnie kilka dni...

Dogadaliśmy się. Sto dwadzieścia dolarów za dobę.

Pojechałam do domu, żeby się przebrać. Wybierałyśmy się z dziewczynami na kolację do „Vogue Cafe”.

– Wyszła już pani? – zapytał przez telefon Siergiej, kiedy wsiadałam do samochodu.

– Tak.

– Mam jeszcze drugą złą nowinę...

– Może w poniedziałek? – poprosiłam. – Do poniedziałku chyba nikt nie umrze?

– Nie – roześmiał się, jakbym go uraczyła jakimś dobrym żartem. – Ale mimo wszystko...

Wyłączyłam telefon.

– Zrobisz mi masaż? – zapytałam Galę, wchodząc do domu i rozglądając się za Filipinką. Nie zauważyłam żadnych śladów jej bytności.

– Gdzieś tu się płacze – uspokoila mnie Gala.

W salonie było czysto i nawet fotografie na etażerze z ciemnego giętego drewna stały w takim porządku, w jakim sama je zawsze rozstawiałam.

„Pewnie nie wycierała pod nimi kurzu” – stwierdziłam i przeciągnęłam palcem po gładkim blacie. Ale kurzu nie było.

Niesamowite, jak taki drobiazg potrafi poprawić człowiekowi nastroj.

Pogawędziłyśmy z Galą o zaletach i niedostatkach filipińskiej kuchni, po czym poszłyśmy na piętro, do mojej łazienki. W łazience stały już zapalone świece, a na stole do masażu leżał rozłożony ręcznik.

Zaskoczona zatrzymałam się w drzwiach.

– Masaż to masaż, w każdym języku – roześmiała się Gala.

Zaczynałam zazdrościć kobitkom za granicą. Każda może mieć taką Filipinkę.

Podczas masażu prawie zasnęłam. Ujrzałam biały dom z białymi meblami i białymi dywanami. Przez otwarte okna i drzwi wdzierał się szum przyływu. Chodziłam po pokojach w rozwianej sukience i ledwie zdążyłam o czymś pomyśleć, niewidzialna służąca natychmiast spełniała moje życzenie. Było to trochę nudne i napawałam się tą nudą, pewna, że tak samo będzie i jutro, i pojutrze, i zawsze.

– Wyjechałaś już? – wrzasnęła Katia w słuchawkę.

– Nie, jeszcze się ubieram. Chwyciłam z półki pierwsze lepsze dzinsy. Jeśli ktoś zamierza spędzić wieczór w supermodnym lokalu, musi po prostu iść do restauracji, którą ostatnio otworzył Arkadij Nowikow.

Schody w „Vogue Cafe” nie były podgrzewane, dokładnie tak, jak u Kati. Na szczęście jakiś chłopak przytrzymał mnie i tylko dzięki temu nie upadłam. Miał ze dwadzieścia lat. Chciałam uśmiechnąć się do niego z wdzięcznością, ale nie wiedziałam, jaki uśmiech wybrać na taką okazję. Matczyny, z wyżyn mojego wieku, czy kokieterijny, bo w końcu chłopak wyglądał całkiem sympatycznie. W rezultacie wcale się nie uśmiechnęłam i – wściekła na siebie – weszłam do restauracji.

„Co za babsztyl” – pomyślał pewnie chłopak.

Restauracja była pełna. W pierwszej sali, nazywanej kawiarnianą, stadko wystrojonych dziewczyn udawało, że wpadło tu pograć w warcaby. Wszędzie stały stoliki szachowe. I wszystkie zajęte.

Poszłam dalej, prześlizgując się wzrokiem po twarzach gości. Zero znajomych. No i dobrze.

Przy stoliku czekały już Lena, Katia i Olesia. Olesia szpanowała piękną górską opalenizną.

Podobnie opalona była większość towarzystwa. Moda na zdrową bladość skóry przyjmowała się z trudem.

– A gdzie Weronika? – zapytałam.

– Nikita zachorował – wyjaśniła Katia. – Aklimatyzuje się po Courchevel.

Zamówiłam carpaccio z łososia i kieliszek białego wina z lodem.

– Co tam nowego na górskich stokach? – zwróciła się Lena do Olesia.

Olesia zrobiła kapryśną minkę.

– Fajnie było. Cała Moskwa, jak zwykle.

– A jak się jeździło? – drażyła Katia, świetnie wiedząc, że Olesia nie umie jeździć na nartach i cały dzień spędza w kawiarni koło wyciągu.

– Też fajnie. Mąż jest bardzo zadowolony. Tak sobie gawędziłyśmy, póki kelner szykował przekąski.

– O kurczę! – zawołała nagle Katia, a potem szepnęła do Leny: – Tylko się nie odwracaj!

Ale Lena już spoglądała tam, gdzie sekundę wcześniej zatrzymał się wzrok przyjaciółki.

Pod rękę z przygrubą, piegowatą kobietą stał w drzwiach narzeczony Leny.

– Super! – ucieszyła się Lena. – Nie widział nas?

– Chyba nie – powiedziałam, obserwując, jak sadowią się przy stoliku.

– Akurat dziś całe rano nawijał, jak to mnie kocha! – śmiała się Lena.

– A co cię w tym tak cieszy? – zapytała Olesia.

– Pewnie ją tu przyprowadził, żeby porozmawiać o rozwodzie. Najpierw wino, żeby trochę zmiękła. Jakbyście słyszały, jak on płacze od miesiąca, po prostu wyje z miłości. Dał mi pierścionek. Zapomniałam włożyć. Dwa i pół karata.

– Żartujesz?! – krzyknęła Olesia.

– Nie żartuję – znów uśmiechnęła się dumnie Lena.

– A ładny? – zapytała Katia.

– Bardzo. W różowym złocie, takie ciężkie łapki – Lena zgięła palce, usiłując pokazać nam kształt pierścionka.

– Super – powiedziałam. Łyknęłyśmy wina.

– Patrz, podszedł do kogoś – Olesia machnęła w stronę, gdzie narzeczony Leny witał się z jakimś swoim znajomym.

– Idziemy! – Lena szybkim ruchem złapała mnie za rękę. – Że niby do toalety.

Przeciskałam się w ślad za Leną między stolikami. W końcu Lena przystanęła.

– Cześć! – usłyszałam jej kuszący głos i uśmiechnęłam się: w końcu razem spędziliśmy sylwestra.

Narzeczony omiółt obojętnym spojrzeniem Lenę, potem mnie, potem jeszcze kogoś za moimi plecami, posłał uśmiech gdzieś na koniec sali i wreszcie znów zwrócił się do znajomego:

– Dobra, czyli co, w ten weekend...

Lena zrobiła się czerwona jak pomidor. Przechwyciłam spojrzenie piegowatej kobiety,

złapałam Lenę za rękę i z wyzywająco radosną miną zaciągnęłam ją do toalety.

– Widziałaś?! – krzychała Lena. Sprawdziłam, czy w sąsiednich kabinach ktoś nie podsłuchuje.

– W końcu to jego żona – powiedziałam.

– Nie przywitał się ze mną! Co za różnica, żona, mama, wszystko jedno! Codziennie ze mną sypia i nawet się nie przywita! Poza tym to żadna żona!

Drzwi otworzyły się i weszła dziewczyna z komórką przy uchu.

– Tak! Jestem w „Vogue Cafe”!... Pełno ludzi!... Tak, całkiem fajni – spojrzała na nas podejrzliwie i zamknęła się w kabinie. – Dobra, to czekam.

Lena bezgłośnie płakała.

– Przynies ze stołu mój numerek z szatni – poprosiła. – Nie wracam już tamtędy.

Pojechałam razem z nią.

Po godzinie zadzwonił. Lena nie odebrała. W milczeniu kiwała głową. Znowu zadzwonił.

– Pewnie się schował gdzieś przy pisuarach – powiedziała z obrzydzeniem, dopijając szósty wermut z lodem. – Nie będę słuchała miłosnych wyznań znad pisuaru.

Spodobało jej się słowo pisuar. Zanim dopiłyśmy wermut, powtórzyła je jeszcze kilka razy.

Myszę, że zasypiając, szczerze życzyła narzeczonemu, żeby się wziął i utopił w pisuarze.

Wyciągnęłam z piwnicy walizkę z ubrankami Maszy. Starannie segregowałam malutkie śpioszki, czapeczki i rękawiczki. O, tę dżinsową czapeczkę na trzy miesiące kupiliśmy z Serżem w Paryżu, jeszcze kiedy byłam w ciąży. A te śmieszne spodenki w krasnoludki, ze zwykłego sklepu, kupiła świekra. Pewnie ani razu nie noszone. Teraz mnie rozczulały.

– Co robisz? – zapytała Masza, ciekawie zaglądając do walizki. Jak wszystkie dzieci, chciała znać swoją przeszłość.

– Tak, przeglądam... – powiedziałam wymijająco.

– Chcesz komuś oddać?

Zawsze zadziwiała mnie dziecięca przenikliwość.

Usiadłam na podłodze i objęłam Maszę.

„Przecież ma brata – pomyślałam – na pewno się ucieszy”.

Ubranka były przeważnie różowe i te odkładałam na bok, a wszystkie w innych kolorach na osobną kupkę.

– Nie lubisz różowych? – zapytała Masza, usiłując włożyć malutką włóczkową czapeczkę.

– Wiesz, to dla chłopca – wyjaśniłam. – Chciałabyś mieć braciszka?

– Nie – oświadczyła kategorycznie Masza.

– I bardzo dobrze.

Zapakowałam do samochodu wanienkę, podgrzewacz do butelek, sterylizator, wózek, cały worek smoczków, wagę elektroniczną i dziecięcą torbę podróżną. Złożyłam ubranka w równiutką kostkę.

– Pojedziemy jutro do klubu? – upewniła się Masza.

– No pewnie – obiecałam.

Pomachała mi łapką i pobiegła do sąsiadów, do koleżanki.

U Swietłany zastałam jej mamę. Siedziała w kuchni, na jedynym taborecie, i głośno siorbała herbatę.

Zajrzałam do łóżeczka. Pomarszczona małpia mordka nie wzbudzała we mnie żadnych emocji. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że kiedyś upodobni się do twarzy Serża.

– Prawda, że śliczny? – zapytała rozanielona Świetlana.

Uważnie popatrzyłam jej w oczy. Pewnie naprawdę tak sądziła.

– Tak – potwierdziłam. – Śliczny.

– Wykapany Sierioża. Nie? Zastanawiałam się, co jej odpowiedzieć, kiedy z kuchni dobiegł radosny głos mamy:

– Swietka! Patrz, waga! Taka, o jakiej marzyłaś!

– Oj! – Świetlana aż podskoczyła. – Wiesz, karmię, muszę go cały czas ważyć.

– Elektroniczna! – krzyczała mama z kuchni, tak jakby kuchnia była na parterze, a my na szóstym piętrze.

– To w tamtych czasach były już wagi elektroniczne? – zdumiała się Swietłana.

Poczułam się jak mama mamuta.

– Przywieźli mi z zagranicy – wymamrotałam.

Świetlana z matką przeglądały ubranka i rzeczy, coś tam od razu myły, coś prały, kompletnie zapominając, że jeszcze nie wyszłam.

Dziecko obudziło się i zaczęło płakać.

Wzięłam je na ręce. Zdawało mi się, że jest lżejsze niż lalki Maszy. Zdażyłam już zapomnieć, jakie to uczucie – trzymać niemowlę na kolanach.

Świetlana zabrała małego i dała mu pierś. Duży fioletowy sutek był wielkości jego twarzyczki. Wyszłam do kuchni.

Mama Swietłany paliła papierosa, usiłując wydmuchiwać dym za okno. Nie bardzo jej to wychodziło, więc rozganiała go ręką po całym pomieszczeniu.

Wyobraziłam sobie Serża w charakterze jej zięcia.

... Na początek rzuciłaby palenie.

– Dzielna dziewczyna – powiedziała, mając chyba na myśli Świetlane. – Proszę: sama na siebie zarabia, a teraz jeszcze dziecko urodziła.

Mówiła z szacunkiem, którego ja raczej nie doczekałabym się od mojej mamy w podobnych okolicznościach.

– No?! – nie wiedziałam, czy to pytanie, czy stwierdzenie, i przestraszyłam się, że również ode mnie zaczniesz wymagać zachwyków. Mama Swietłany najwyraźniej była przekonana, że jestem jedną z przyjaciółek jej córki. – A teraz kupuje mieszkanie, wiadomo, ile to kosztuje... – Wyrzuciła niedopałek przez okno. – Od dziecka taka była: jak coś sobie postanowiła, to koniec. Oj, ciężkie to życie...

– zerknęła na mnie, pewnie doszukując się również na mojej twarzy śladów ciężkiego życia. Westchnęła współczująco. – Ale matka jej tak samej nie zostawi.

Z pokoju dobiegł nerwowy pisk dziecka.

– Zakochała się w kimś i ma dziecko. Sama. Miłość to miłość. I co teraz robić, jak on umarł...

– Zginął – poprawiłam.

– Sieriożka zasnął – powiedziała Swietłana, zawiązując pasek szlafroka.

„Tylko nie Sieriożka! – miałam ochotę wrzasnąć. – To imię nie może mieć przecież nic wspólnego ani z tym dzieckiem, ani z tą kuchnią, ani z tym koszmarnym szlafrokiem!”

– Jadę – pożegnałam się i wyszłam. Z samochodu zadzwoniłam do Leny:

– No, jak tam?

– W porządku.

– Dzwonił do ciebie?

– Nieważne. Zapomnij o nim. Ja już zapomniałam.

Mówiła całkiem poważnie, z lekką nutką smutku. Od razu jej uwierzyłam.

– Bardzo słusznie. Znajdzie się milion innych. Jeszcze się będą do ciebie w kolejce ustawiać!

– Właśnie. Zadzwonił brat kierowcy.

– Złożyliśmy zeznania – poinformował. – Przyjechali pani ochroniarze.

– Świetnie.

– W poniedziałek będzie gotowy nakaz aresztowania.

– Dziękuję.

Obudziłam się w środku nocy. Czułam w lewym boku taki ból, jakby ktoś wbił mi hak pod żebro i powolutku obracał. Udało mi się jakoś zejść na dół i dotrzeć do apteczki. Wypiłam efferalgan.

Po dwu godzinach wzięłam kolejną dawkę.

Mogłam już tylko płakać.

Ciągle bolało.

Nadszedł świt.

Wypiłam całe opakowanie środka przeciwbólowego, znacznie więcej niż wynosiła dopuszczalna dawka dobową.

Zadzwoniłam do informacji Bi Linę.

– Jak się wzywa pogotowie? Mieli własną karetkę.

Zawieźli mnie do Centralnego Szpitala Klinicznego.

Miałam śródmiąższowe zapalenie nerki.

Trzęsłam się z zimna. Nazywało się to intoksykacja. Temperatura skoczyła mi do trzydziestu dziewięciu stopni i sześciu kresiek.

I nie spadała przez cztery dni.

Byłam tak wymęczona, że gdyby trzeba mi było odciąć nogę, sama bym ją sobie odcięła, byleby to wszystko już się skończyło.

Zaproponowano mi operację.

– Inaczej będzie po dziewczynie – usłyszałam głos lekarza.

Dali mi czterdzieści minut, jeśli nie będzie poprawy, od razu na stół, powiedzieli.

Po czterdziestu minutach temperatura spadła. Zasnęłam smacznym, uzdrawiającym snem.

W czwartek poczułam się lepiej. Mama, która przez cały ten czas siedziała przy mnie, pojechała do domu. W piątek poprosiłam o telewizor. I telefon.

W firmie długo nikt nie podnosił słuchawki. W końcu odebrali. Niestety.

Siergiej uciekł. Podobno do „Wimm-Bill-Danna”.

Nie wiem dokładnie, jaką to drugą złą wiadomość miał dla mnie tamtego dnia – czy to, że odchodzi, czy może, że inspektor sanitarny zamknął współpracujące z nami zakłady mleczarskie w Lubiercach.

– Wszystko przez tę waszą maślankę! – krzyczał dyrektor przez telefon. – Z kim wy tam zadarliście?

– Ma pani faks? – zapytała księgowa. – Prześlę rachunki. Mamy ogromne straty!

Rozejrzałam się. Łóżko, stolik i telewizor. Żadnego faksu.

– Proszę mnie wypisać – poprosiłam lekarza, starając się zrobić minę najzdrowszej osoby na świecie.

– Ależ naturalnie – odpowiedział lekarz. – Za dwa miesiące. A na razie proszę przez trzy tygodnie nie wstawać z łóżka. Czy pani sobie zdaje sprawę, z czego panią wyciągnęliśmy?

Przeleżałam jeszcze tydzień. Monotonny szpitalny rozkład dnia świetnie działał na moją psychikę. Najgorszym wstrząsem, jaki mógł mi się tutaj przydarzyć, było spotkanie karalucha w toalecie.

Dzień zaczynałam od tabletek i kończyłam tabletkami. Chorzy radośnie witali odwiedzających, zaglądali do siatek z jedzeniem, dzwoniли do domu z wygodnych skórzanych foteli na korytarzu i nigdzie się nie spieszyli.

Codziennie rozmawiałam z księgową. Sporo pracowników w ogóle przestało pojawiać się w firmie. Poprosiłam księgową, żeby dzwoniła do mnie nieco rzadziej. Progres czy raczej regres w rachunkach był tak oczywisty i stały, że wszystkich niezbędnych wyliczeń mogłam bez trudu dokonać sama.

Przyjechała Lena.

Z miejsca zaproponowałam jej krzesło, pamiętając, jak niewygodnie było mi stać przy łóżku kierowcy.

Lena zerwała z narzeczonym.

– Wiesz, mam jakiegoś pecha – powiedziała ponuro, starannie omijając wzrokiem słoik z moczem do analizy. – Poprosiłam mojego byłego, żeby dał mi podwyżkę, bo przez to całe euro wszystko podrożało, a on mi na to, że sam ma teraz kłopoty finansowe – westchnęła. – On ma,

za to ona nie ma. Weronika widziała garnitur od Van Cliffa, który podarowała mu na Nowy Rok. A mnie dał długopis Bulgari. Ciekawe, co jego zdaniem mam robić z tym długopisem?

– Za to zostawił ci dom – ujęłam się za byłym mężem Leny.

– Wiesz, ja tam nikomu źle nie życzę, ale spróbowałby sobie pożyczyć za te dwa tysiące dolarów miesięcznie, które mi daje – powiedziała mściwie. – Świnia. Gdybym była mężczyzną, w ogóle nic bym mu nie płaciła.

Roześmiałam się.

– Nawet gdybyś to ty go rzuciła?

– A pewnie – zaperzała się Lena. – Ile on by mi krwi napsuł, zanimby się od niego uwolniła!

– Jesteś niesprawiedliwa – westchnęłam.

– OK, wiem. Po prostu nie starcza mi pieniędzy.

Mama przywiozła Maszę. Masza była wpatrzona we mnie jak w obrazek i chciała też zostać w szpitalu.

– Nic cię nie boli? – zapytała czule.

– Nie. Po prostu leżę.

– Ta twoja Filipinka – skarżyła się mama – żąda takich warzyw i ryb, że nigdzie nie można ich kupić.

– To naucz ją robić pielmienie.

– Pokazałam jej, jak gotować barszcz. Spróbowała i trzy dni miała rozstrój żołądka. Wszyscy teraz tacy delikatni...

Potem przyjechała Katia.

Właśnie kończyła pierwszy cykl kuracji na bezpłodność.

– Codziennie jeżdżę na zastrzyki! Mam już tego dosyć! – wołała.

– Byle tylko pomogły – powiedziałam.

– Wpadłam tylko na chwilę, zaraz jadę na milicję wymienić dowód. Widziałas te nowe dowody?

– Widziałam. U mnie jedna dziewczyna umówiła się w urzędzie, że zmienia jej datę urodzenia.

– Tak? – Kati zabłyszczały oczy. – Też bym sobie zmieniła. Odmłodzę się tak z pięć lat. Ile biorą?

– Nie wiem. Spróbuj dać sto dolarów.

– Dam choćby dwieście!

Właśnie piłam cienki rosółek, podstawę mojej diety, kiedy zadzwoniła mama kierowcy. Nie od razu ją poznałam. Najpierw przez dobrą minutę w słuchawce rozlegały się pochlipywania, jęki i odgłosy, jakie wydaje umierający, kiedy zabierają mu poduszkę tlenową.

Gdzieś pod żołądkiem zaległo mi się przecucie nieszczęścia i rosło jak komórka rakowa.

Tej nocy ktoś wysadził w powietrze ich samochód. Spalony wrak stał jeszcze pod domem.

Kierowca składał zeznania w piątek. W poniedziałek milicja miała już nakaz aresztowania, ale jak dotąd nie złapała jeszcze Wowy Szczura. Zniknął z miejsca stałego zameldowania.

– Grożono nam przez telefon! – płakała mama kierowcy. – Ktoś powiedział, że codziennie będą mi łamać jeden palec, dopóki nie odwołamy zeznań!

Była tak wystraszona, że aż udzielił mi się jej nastrój. Zwinęłam się w kłębek i poczułam tak bezbronna, że nic, tylko wleźć z głową pod kołdrę.

– Powiedz mu! – chlipała w słuchawkę.

– Komu? – przeraziłam się na samą myśl, że miałabym rozmawiać z Wową Szczurem.

– Mojemu synowi! Nie chce teraz wycofywać zeznań!

Nawet powietrze w małej szpitalnej sali zrobiło się świeższe. Nie byłam sama. Gdzieś tam daleko, w otoczeniu lekarstw i strzykawek, tak jak ja, leżał człowiek, który trzymał moją stronę. I pewnie nawet nie przypuszczał, jak bardzo pomógł mi akurat wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowałam. Mój kierowca.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś wściekł się na opieszałego parkingowego pod kasynem. Mało go nie pobił. Opowiadałam przyjaciółom tę historię i naśmiewałam się z mojego kierowcy. Tak jak się opowiada o dziecku, które lubi wznosić toasty wodą mineralną.

Teraz wyraźnie widziałam, jak zaciska potężne pięści, jak czerwienieje na twarzy i jak mówi matce: „Nie. Nie odpuszczę mu”. Albo coś w tym rodzaju.

– Proszę się uspokoić – powiedziałam do słuchawki – i nie wychodzić z domu. W domu jest pani bezpieczna.

Poprosiłam do telefonu jej syna.

– Halo – powiedział spokojnie.

– Przysłać więcej ochroniarzy? – zapytałam.

– Nie. Do domu nie wejdą. Jeden chłopak siedzi w środku, drugi pod drzwiami. I codziennie przyjeżdża ich szef na kontrolę.

Skinęłam głową. Tego naturalnie nie mógł widzieć.

– Wymyślę coś! – obiecałam.

– Wiem – powiedział wesoło.

Wstałam i powolutku, bardzo ostrożnie wyszłam z sali. Ze strachu przed bólem zgięło mnie we dwoje.

– Dokąd to? – ryknęła na korytarzu pielęgniarka.

Za oknami był luty. Nie wiedziałam, gdzie jest moje ubranie.

Oparłam się o ścianę i osunęłam po niej na podłogę, jak kropla konfitury malinowej ścieka po ścianie słoika. Tyle że ja nie zostawiałam śladów.

Siostry złapały mnie pod ręce i odprowadziły do łóżka.

Zadzwoił telefon. Za każdym razem jego przenikliwy, wibrujący głos podsuwał mojej wyobraźni kolejne makabryczne sceny. Płonące samochody; otwarte drzwi windy i grzechot strzałów; wykrzywioną twarz starej kobiety, której łamają palce... Odebrałam, żeby przerwać ten

koszmar.

Dzwoniła księgowa. Strasznie mnie przepraszała, po czym oświadczyła, że przyszły dwa pisma z banku. Dawno już minął termin spłaty kredytu i jest niebezpieczeństwo, że wejdą nam na hipotekę. Czy chcę, żeby przesłała mi pisma?

– Nie – podziękowałam jej uprzejmie. Czy mam jeszcze jakieś pytania? Mam.

– Jak tam atmosfera w firmie?

– Wszyscy czekają na panią – odparła wymijająco. I zapytała, czy może wypłacić pracownikom pensje.

– Oczywiście – całkiem zapomniałam, co oznacza siódmy dzień każdego miesiąca: muszę wypłacić ludziom pieniądze, żeby zanieśli je do swoich domów, kupili jedzenie i ciepłe ubrania. I odrobinę luksusu – na przykład patelnie „Tefal”.

– A co w tym miesiącu z akwizytorami? Przecież nic nie zarobili. Może proszę dać im jakieś pieniądze awansem?

Sekretarka chrząknęła.

– Prawie wszyscy akwizytorzy się zwolnili. Muszą zarabiać. A u nas produkcja stoi. Nikt nie dba o firmę. Nawet Siergiej, odchodząc, powiedział...

– Nieważne – przerwałam jej. – Tylko niech pani na razie nie odchodzi, dobrze?

Zapewniła, że zostanie. W jej głosie nie słyszałam specjalnego optymizmu.

Zdawało mi się, że świat wypluł mnie na śmietnik.

W poniedziałek zaczęłam wstawać z łóżka. Staralam się trzymać prosto. Powinam jeszcze leżeć.

Wypisałam się na własne żądanie. Weronika przyjechała po mnie do szpitala.

– Potrzebny ci kierowca – zauważyła.

Jakaś jej koleżanka otworzyła agencję kobiet-ochroniarek „Nikita”. Można tam znaleźć dziewczynę z prawem jazdy.

– A po co mi kobieta? – zapytałam.

– Nie będzie ci śmierdziało w samochodzie. Poza tym niektóre nie palą.

Zamyśliłam się.

Weronika zadzwoniła do koleżanki i powiedziała, że zaraz przywiezie klientkę.

Właścicielka „Nikity” miała klasę. Natychmiast doszłam do wniosku, że jest lesbijką.

– Wszyscy mają już wyżej uszu tych tępych kierowców – wyjaśniała mi swój biznesplan. – Jeśli facet ma głowę, sam wynajmuje kierowcę, ale z kobietami jest inaczej. Kobieta najpierw uczy się, potem rodzi dziecko, potem je wychowuje, potem się rozwodzi i już ma trzydziestkę czy coś koło tego. Jest mądra, ale kto potrafi docenić jej mądrość? Na co może ją spożytkować?

Zapewniłam, że stworzę swojej ochroniarce znakomite warunki do spożytkowania jej zasobów intelektualnych.

Pokazano mi fotografie.

– W zasadzie staramy się nie pokazywać fotografii – powiedziała właścicielka agencji,

widząc moje osłupienie. – Wygląd nie jest najmocniejszą stroną tych dziewczyn...

Uległam namowom i postanowiłam przyjąć na okres próbny niejaką Aleksandrę.

– Kup jej kostium od Gaultiera – zaproponowała Weronika, kiedy wsiadłyśmy do samochodu. – Są w „Italmodzie”, taka pomięta koszula z krawatem i szerokie spodnie.

Nie widziałam się z Weroniką od jej powrotu z Courchevel. Opowiadała o feriach tak, jak zazwyczaj opowiada się o czymś, co kosztuje tysiąc siedemset dolarów za dobę, nie licząc karnetu na wyciąg: z mieszaniną nonszalancji i dumy; rzucając co chwila nazwiskami gwiazd i oligarchów, jak się rzuca makaron z durszlaka na talerz; zmieniała się tylko sceneria, reszta była ciągle taka sama: przyjęcia, romanse, futra i ta żmija Ksiusza (Uljana, Świetlana – nieważne), która zresztą wyglądała super...

Aleksandra przyjechała do mnie nazajutrz rano. Przyglądałam się jej z ciekawością: krótko obcięte włosy, pewne ruchy i dziwny zwyczaj stukania obcasami. Podobnie stukali białogwardziści w filmie *Adiutant Jego Wysokości*.

Wcześniej Aleksandra pracowała w służbach specjalnych. Była sierżantem.

– Masz pozwolenie na broń? – zapytałam.

– Mam. Ale nie na ostrą.

Podjechałyśmy pod komisariat.

– Jeśli nie wrócę w ciągu pół godziny – instruowałam Aleksandrę – zadzwoń do mnie z telefonu w samochodzie. A jeżeli nie odbiorę, dzwoń na ten numer, do Wadima, i powiedz, że milicja mnie zatrzymała.

Ufałam im jeszcze mniej niż swego czasu Olesiovi.

Patrząc na skupioną Aleksandrę, przypominałam sobie jej ankietę, z której wynikało, że nie miała dzieci, nie wychowywała ich ani się nie rozwodziła.

– Marnie coś wyglądasz – zdziwił się oficer, ten, który pół roku temu za nic nie mógł zrozumieć, dlaczego chciałabym wiedzieć, czy mój mąż umarł na miejscu.

– Leżałam w szpitalu – wyjaśniłam nie wiadomo po co.

Do gabinetu wszedł drugi milicjant – „nasz”, jak mówił o nim Wadim, więc od razu zwróciłam się do niego:

– Morderca grozi mojemu kierowcy. Dałam mu ochronę. Ale w kółko ktoś dzwoni...

– Nie założymy podsłuchu – przerwał mi oficer – dawno już nikt nie jest takim idiotą, żeby dzwonić z własnego telefonu. W końcu wszyscy oglądają telewizję.

„Nasz” oficer wziął z podłogi miskę, troskliwie podstawioną pod zaciek na suficie, i wyszedł z nią na korytarz. Zaczekałam, aż wróci.

Włączył czajnik. W gabinecie było przytulnie jak w domu i nagle Wowa Szczur i połamane palce wydały mi się zupełnie nieprawdopodobne, nierealne, a nawet jeśli realne, to tak dalekie, bardzo dalekie, że po prostu nie mogły nikomu zagrażać.

– Chociaż znam takie historie – „nasz” oficer leniwie machnął ręką – teraz go znajdziemy, a świadek tuż przed rozprawą się rozmyśli. Albo na rozprawie. I znowu dostaniemy po...

Zerknął na mnie, jakby zastanawiając się, czy wypada rzucić nieprzyzwoitym słowem. Oczywiście jechaliśmy na jednym wózku, ale jednak przyjemnie mi było słyszeć to zaakcentowane „znowu”. „Pewnie często dostają po tym miejscu, o którym właśnie chciał powiedzieć” – pomyślałam złośliwie.

– Ale mimo wszystko złapcie Wowę – przerwałam mu.

Pewnie zakodowany genetycznie strach przed milicją wzbudza takie uczucie – nadzieję, że skoro tak często dostają po tym miejscu, jest jakaś szansa, że kiedy zadrą ze mną, może też dostaną...

– I jak w tym kraju ma panować porządek? – warknęłam tonem wojującej reportażystki z TV.

W samochodzie prawie zasnęłam. Osłabienie po chorobie. Poprosiłam Aleksandrę, żeby odwiozła mnie do domu. Musiałam wziąć kolejny zastrzyk.

Gala została bez pracy. Lekarze zabronili mi na razie łaźni i masaży. Puściłam ją do domu, na urlop, i wymogłam obietnicę, że za miesiąc wróci. Jej wyjazd wydawał mi się katastrofą, ale już po trzech dniach o niej zapomniałam.

„Co z oczu, to z serca” – w kółko tłukły mi się po głowie jakieś idiotyczne powiedzonka. Swoją drogą, ciekawe, jak tam Londyn? To znaczy Wanieczka?

Aleksandra włożyła ręce do kieszeni i kopnęła zamrożone grudy śniegu przed bramą mojego domu. Siedziałam w samochodzie i obserwowałam ją przez przednią szybę. Z ruchu jej warg zorientowałam się, że klnie. Nie żeby denerwował ją ten śnieg. Po prostu taki wybrała sobie styl. Przypominała niedorobionego mężczyznę. „Muszę z nią porozmawiać”, postanowiłam i szybko ułożyłam w myślach cały plan, dzięki któremu przekonam ją, żeby zachowywała się bardziej kobieco. „Gdybym potrzebowała faceta, zatrudniłabym faceta, nie ciebie – tak zamierzałam zacząć. – Kiedy facet pragnie kobiety, pragnie istoty zupełnie różnej od siebie: czulej, zalotnej, jednym słowem – kobiecej!”

– Jakie masz preferencje seksualne? – zapytałam Aleksandrę, kiedy wypluła peta i wsiadła do samochodu, napelniając go zapachem taniego tytoniu. To miało być zagajenie i już chciałam przejść do kolejnego punktu, kiedy dotarło do mnie, co odpowiedziała.

– Fifty-fifty – rzuciła szczerze. Odpadłam. A ona pytająco przyglądała mi się w lusterku.

Łaska boska zadzwonił telefon. Zapowiedziałam księgowej, że za pół godziny będę w firmie.

– A może by tak pozbierać wszystkie nasze długi i zapłacić bankowi którąś ratę? – zapytałam, siedząc w swoim gabinecie. Teraz, kiedy połowa pracowników uciekła, a druga obserwowała mnie pilnie i z wyraźnym współczuciem, wystrój gabinetu zdawał mi się zbyt luksusowy i wielkopański. Jakbym włożyła kombinezon narciarski od Chanel i nie potrafiła zjechać z oślej łączki. Miałam już kiedyś taką sytuację. Byłam przekonana, że wystarczy mi dwadzieścia minut, żeby opanować ten przyjemny sport.

– To są rachunki. Pozbieraliśmy wszystkie pieniądze. Wczoraj zapłaciłam podatki, jest już

luty.

Dobrze. Zamierzałam błyskawicznie zorganizować kampanię transportową. Przygotowałam wszystko jeszcze przed ucieczką Siergieja. Naturalnie nie dorobię się na tym kokosów, ale spłacę długi i utrzymam miejsca pracy. Odszukałam na biurku umowy przedwstępne podpisane z kilkoma hurtowniami.

Poprosiłam sekretarkę, żeby nikogo nie łączyła. Postanowiłam wyjść z biura dopiero wtedy, kiedy rozwiązę całą tę łamigłówkę.

Ale najpierw sama musiałam gdzieś zadzwonić.

Od jakiegoś czasu czułam się odpowiedzialna za rodzinę mojego kierowcy. I szczerze się martwiłam, czy kierowca zażywa wszystkie leki. Chciałam, żeby wyzdrowiał.

To właśnie on odebrał telefon.

Meldował zwięźle, po wojskowemu.

– Nie chcieliśmy pani niepokoić – powiedział na koniec. – Myśleliśmy, że leży pani w szpitalu.

Kazałam mu obiecać, że odtąd będzie mnie już informował na bieżąco.

Odłożyłam słuchawkę. Potem zadzwoniłam jeszcze do szefa agencji ochroniarskiej. Usiłowałam zapanować nad sobą, ale nie potrafiłam. I nakrzyczałam na niego. Nakrzyczeć było znacznie łatwiej, niż wyobrazić sobie, co się teraz dzieje w tym mieszkaniu ze spalonymi drzwiami.

– Spalili im drzwi! Mówiłeś, że masz najlepszych fachowców! Byle idiota potrafi ogłuszyć twojego ochroniarza! A tam był chory człowiek i stara kobieta!

Szef tłumaczył się mętnie. Faktycznie, ochroniarza ogłuszył na schodach jakiś mężczyzna z psem. Ochroniarz sądził, że to sąsiad i pozwolił mu podejść zbyt blisko. No i spalili drzwi. Według instrukcji drugi ochroniarz nie mógł wyjść z mieszkania, żeby ugasić pożar. Został w środku i pilnował klientów. Skontaktował się z centralą, zaraz wysłali uzbrojone posiłki. A sąsiedzi wezwali straż pożarną.

– Chcieli go tylko zastraszyć – mówił szef. – Przecież nikomu nic się nie stało, prawda? Wzmocnię ochronę o dwu ludzi, na mój koszt. Stoi? Na dwa dni.

– Na trzy – powiedziałam. – I wyremontujesz klatkę.

– E, bez przesady! Mój człowiek też ucierpiał. Wstrząs mózgu.

Zajrzała sekretarka. Była przestraszona i wymamrotała tylko coś w rodzaju: „Wszystko w porządku?”. Gestem kazałam jej zamknąć drzwi.

Nic nie było w porządku.

Wadim powiedział to samo:

– Straszy, gnida jedna.

– Zadzwon na milicję! Chyba mogą coś zrobić? Przecież on gdzieś chodzi! Je! Mieszka!

Wadim zadzwonił. Milicja obiecała, że roześle portrety pamięciowe po wszystkich dworcach i lott niskach. Obiecali, że mysz się nie prześlizgnie. Przypomniałam sobie miskę, do której

pewnie wciąż jeszcze kapłała woda z sufitu.

– Myślisz, że coś mi grozi? – zapytałam Wadima.

– Raczej nie. Ale może na wszelki wypadek przyśle ci ochroniarzy?

Westchnęłam.

– Mam już ochroniarza. Dziewczynę. Tylko bez pistoletu.

– Dziewczynę? – prychnął Wadim. – Kup jej „osę”. Z paru metrów przebija na wylot. Tylko musi mieć pozwolenie jak na broń gazową.

– Ma.

Trzymałam w ręce umowy z hurtowniami. I miałam ochotę stać się Scarlett O’Harą i z czystym sumieniem pomyśleć o nich jutro.

Wychodząc na ulicę, czułam się jak worek bokserski.

Na tylnym siedzeniu samochodu zaciągałam się prawdziwym holenderskim haszyszem, a Aleksandra zachowywała się tak, jakbym siorbała kaszkę z mleczkiem.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

– Do „Galerii”. Róg Strastnej i Trubnej. Musiałam pobyć trochę z ludźmi, którym bank nie chciał zlicytować domów, a bandyci zabić kierowców. No, chyba że tychże kierowców mieli ochotę zamordować sami.

Na początek wpadłam na Lenę.

Moskwa to wielkie miasto, ale wszyscy obracamy się tu w zamkniętym kręgu.

– Mój facet jest w podróży służbowej – szeptała tak, żeby wszyscy wokół nas słyszeli. – Ale sobie używamy!

– Twój? – upewniłam się na wszelki wypadek.

Okazało się, że zamieszkali razem. Kiedy go rzuciła, on rzucił swoją żonę. Sporo mnie ominęło, kiedy leżałam w szpitalu.

Zaproponowałam jej haszysz. Wzięłyśmy po machu w moim samochodzie. Aleksandra dyskretnie wysiadła.

– Kto to jest? – zapytała Lena.

– Mój nowy kierowca – odpowiedziałam.

– Super.

Przy stoliku czekały na nas Katia, Olesia i Kira z fioletowym pudlem. Fioletowym, bo Kira chciała włożyć fioletową sukienkę. Ale sukienka była właśnie w pralni.

– Częste farbowanie im szkodzi – wyjaśniła Kira. Rzeczywiście, tym razem Blondi całkiem nie pasowała do jej stroju.

Lena i ja bardzo jej współczułyśmy. Nawet wtedy, kiedy rozmowa zesłała już na inny temat.

– Co jest, upaliłyście się? – spytała Kira. Wszystkie trzy poszłyśmy do toalety i obficie spryskałyśmy powietrze trzema rodzajami perfum naraz, po czym zaciągnęłyśmy się kolejny raz. Gwoździem programu okazała się historia Olesi.

– Mój ginekolog mówi: „Zaszyję ci i znowu będziesz jak dziewczynka”. Ale oczywiście

wszystkiego nie zaszyłam.

– No pewnie – przerwała jej Lena. – W końcu nie jesteś idiotką.

– No właśnie. Ale trochę zaszyłam. Nie uwierzycie, czułam się jak gimnazjalistka! A ten mój, sukinsyn, wrócił do domu późno. Nic mu nie mówiłam, będzie miał, myślę, niespodziankę. Świeże wrażenia i tak dalej. A on przyjechał pijany! Idziemy do łóżka i wiecie co? – dramatycznie zawiesiła głos.

– No? – zapytałyśmy chórem.

– W pijanym widzie doszedł do wniosku, że rozdziewiczył jakąś pannę. Objął mnie i zaczął przeproszać. A potem ciągle obiecywał prezenty, aż w końcu zasnął.

Śmiałyśmy się tak, że aż rozboleły nas brzuchy i brakowało tchu, ale nie mogłyśmy przestać.

– To nic śmiesznego – powiedziała Olesia.

– No pewnie – potwierdziłam, nadal chichocząc.

Zjawił się kelner. Zasłoniłyśmy twarze kartami dań i machałyśmy do niego, żeby podszedł bliżej.

– Poczekajcie! – wydusiła z siebie Lena, zwinięta w kłębek ze śmiechu.

– Nie. Ja proszę smażone roladki – poprosiła wyniośle Olesia, jakby nie miała z nami nic wspólnego.

– To my też – powiedziała Kira w imieniu swoim i Blondi.

Kiedy się trochę uspokoiłyśmy, zamówiłam kapustę na parze. Co najmniej przez miesiąc musiałam przestrzegać diety. Dlatego nie piłam wina.

Wypaliłyśmy jeszcze po papierosie i pojechałyśmy do „First”.

Pośrodku sali, w wianuszkach ochroniarzy, tańczył oligarcha Kati. Ochroniarze również tańczyli, ale nawet nie próbowali udawać, że sprawia im to jakąkolwiek przyjemność.

– Muszę się jeszcze zaciągnąć – powiedziała Katia i poszłyśmy do toalety, tym razem z Kirą i Blondi.

– Tylko się nim nie przejmuj – powiedziałam w ciasnej kabinie.

– Jak chcesz, możemy jechać do „Kabaretu” – zaproponowała Lena.

– Nienawidzę „Kabaretu” – powiedziała Kira.

– Oj dobra – Katia zaciągnęła się i długo trzymała dym w płucach.

– Może nas nie zauważy? – rzuciła Kira, zabierając Kati jointa.

– Nic z tego – mruknęła Lena. – On zawsze wszystko widzi. Jakby non stop był w pracy.

– Niezła praca – w ramach konspiracji spuściłam wodę w muszli – tańczyć sobie w klubie.

– Gadasz całkiem jak moja mama. Pracuje do szóstej, a jak proszą, żeby została jeszcze dwadzieścia minut, potem przez parę dni nie może im tego darować. A on pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak przychodził do domu i mówił: „Jestem skonany”, mama zawsze pytała: „No chyba drew nie rąbałeś?”.

– Patrzcie, ona go broni – zauważyła Kira.

– A wam go nie szkoda? Bo mnie tak – powiedziała Lena.

– To może mu coś kupimy? – zaproponowałam.

– Najlepiej dajmy mu pieniądze – zdecydowała Katia.

Wyszliśmy z kabiny gęsiego, z kamiennymi twarzami. Dwie dziewczyny stojące obok zerknęły na siebie porozumiewawczo.

Przy pierwszym półokrągłym stoliku jacyś nasi znajomi pili szampana, więc bez ceremonii dosiadaliśmy się do nich. Jeden z nich zaczął podrywać Kirę. Zwracał się do niej per Malwino. Chichotałyśmy po każdym jego słowie, czasem nawet zagłuszając muzykę. Kiedy po raz dziesiąty wyjechał jej z tą Malwiną, a Blondi – z Artemonem, wyszłam z sali, ciągnąc za sobą Katię. Znowu zamknęliśmy się w toalecie, żeby wypalić jointa. Zadzwoiłam do Aleksandry.

– Będę mówiła do ciebie Aleks, masz coś przeciwko? – zapytałam, przekrzykując muzykę.

Aleksandra nie miała nic przeciwko. Poprosiłam, żeby przyniosła czarną pastę do butów w sprayu firmy „Salamandra”, którą zawsze woziłam w skrytce samochodu.

Po powrocie poprosiliśmy Kirę, żeby dała nam potrzymać pudła. Kira dała nam Blondi i poszła zatańczyć ze swoim absztyfikantem.

Blondi wrywała się i w ogóle nie podobało jej się kolejne farbowanie, tym razem „Salamandrą”. Ale postanowiłyśmy przerobić ją na Artemona.

Kiedy fiolet trzymał się już tylko na jednej łapie, w końcu nam uciekła. Pognała po stole w stronę tańczących. Łapałyśmy ją, strącając kieliszki i rozlewając szampana na swoje śliczne sukienki. Blondi zeskoczyła na podłogę.

– Trzymaj ją! – wrzasnęłam, przedzierając się przez stojących między stolikami ludzi.

– Łapcie psa! – krzyczała Katia w szalonym pościgu.

Psa odłowił oligarcha Kati.

– Artemon! – uśmiechnęłam się radośnie.

– Blondi? – wyjąkała przerażona Kira.

– Cześć – powiedziała Katia, patrząc na wymazane pastą dłonie oligarchy.

Piliśmy szampana przy jego stoliku; w końcu dałam sobie spokój z dietą.

– Fajnie się ostrzygłaś – oligarcha głaskał języka Kati. Katia usiłowała milczeć, żeby się nie wydało, po co tak często chodzimy do toalety.

Tymczasem on koniecznie chciał z nią pogadać. Katia milczała. I tak przez pół nocy.

Do domu wysłał ją ze swoimi ochroniarzami. Olesia, Kira i Artemon wyszli już wcześniej.

Wsiadłam z Leną do jej samochodu, a Aleksandra pojechała przodem.

Przed posterunkiem drogówki na obwodnicy zadzwoniłam do Aleksandry.

– Słucham – powiedziała surowo.

– Jak zobaczysz gliniarzy, zacznij jechać wężykiem. Wiesz, Lena trochę wypila.

Aleksandra zaczęła jechać od rowu do rowu. Gliniarze przylecieli do niej jak na skrzydłach, gwizdząc i wymachując pałkami.

– A ja co mam robić? – zapytała zdezorientowana Lena, obserwując całe to zamieszanie.

– Jechać. Jakby nigdy nic. O to chodziło.

W okolicach Barwicy pożegnałyśmy się i wróciłam do swojego samochodu.
– Będę mówiła do ciebie Aleks – przypomniam Aleksandrze.

Leżałam w łóżku i zastanawiałam się, jakim cudem w mojej trzydziestometrowej sypialni mogło się zmieścić dwupokojowe mieszkanie moich rodziców. Z kuchnią, łazienką i WC. Wyobrażałam sobie, jak to wszystko upchnąć na tak małej powierzchni, podkradałam miejsce na garderobę i spiżarnię (nie pamiętam, czy w naszym mieszkaniu były garderoba i spiżarnia?) i wychodził mi całkiem spory domek Barbie. Zakwaterowałam w nim dwójkę dzieci (miałam brata), mamę i tatę. Z punktu widzenia dziecka wychodziło całkiem fajnie. Z punktu widzenia mamy też OK – mało sprzątanego. Potem wyobraziłam sobie, że jestem tatą, i z miejsca pojechałam na mecz. Potem poszłam krok dalej i postanowiłam spojrzeć na świat z punktu widzenia psa.

To znaczy na domek Barbie – dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, łazienką i WC, czyli na moją sypialnię. Ale nic z tego. Jakoś nie potrafiłam wyobrazić sobie siebie w roli psa. Ani kota. Pomyślałam, że palenie haszyszu fatalnie splota wyobraźnię.

Zeszłam na parter. Wszędzie panował doskonały porządek, a na stole w jadalni stała herbata.

– Zjesz śniadanie? – zapytała życzliwie Aleks. Siedziała na kanapie, wertując „Playboya”.

– Widziałas Filipinkę?

Widziała. Najwyraźniej Filipinka była niewidzialna tylko dla mnie.

Zjadłam śniadanie w kompletnej ciszy, po czym wsiadłyśmy z Aleks do samochodu i pojechałyśmy do firmy. Po wczorajszym szaleństwie kulinarnym nerki jakoś mnie nie bolały, z czego wywnioskowałam, że jestem już całkiem zdrowa. Ale na wszelki wypadek wzięłam podwójną dawkę leków.

Nic mi nie wychodziło.

Pomysł z kampanią transportową trzeszczał w szwach, jak damska bluzeczka na napakowanym atlecie.

Hurtownie, z którymi zamierzałam pracować, dawno znalazły sobie innych partnerów.

Sklepy pozrywały umowy.

Czułam się jak mała dziewczynka, która chciała pomalować usta, a wymazała sobie całą buzię.

Huśtałam się w pluszowym fotelu i przez tę apatię sama robiłam się pluszowa.

Mózg zwinął się w mojej głowie w ciasny kłębek i chyba zapadł w drzemkę.

Całe moje ciało, od pluszowego mózgu po czubki palców nóg ze starannym pedicure, wypełniała tępa obojętność.

Wszyscy dawno już poszli do domu, zostałam w firmie sama.

Rozkoszowałam się swoim przygnębieniem tak, jak ekshibicjoniści rozkoszują się swoją nagością. Było to dość paskudne, ale jednak przyjemne. Zdawało mi się, że śpię z otwartymi oczami. Bałam się choćby głębiej odetchnąć, bo wiedziałam, że przy najmniejszym ruchu to

uczucie pryśnie.

Chciałam tylko przeżyć ten dzień; wierzyłam, że nazajutrz wszystko jakoś się ułoży.

Ktoś zapukał do drzwi. Zapomniałam o Aleks. Przyniosła telefon: dzwonił mój kierowca. Zapaliłam światło.

Jego mama ma duże nadciśnienie. Powinna iść do szpitala. Nie mają jej jak odwieźć, samochód spłonął. Czy mogłabym przysłać kierowcę?

Nie, nie przyślę. To zbyt niebezpieczne. Mama powinna zostać w domu.

– Zrozum – prosiłam chorego, przerażonego kierowcę – pewnie ktoś was śledzi. Nie możemy ryzykować. Przyślę do was lekarza. Będzie z mamą tak długo, jak długo to będzie konieczne.

Kierowca milczał. Lepiej by już krzyczał i kłął na mnie i na wszystkie moje szczury.

Ale milczał. Miałam ochotę znaleźć się obok niego, podtrzymać go w tej upiornej walce o zasady i pokój. A może chciałam, żeby to on podtrzymał mnie na duchu?

Zadzwoiłam do swojego lekarza. Obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy.

Przez cały ten czas Aleks siedziała w gabinecie.

„Biedna dziewczyna – pomyślałam. – Dwa dni pracy i już ma komplet: narkotyki, zygzakowanie na oczach drogowki i chora staruszka, którą ktoś chce zabić. A ja godzinami huśtam się w pluszowym fotelu”.

– Jadłaś coś? – zapytałam.

– Tak. Razem ze wszystkimi – machnęła w stronę sekretariatu.

– Poczekaj jeszcze chwilkę. Już zaraz jedziemy. Postanowiłam jechać do Weroniki. Zwinąć się w kłębek na fotelu w jej ciemnym gabinecie, za grubymi zasłonami; ukryć się przed światem. Jak bonusowy zajączek w automacie do gry, z mroku wychynął Igor. Na pewno jest już w domu.

Lepiej pojedę do Leny. Usiądę przy kominku i będę patrzyła na roztańczone płomienie, będę sączyła czerwone wino z wielkiego kielicha. Poplotkujemy sobie o facetach, jakie to z nich świnię. I że w ogóle życie jest do dupy. Tylko to wino i ten ogień mają jakiś sens.

Już po samym tonie, jakim Lena powiedziała „halo”, zorientowałam się, że nie jest sama. Jasne, przecież ma romans. Coś okropnego, kiedy w życiu przyjaciółki nagle pojawia się mężczyzna.

Jeśli tam pojedę, będę się czuła jak aktor, który wychodzi na scenę, nie znając tekstu sztuki.

Nic nie powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Perspektywa zakopania się w mięciutkich poduszkach od Provaziego u Kati, przed telewizorem, zdawała mi się nader pociągająca. Logiczny umysł Kati szybko przeanalizuje wszystkie moje kłopoty, rozłoży je na poszczególne składowe, później przemnoży, podzieli, wyciągnie pierwiastek i wyliczy procent; w rezultacie otrzyma liczbę „pi” i przekona mnie, że w ten sposób rozwiązałyśmy wszystkie moje problemy.

Katia wybierała się ze swoim oligarchą na bankiet „DONStroju”.

– Dał mi tylko półtorej godziny do wyjścia! – krzyczała podenerwowana Katia. – Jak myślisz, czego on ode mnie chce?

– Miłości – odpowiedziałam. – Kiedy generałowie zawojują już wszystkie dostępne ziemie, wracają spokojnie do domu.

Nie uświadomiłam jej, że generałowie są zwyczajnie rozpuszczeni. Im bogatszy i im potężniejszy jest człowiek, tym bardziej rozpuszczony. Tylko nieliczni potrafią znaleźć jakiś twardy fundament, który chroni ich przed zatonięciem. Później bazują na nim całe życie. Zazwyczaj jest to rodzina. Dom, żona, dzieci, pies. Komputer, teściowa, program sportowy.

Poczułam się opuszczona. Jakby drogi całej ludzkości wiodły na południe, i tylko moja – na północ. Albo odwrotnie. Nie rozumiałam, dlaczego akurat mnie musiało się to przytrafić.

– Bo jesteś silna – wyjaśnił mi Wanieczka. Zadzwoiłam do niego do Londynu. – U nas byłabyś premierem.

Często w życiu słyszałam takie słowa. Nad innymi się zawsze użalano, a mnie mówili: jesteś silna. Kiedy inni piją białe wino przyprawione wyznaniem miłości, ja muszę myśleć o tym, jak ratować swojego kierowcę. I jego mamę. I jak zapewnić im normalne życie.

Kiedy moje przyjaciółki zakochiwały się i romansowały, ja ciągle musiałam kogoś zabijać. Z radosną piosnką na ustach dołączałam do klanu seryjnych zabójców.

W telefonie Olesia odezwała się automatyczna sekretarka. Poprosiłam, żeby się ze mną pilnie skontaktował.

Nie miałam ochoty wracać do domu. W nocnej ciszy pokójów postanowienie, które właśnie podjęłam, będzie rzucało mną z kąta w kąt i nie pozwoli mi zasnąć.

Aleks ucieszyła moja decyzja. Powolutku jechała przez wieczorną Moskwę i co minutę naciskała guzik radia. Kiedy tylko jakaś piosenka zaczynała mi się podobać, natychmiast przełączała na coś innego. Milczałam i dzielnie walczyłam z narastającą irytacją.

„DONStroj” organizował kolejny bankiet. Ich budżet reprezentacyjny równał się chyba jedynie wydatkom na materiały budowlane.

Nie miałam zaproszenia, więc zadzwoniłam do Kati, żeby po mnie wyszła.

Siedziałyśmy przy stoliku z jej oligarchą i jakimiś jego znajomymi, z których każdy albo już kiedyś u niego pracował, albo marzył, żeby pracować w przyszłości. Co chwila podchodził ktoś z sali, żeby się uniżenie przywitać. Dziewczyny rzucały nam zazdrosne spojrzenia zza sąsiednich stolików, a my pławiłyśmy się w falach jego potęgi.

– Szukałaś mnie? – szepnął mi na ucho Oleś, niespodziewanie wyrastając tuż za moimi plecami.

Z godnością uściśnął dłonie wszystkich mężczyzn przy naszym stoliku i pochwalił fryzurę Kati.

– Nie spodziewałam się spotkać cię tutaj – powiedziałam szczerze, kiedy odeszliśmy we dwoje w głąb sali.

Wzruszył ramionami.

– Za to ja byłem pewien, że cię tutaj znajdę. Teraz ja wzruszyłam ramionami. Lekceważąco.

– Chcę zabić Wowę Szczura – powiedziałam.

Nasze ramiona poruszały się z taką częstotliwością, jak w ludowym tańcu żydowskim do piosenki *Chawa nagila*.

Tym razem wzruszył nimi obojętnie.

– Pomożesz mi? – docisnęłam.

– Nie mogę – pokręcił głową i zobaczyłam w jego oczach współczucie. – Teraz nie powinienem ryzykować z takimi historiami.

– Dlaczego?

Następny ruch jego ramion był całkiem już tajemniczy.

– Wiesz... A chcesz natychmiast?

– Tak – potwierdziłam, jak potwierdza się telegraficznie na pocztce, że właściwie zapisał treść depeszy.

– Nie mogę.

Sąd otrzymał już z banku żądanie przejęcia mojego majątku na poczet nie spłaconych kredytów. I zawiadomił mnie o tym. Podpisałam odbiór zawiadomienia. Chyba pora pakować walizki.

Mój dom za trzy i pół miliona dolarów szedł na licytację, żeby pokryć zadłużenie w wysokości stu dwudziestu tysięcy. Paranoja.

Musiałam zadzwonić do Wadima i pożyczyć od niego pieniądze.

Ciekawe, z czego mu oddam?

A jeśli odmówi? Jaka upokarzająca musi być taka odmowa!

Pomyślałam o swoim byłym dyrektorze, Siergieju. Mszyca, której w porę nie rozdeptałam, bo nie chciało mi się ruszyć nogą, złożyła jaja. I teraz jej młode zezrą cały ogród. Nawet nie byłam na niego zła – po prostu nim gardziłam.

Takie pieniądze ma też oczywiście Igor, mąż Weroniki. Wyobraziłam sobie, jak to do nich przyjeżdżam, a on patrzy na mnie ironicznie i trzyma nogi na stole. Lepiej już sprzedać dom.

Jest jeszcze oligarcha Kati. Pewnie co najmniej parę osób dziennie prosi go o podobne przysługi.

No i jest Wanieczka, który, jako rasowy Anglik, nawet nie wyobraża sobie, jak można pożyczyć tyle pieniędzy.

Mam też biżuterię. Tylko komu ją sprzedać?

Jeżeli zacznę pożyczać pieniądze, wyjdzie na jaw, że nie jestem już wiarygodnym partnerem w interesach. Zdrada Siergieja też niekorzystnie wpłynęła na wizerunek firmy. Nie powinnam była uzależniać całej mojej działalności handlowej od jednego człowieka.

Chodziłam z pokoju do pokoju, a Filipinka z wyjątkowym uporem wciąż usuwała się poza zasięg mojego wzroku.

Gdyby Serż żył! Jestem już taka zmęczona tym ciągłym podejmowaniem decyzji! Przy nim mogłabym zachować się jak struś, czyli schować głowę w piasek. A on już by sobie poradził z kredytem i całą resztą.

Gdyby Serż żył, niańczyłby teraz swojego syna i patrzył na Swietłanę ciepłym, wdzięcznym wzrokiem. A jeśli naprawdę ją kochał?

Kiedy tylko się ubrałam, Filipinka wyrosła przy drzwiach, żeby mnie uprzejmie pożegnać. W sukience z długim fartuchem z „Majordomusa” wyglądała jak bohaterka meksykańskiego serialu.

Nie uprzedziłam Swietłany, że przyjeżdżam.

Pod drzwiami przypomniałam sobie, że wypadało kupić dziecku jakąś zabawkę, ale już było za późno.

Swietłana chodziła jakaś rozmemłana i wyglądała, jakby od wczoraj się nie kąpała. W łóżeczku Maszy wrzeszczało wniebogłosy niemowlę.

– Możesz posiedzieć z Sieriożą parę godzin? – popatrzyła na mnie błagalnie.

– A co się stało? – trochę przeraziła mnie taka perspektywa.

– Jest podziębiony, nie mogę z nim wychodzić.

Była gotowa wybuchnąć płaczem. Nie mogłam zrozumieć, czemu nie uspokoi małego.

– Musisz coś kupić? – zapytałam.

– Nie – z jej oczu popłynęły łzy. – Jestem wykończona! Zamurowana w czterech ścianach!

Rozejrzała się ponuro wokół.

– Uspokój dziecko – powiedziałam.

– Nie! – Swietłana zaczęła piszczeć; padła na rozgrzebane łóżko i biła pięściami poduszki. – Niech się drze! Wszystko mi już jedno! Wrzeszczy całą dobę!

Delikatnie wyjęłam Sieriożę z łóżeczka. Jego ciało przypominało w dotyku dobrej jakości lalkę.

– No, no, malusi – zaszczebotałam, a ręce powoli przypomniały sobie, jak trzymać niemowlaka. – Uspokój się, już dobrze.

Chodziłam po pokoju i coś tam do niego mówiłam.

Mały zamknął paszczę i ufnie ułożył główkę na moim ramieniu.

– Patrz, jaką masz zdenerwowaną mamusię. Taka śliczna mamusia! Zbieraj się, jedziemy – rzuciłam Swietłanie.

– Dokąd? – chlipnęła.

Kołdra spadła na podłogę, włosy Swietłany były rozczochrane, oczy podpuchnięte. Wyglądała żałośnie.

– Poznać się z babcią i dziadkiem – powiedziałam nieoczekiwanie dla samej siebie.

Swietłana aż jęknęła ze zdumienia.

– No już, szybciej – popędziłam ją. – Tylko doprowadź się do porządku.

Uporała się z tym w pół godziny.

– Przecież mama miała ci pomagać? – zapytałam, kiedy Swietłana usadowiła się już na tylnym siedzeniu mojego samochodu z Sieriożą w nosidelku.

– Przeprowadziła się do mojego brata. Od tego krzyku skacze jej ciśnienie.

Co chwila poprawiała coś przy dziecku.

„Spokojnie – chciałam jej powiedzieć – na pewno go polubią”. Ale nie powiedziałam.

Drzwi otworzyła świekra. Na mój widok radośnie klasnęła w dłonie.

– Jak się macie? – zapytałam delikatnie.

– A... – tylko machnęła ręką. Odwróciła się, żeby nie dostrzegła łzy na jej policzku. – Kto to taki śliczny do nas przyjechał?

Kiedy Świetlana wyplątywała małego z kocyków, zaciągnęłam świekrę do kuchni. W kuchni jej mąż oglądał telewizję. Na mój widok zerwał się z krzesła i zawołał:

– Proszę, proszę! Co za gość! Zamknęłam za sobą drzwi. Świekra patrzyła na mnie pytająco. Zdawało mi się, że całe moje życie przeżyłam właśnie dla tej minuty. Żeby powiedzieć, że przywiozłam im do domu ich Sieriożę, a potem umrzeć.

– To wasz wnuk. Ma na imię Siergiej – nie wiem, czy udało mi się uśmiechnąć.

Ojciec Serża całował na przemian to wnuka, to Świetlanę. Mama siedziała ze mną na kanapie i ścisnęła moją rękę, a po jej policzkach płynęły łzy szczęścia.

– Ohoho! – pokrzykiwał dziadek, podnosząc wnuka pod sam sufit.

– Dziękuję – szepnęła świekra i pogłaskała mnie po głowie.

Mimo wszystko uśmiechnęłam się.

Teraz powinni sobie porozmawiać ze Świetlaną. Powiedziałam, że mam jeszcze jakieś sprawy do załatwienia, i wyszłam.

Lena gadała przez telefon. Otworzyła mi drzwi, ani na sekundę nie przerywając monologu.

– ... mają tam szachy i tak dalej, co tydzień przychodzi astrolog, we wtorki kosmetolog, w czwartki jest nauka tańca, a w środy kurs kuchni brazylijskiej. W soboty wieczory literackie, wszyscy czytają wiersze... no i gimnastyka...

– Jakież nowe przedszkole? – zapytałam, wchodząc do salonu.

– Słuchaj, zadzwonię później, ale pomyśl nad tym. W sumie głównie piją herbatę i plotkują. Cywilizowana wersja ławeczki pod blokiem. Kupujesz roczny abonament i tyle. No, to pa!

– Wiesz, Katia znowu ma romans z tym swoim oligarchą – ciągnęła Lena, jakby nie zauważając, że zmieniła rozmówcę. – Ale jej mama coś za nim nie przepada. Zaproponowałam jej, żeby założyła klub rodziców. Zrobimy zrzutkę i już. Moja mama też nie ma nic do roboty. Jak się wyżyją w takim klubie, mniej będą się nas czepiały.

– Super – pochwaliłam i zaraz przyszło mi do głowy, że mojej mamie też by się przydał taki klub. – A Katia co, tak na poważnie?

– No! Przeprowadza się do niego.

Sądząc po rozrzuconych po całym salonie męskich ciuchach, do Leny też ktoś się wprowadził. Lena zauważyła moją minę.

– Chcemy wziąć ślub – powiedziała uroczyście.

– Super – powtórzyłam.

Gdybym opowiedziała, że licytuję mój dom, Lena pewnie by mnie pocieszyła. I od razu

zrobiłoby mi się lżej. Może nawet byśmy sobie razem popłakały.

Ale to znaczy, że Katia również się dowie. A od Kati Kira. Potem Olesia. I potem już cała Rublowka.

Szłabym sobie ulicą i myślała: „Wszyscy patrzą na mnie i współczują – spalona bizneswoman”.

W milczeniu wybrałam i włączyłam płytę: Pink.

– Będziemy musieli wybudować dom! On jest kompletnie goły, wszystko oddał żonie. Co za harpia! Dobrze, że zostawiła mu chociaż samochód.

– Już ci się oświadczył?

– Nie, ale zapytał, czy nie mam nic przeciwko.

– A ty co na to?

– Powiedziałam, że się zastanowię. Wyobrażasz sobie, on nie je rano śniadań. Ale mi się trafiło!

Płynnymi kocimi ruchami tańczyła w takt muzyki.

– Wesele wyprawimy w „Metropolu”. Chciałabym mu podarować coś niezwykłego! Tylko co?

Wzruszyłam ramionami.

– Właściwie to on powinien ci coś dać...

– No i co z tego? Ja jemu też – pokręciła uparcie głową. – Wiesz, on nie chce, żebym brała pieniądze od swojego męża...

– Super.

– Płyta ci się zacięła? Wszystko super... Zadzwoił telefon.

– Halo – mruknęła kapryśnie Lena. Ale natychmiast zmieniła ton na mniej przyjemny. – Tatę? A może najpierw raczysz przywitać się ze mną?

Napięcie rosło.

– Nie, dopóki się ze mną nie przywitasz... No patrz, rozłączyła się. To jego córka. Ma dwanaście lat – wyjaśniła Lena.

Znowu zadzwonił telefon.

– Halo? Nie, już ci powiedziałam, że dopóki się ze mną nie przywi... Znowu się rozłączyła. A on ma pewnie wyłączone komórkę.

– Daj już spokój, lepiej powiedz, że go nie ma – zaczęłam bronić dziewczynki. – Przecież to jeszcze dziecko.

– Dziecko? – oburzyła się Lena. – Słyszałam w słuchawce oddech jej matki. Wszystko jej podpowiada! Że niby nie będę się z tobą witać, daj tatę!

Raz jeszcze zadzwonił telefon. Lena dosłownie ryknęła:

– Słucham!

Zmieniła się na twarzy, w jej oczach błysnęły łzy. Posłusznie kiwała głową, ale potem znowu wrzasnęła:

– Nie zamierzam tolerować chamskich odzywek twojej córki! Kłamie, wcale na nią nie krzyczałam! Uprzejmie ją poprosiłam! I przestań się na mnie drzeć! Nie życzę sobie! – Lena rzuciła słuchawkę i rozplakała się. – Mam tego dosyć! Dosyć! Wszystko muszę sobie wywalczyć! Nawet szacunek! Pamiętasz, jak nie przywitał się ze mną w restauracji? – Jej oczy płonęły jak reflektory samochodu na nie oświetlonej, wyboistej drodze. – Jeżeli ktoś raz się tak zachował, potem już zawsze będzie na ciebie wrzeszczał i poniżał!

Już otwierałam usta, żeby jej powiedzieć, że bank chce zlicytować mój dom, kiedy znowu zadzwonił telefon.

– Odbierz – poprosiła Lena. – To pewnie on. Powiedz, że płaczę i nie chcę z nim rozmawiać. Dzwoniła Katia. Zapraszała nas na rodzinną kolację.

Lena długo wybierała sukienkę, a ja malowałam oczy przed lustrem. W końcu nie co dzień jadłam rodzinne kolacje z oligarchami.

Mama Kati, weteranka kuracji odmładzających, przywitała nas w dzinsach z wielkimi literami z kryształków Swarovskiego na pupie: RICH.

– Widziałyście siebie w ostatnim „Vogue'u”? – zapytała, marszcząc nos.

W kronice towarzyskiej Katia z Leną stały objęte na bankiecie Moët & Chandon i uśmiechały się wprost do obiektywu. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Lwice salonowe”.

– Moim zdaniem wyszłyśmy całkiem nieźle – powiedziała wesoło Lena.

– Całkiem nieźle to jest wtedy, kiedy wymieniają twoje imię i nazwisko. I zawód – zirytowała się mama Kati.

Ale Katia też była zadowolona.

– Popatrz na tę idiotkę – podsunęła mi pismo ze zdjęciem dziewczyny, do której niedawno odszedł mąż naszej przyjaciółki. Ma sukienkę Vivienne Westwood sprzed dwu sezonów. Też taką miałam.

– A potem mi ją oddała – zakończyła kwaśno mama Kati. – Wiecznie coś po niej donoszą...

Zerknęłam na jej dzinsy za sześćset dolarów i słowa współczucia jakoś utknęły mi w gardle.

Z dużym zainteresowaniem przeglądałyśmy kronikę towarzyską w ostatnim numerze „Vogue”.

– Patrz, Rustam z jakąś nową panną – skomentowała Lena, wyszukując na zdjęciach znajome twarze.

– Skąd Kurbatska ma takie futro? – Katia tak nachyliła się nad fotografią, że miałam ochotę podać jej lupe.

– Marusia jej uszyła. Patrzcie, cycki Uljany wylewają się z kadru! – Lena zachichotała. – Wyobrażacie sobie, taka reklama: otwierasz pismo, a ze zdjęcia wylewa ci się na kolana biust Uljany!

Kolacja z oligarchą Kati udała się nad podziw. Zachwycaliśmy się jego żelazną logiką, dowcipem i świetnymi manierami. Tylko raz zrobiło się niebezpiecznie, oczywiście dzięki

mamie Kati.

– A jak tam twoja dziewczyna? Ta eks? – zapytała, naiwnie trzepocąc rzęsami i wskazując telewizor. W reklamówce jakiegoś rosyjskiego mydła grała aktorka, przez którą wiele lat temu zawaliło się życie osobiste Kati.

– Zawsze miałem tylko jedną dziewczynę – Katię – uśmiechnął się szeroko oligarcha.

Pomyślałam, że oligarchowie faktycznie czują się lepiej z aktorkami i innymi gwiazdami: aktorki mają tak samo jak oni zawyżoną samoocenę i żeby im zaimponować, taki oligarcha musi się ostro postarać. Nie to, co z nami – zwykłymi dziewczynami z podmoskiewskiej wsi przy szosie rublowsko-uspienskiej.

Katia patrzyła na swoją mamę i podliczała, ile może kosztować klub rodziców. Faktycznie, kapitalny projekt. Żeby tylko nie wyszedł z tego dom starców.

– Wiesz – powiedziała Lena przez telefon, kiedy dzwoniłyśmy się, żeby obgadać kolację u Kati – moja mama też marudziła, kiedy dałam jej na urodziny kolczyki: „Śliczne! Ale gdybyś mi nie powiedziała, że są w nich diamenty, w życiu bym ich nie zauważyła!”.

– No właśnie, w końcu to nasze matki – ujęłam się za przeciwniczką małych diamentów.

– O to, to – westchnęła Lena. – Ale czasami chciałabym usłyszeć po prostu „dziękuję”.

Ktoś dzwonił już drugi raz i odkładał słuchawkę. Robiłam porządki w pokoju Maszy. Opiekunka zachorowała i musiałam zostać w domu. Układałam zabawki, zeszyty, albumy, torebki, gumki, notesiki i książki. Połowę od razu wyrzucałam do foliowego worka na śmieci. Dzieci nigdy nie potrafią same rozstać się z rzeczami.

A jak Masza rozstanie się z naszym domem?

Staralam się podejść do tej kwestii możliwie obojętnie: nie wierzyłam, że mogę stracić ten dom, to podwórze, te pokoje, ten adres. Czulałam się tak, jakby ktoś chciał pożyczyć ode mnie samochód. Na jeden dzień. Oczywiście serce się ścisza – na pewno podrapie lakier albo bandyci go okradną – ale to w końcu tylko na jeden dzień. A potem wszystko wróci na swoje miejsce.

Znowu zadzwonił telefon i znowu zaraz po moim „halo” ktoś odłożył słuchawkę.

Ciekawe, kto to?

Może Wowa Szczur?

Kiedy człowiek się boi, przestaje dbać o swój wygląd. Pocą mu się dłonie. Właściwie pragnie tylko jednego – odgrodzić się jakoś od niebezpieczeństwa. I gotów jest się odgrodzić czymkolwiek. Albo kimkolwiek. W pierwszej sekundzie. W tej sekundzie człowiek jest gotów zdradzić. Potem z chrzęstem coś w sobie przełamuje i znowu potrafi posługiwać się zdrowym rozsądkiem.

Wowa Szczur wcale mnie nie potrzebuje. Chyba że jest schizofrenikiem albo maniakałym mordercą.

Zadzwoniłam do Wadima.

– Znajdą tego Wowę czy nie? – zapytałam poirytowana. – Boję się o rodzinę kierowcy. Spalili im już samochód!

– Mam na nich haka. Dobra, sprawdzę, co się dzieje – obiecał Wadim.

– Albo cała ta banda wprowadzi im się do komisariatu! – zagroziłam.

– Powinnaś trochę odpocząć – podsumował przyjaciel mojego męża.

Boże! Nie zabieraj mi domu!

Tak jakby jakiś idiotyczny bank był Panem Bogiem.

Boże, daj mi siły, żeby to wszystko przetrzymać!

Nie, tak też nie wypada. Każdy dźwiga taki krzyż, który jest w stanie unieść. Chciałabym mieć mniej siły.

Boże, uczynj jakiś cud!

W sklepach pojawiły się letnie kolekcje. Zapachniało wiosną. Wszyscy przeszli na jakieś diety i gorliwie uprawiali sporty.

Siedziałam w kawiarni „World Class” w Żukowce i myślałam, dokąd by się wybrać. Na lewo – na basen, czy na prawo – do siłowni. Zdecydowałam, że na dobry początek kuracji odmładzającej trochę sobie popływam.

Na to samo zdecydowała się Olesia. Przycupnęła na brzegu i myślała, jak by tu namówić swojego męża na ślub cerkiewny. Miała nadzieję, że po takiej ceremonii już na pewno nie odejdzie do innej.

– Może powiem, że pop w cerkwi krzyczy, że żyjemy w grzechu? – zapytała, kiedy przepływałam obok, skupiona na rytmie wdechów i wydechów.

– Powiedz – udało mi się zmieścić słowo w jednym wydechu.

– Albo że dzieci odpokutują nasz grzech? To chyba tak działa? – wymyśliła, kiedy robiłam czwarte okrążenie.

– Nieźle! – znowu udało mi się nie wypaść z rytmu. Ale byłam już zmęczona.

– Albo znienacka kupię białą suknię za dziesięć tysięcy dolarów, przecież jej nie wyrzucimy?

– Oj, uważaj, bo jak się tylko zorientuje, że cały ten ślub ma być tylko po to, żeby nie zmarnować pieniędzy, zaraz przestanie go brać na poważnie – postanowiłam chwilę odetchnąć przed kolejnym okrążeniem.

Olesia elegancko, powoli weszła do basenu. Obróciła się na plecy i leżała, leciutko poruszając nogami.

– Kira też przychodzi tutaj popływać? – zapytałam.

– Tak – odpowiedziała Olesia, przebierając palcami w wodzie.

– A co robi w tym czasie jej pies?

– Nie wiem – Olesia spojrzała na mnie zaskoczona.

– Dobra, lecę – powiedziałam.

– I jak się pływało? – dziarsko zapytała Aleks w samochodzie.

– Super – wycedziłam przez zęby.

Katia powitała mnie z otwartymi ramionami.

– Aż się boję o tym mówić – uśmiechała się uszczęśliwiona – co za romans! I on chce mieć dzieci.

– A ja chcę jeść. Wracam z basenu.

– Coś ty! – pisnęła z podziwem. – Mnie teraz nie wolno. Wiesz, ostro próbuję zająć w ciąży. Kupiłam już całe pudło testów, ze dwadzieścia sztuk. Żeby potem nie latać co chwila do apteki.

Gospośnia Kati podała nam zapiekankę ziemniaczaną. Przy mojej Filipince nauczyłam się

doceniać prostą europejską kuchnię.

– Po seksie dziesięć minut trzymam nogi zadarte do góry – opowiadała Katia. – Iw ogóle chodzimy do łóżka tylko wtedy, kiedy lekarz nam pozwoli: robią mi USG i sprawdzają, czy jest jakaś szansa na ciążę. Oczywiście zero romantyzmu – skrzywiła się – ale myślę, że romantyzmu to mu już beze mnie wystarczyło.

Nagle opadły mnie wątpliwości, czy po tej historii z nerkami powinnam chodzić na basen.

– Nie masz czasem stu dwudziestu tysięcy? – zapytałam Katię przy deserze.

– Dolarów? – doprecyzowała. Skinęłam głową.

– Nie, nie mam.

– Szkoda.

– Szczerze mówiąc, faktycznie szkoda. Ale już niedługo wszystko będzie inaczej.

Na deser był torcik wafłowy.

Kolega z klasy Olesia zginął w katastrofie samolotu. Razem z nim rozbił się pilot. Prywatny samolot runął na ziemię dziesięć minut po starcie.

„W mieszkaniu Szpaka jest magnetofon, a u ambasadora medalion” – tłukła mi się po głowie kwestia z filmu *Iwan Wasiliewicz zmienia zawód*. Przecież kiedyś nie dowierzałam Olesiovi. Biżuterię zostawiałam w samochodzie. Dlaczego uznałam, że musi się zmienić, kiedy tylko wyjdzie z nędzy? Przecież zawsze są jakieś pieniądze, które do niego nie należą. Na razie.

Jak on to powiedział? „Teraz nie powinienem ryzykować z takimi historiami”.

Zadzwoiłam do Olesia. W słuchawce odezwała się automatyczna sekretarka.

– Oleg, bardzo ci współczuję. Dobrze przynajmniej, że z nim nie leciałeś. Cześć.

„W mieszkaniu Szpaka jest magnetofon... „

Gdybym tak mogła po prostu zamknąć się w domu! Z książkami i telewizorem! A dookoła wykopać fosę i napełnić ją wodą! Tylko żeby ktoś przynosił na śniadanie świeży kawior. Po zwodzonym moście. I marakuję. Tyle że niedługo nie będzie już dokąd przynosić. Bank zlicytuje mój dom.

* * *

Katia dostała dżipa Cayenne. A na Dzień Kobiet chciała kwiaty od Van Cliffa. Do uszu i na palec.

Lena rozstała się z narzeczonym. I przy okazji z nadzieją, że kiedykolwiek wyjdzie wreszcie za mąż. Teraz, mówiąc o jakiejś dziewczynie, z miejsca z szacunkiem zaznaczała, od ilu to lat obgadywana jest mężatką. Na przykład; „O, idzie Ola. Patrzenie, jaką ma spódnice. Jest zameżna od dziewięciu lat. Ma dwoje dzieci”. Znaczyło to, że spódnica jest ładna.

Mąż Weroniki wrócił do domu o dziewiątej rano. O siódmej rano mieli jechać na lotnisko. Lecieli do Egiptu nurkować z akwalungami. O wpół do dziewiątej Weronika kazała gospośi rozpakować walizki i wysłała dzieci z powrotem do łóżek.

Olesia dalej nie wiedziała, jak namówić męża na ślub. Ostatnio wymyśliła, że pójdzie do

szpitala, jakby miała umierać, i oświadczy, że tylko ślub może ją uzdrowić. Nawet nie chcieliśmy tego komentować.

Mąż Kiry odszedł z jakąś panną. Co dziwne, Kira nie przefarbowała Blondi na czarno. Przeżyli razem jedenaście lat. Jedenaście lat mąż Kiry znosił pokornie jej kochanków, tak jak znosił jej kolejne psy. Aż wreszcie wziął się na odwagę i zakochał w innej.

Siedziałyśmy na przeszklonej werandzie „Mario” i jadłyśmy makaron z białymi truflami (trzydzieści dolarów za gram), popijając martini z lodem w kieliszkach przypominających odwróconą figurkę baleriny.

– Można by kogoś wynająć, żeby ją lekko uszkodził – zaproponowała Kira po czwartym martini.

– Patrzcie, idzie Iskander! Podobno właśnie się rozwiódł – Olesia szybko wyciągnęła z torebki puderniczkę i poprawiła makijaż.

– Tak, ale w „Harper's Bazaar” nie było go na liście dziesięciu najponętniejszych kawalerów Moskwy – poinformowała Lena.

– Ustąpił miejsca Sorkinowi. „Któż dorówna mojej Matyyyldzie... „ – zaśpiewała Katia.

– E tam, po prostu mu nie zależy – westchnęłam. – Może się ożenić z każdą dziewczyną w tej knajpie i z każdą w tym mieście. Tyle że nie chce.

– Akurat! – prychnęła Kira.

– A pewnie! Jakby ci ktoś postawił rano pod domem kabriolet Bentleya, cały w różowych wstążkach, tobyś się oparła? Dla niego to pestka. A nawet, jakbyś się oparła, to następnego dnia kupiłby ci willę w Marbelli. I co?

Katia westchnęła marzycielsko. Po uśmiechu poznałam, że się ze mną zgadza.

– I tak ze wszystkimi – dorzuciłam. – W sumie można mu tylko współczuć. Wyobrażacie sobie, jak taki facet musi się z nami nudzić?

– Dziewczyny, chodźcie, damy nauczkę tej suce – Katia wróciła do rzeczywistości.

– Jak? – zapytała Lena.

– Warto by ją nastraszyć – powiedziała Katia.

– Można chlusnąć jej w twarz kwasem siarkowym – zaproponowała Olesia.

– Nie, wtedy od razu się domyśli, że to ja – zaproponowała Kira.

– No to niech się domyśli – Weronika zamówiła jeszcze kolejną martini. – Najważniejsze, żeby się od niego odczepiła.

– Dziewczyny – Lena nerwowo zerkała po sali – musimy się spotykać w mniejszym gronie, najwyżej po trzy naraz, bo faceci chyba się nas boją. Nawet szampana nikt nam nie przysyła.

– Powinniśmy jechać do Nowego Jorku – powiedziała Lena. – Oglądaliście *Seks w wielkim mieście*?

– No tak, ale to Nowy Jork – westchnęła Kira.

– A my mamy „Brak seksu w wielkim mieście”. Możemy kręcić serial, obsadzimy się w głównych rolach.

– A pamiętacie, piętnaście lat temu... – Olesia marzycielsko przewróciła oczami.

– Piętnaście lat temu było pełno seksu – powiedziała twardo Lena.

– Ale nie było pieniędzy – zauważyła Katia.

– Kogo mam poprosić, żeby zadzwonił i trochę ją nastraszył? – Kira zamówiła sobie tiramisu. W „Mario” mieli najlepsze tiramisu w mieście. I najlepsze towarzystwo.

– Zaraz zapytam Borysowicza.

Weronika sięgnęła po telefon, ale nie mogła go znaleźć w żadnej z kieszeni. Lena zaproponowała jej swój. Weronika zaczęła grzebać w torebce Leny.

– O! – zawołała, zatrzymując się w pół ruchu. – Coś niesamowitego, nosisz w torebce prezerwatywy... Już dawno zapomniałam, jak to jest.

– Lepiej szukaj tego telefonu – popędzała ją Kira.

– Halo! Borysowicz! Słuchaj, kochany: albo powiem Igorowi, że nie pojechałam na to spotkanie, bo byłeś pijany, albo wyświadczysz przysługę mojej przyjaciółce.

Wyjaśniła mu, o co chodzi. Poprosiła, żeby postraszył od serca, – Co jej na przykład powiesz? – zrobiła błyskawiczny test.

Po chwili skrzywiła się i odsunęła słuchawkę od ucha.

– Ale z ciebie cham, Borysowicz. Nie, nie, świetnie. Jak tylko się do niej dodzwonisz, daj mi znać.

Zamówiliśmy jeszcze po martini.

– Sprzedaję dom – powiedziałam.

– No coś ty? – zdziwiła się Weronika.

– Mam już wyżej uszu tej Rublowki – wyszło nie całkiem tak, jak planowałam, więc żeby ratować sytuację ciągnęłam kapryśnie: – Te wieczne korki! Nawet Putin się przez nie nie przebije. Poza tym dają dobrą cenę.

– Ile? – zapytała Kira.

– Trzy i pół.

– Ja bym swojego za nic nie sprzedała – powiedziała Olesia.

– Ja też – westchnęła Katia.

– A ja uważam, że to po prostu zwykła nieruchomości. I skoro dobrze płacą, sprzedam i kupię następną.

– Ale też na Rublowce – poradziła Olesia. – Przecież nie potrafiłabyś już mieszkać gdzie indziej.

Zadzwonił Borysowicz. Powiedział, że wysłuchała, nic **nie** powiedziała i odłożyła słuchawkę.

– E, dobrze jest. Teraz się może zastanowi, jak to fajnie odbijać cudzych mężów – warknęła Kira.

– Idiotka! – powiedziała Olesia i wybuchnęła śmiechem.

Ciekawe, czy jutro rano też będzie jej tak wesoło.

Zadzwoił telefon Leny.

– To mój – powiedziała, spoglądając na wyświetlacz. – Może nie odbierać? Niech spada... Niech sobie dzwoni do żony.

Rozmawiała, dumnie zadzierając głowę:

– Halo... Oczywiście, że nie ma mnie w domu... Pilnie wezwano mnie na operację... Zostałam chirurgiem, nie wiedziałeś?

W drzwiach wpadłam na Olesia. Wchodził w wianuszkach ochroniarzy, jak księżę na czele drużyny.

– Noooo, co za przystojniak – syknęłam złośliwie.

– Kto to jest? – zapytała Katia.

– Facet ma chyba kompanię niklową albo fabrykę na Uralu czy coś. W każdym razie jakiś grubszy interes – powiedziałam.

Oleś uśmiechnął się do mnie jak do starej znajomej.

W odpowiedzi wdzięcznie do niego pomachałam.

– Sprzedajemy dom – oświadczyłam Maszy przy kolacji.

– Dlaczego? – zdumiona podniosła na mnie wzrok.

– Tak wyszło.

– Hura! – zawołała i aż podrzuciła serwetkę.

– Czemu się tak cieszysz? – tym razem to ja byłam zdumiona.

– Bo to znaczy, że się stąd wyprowadzimy i nie będę musiała codziennie jeździć do szkoły z Nikitą.

– Nie wiedziałam, że tak ci to przeszkadza. Masza zmieniła temat.

– Nasza pani zawsze mówi, że jak się zdarzy coś złego, trzeba w tym znaleźć jakieś dobre strony – popatrzyła na mnie uważnie.

– Dlaczego myślisz, że stało się coś złego? Po prostu sprzedajemy dom.

Nałożyłam sobie jeszcze sałaty ze świeżej kapusty i zaproponowałam córce dokładkę. Odmówiła.

– Bo masz takie smutne oczy – Masza była jeszcze mała i nie umiała jednocześnie jeść i rozmawiać o poważnych sprawach. Nawet nie tknęła kolacji.

– Ale nic się nie martw – szepnęła – wszystko będzie dobrze. Prosiłam już Dziadka Mroza. Nie chcę tego prawdziwego porcelanowego serwisu dla lalek, tylko żeby wszystko było dobrze. I żebyśmy wszyscy byli zdrowi.

Jakiego serwisu? Dziadek Mróz przyniósł jej nowy magnetofon. Zdawało mi się, że taki właśnie chciała.

– Nic mi nie mówiłaś – mruknęłam, bo jakoś nie mieściło mi się w głowie, że Dziadek Mróz mógł jej nie przynieść serwisu, o który prosiła.

– Widziałam w „Winnie”. Ale od razu zabroniłam sobie o nim myśleć. Wiedziałam, o co poproszę Dziadka Mroza.

– Chcesz, podaruję ci ten serwis na Dzień Kobiet?

Oczy Maszy zablęły.

– Pełny czy tylko do herbaty? Udawałam, że się namyślałam.

– No dobra, pełny.

– Hura! – krzyknęła znowu Masza. – A widzisz, mówiłam, że wszystko będzie dobrze! Tam jest nawet prawdziwa lampa stołowa – przypomniała sobie. – O, taka tycia!

– I nie tylko lampa – uśmiechnęłam się. – Ten serwis na pewno jest super.

Wyprawiłam Maszę do szkoły. Przez wielkie okno salonu wpadały promienie słońca. Był pierwszy dzień wiosny.

Jest coś dziwnego w tym, że ludzie z jednakowym entuzjazmem witają pierwszy śnieg i pierwszy dzień wiosny. Pewnie cieszą się, że ich życie nie stoi w miejscu. Chociaż wszyscy wiedzą, ku czemu ostatecznie zmierza.

Włączyłam rap. Przez duże kolumny, na fuli.

Hej, Filipinko, gdzie się znowu schowałaś?

Tańczyłam z promieniami słońca, potem ze swoim odbiciem w oknach, później z perkusją, a na koniec z głosem wokalisty. I wreszcie całkiem sama. Nie potrzebowałam partnera.

Czułam się absolutnie wolna. Byłam sama w wielkim, pustym domu. Mogłam skakać po kanapach. I skakałam.

Mogłam ściągnąć bluzkę i tańczyć topless.

Nie, gdzieś są jednak granice... Bzdura! Ściągnęłam koszulkę i wymachując nią, wyobraziłam sobie, że jestem popgwiazdą szalejącą na scenie.

Thank you very much, moja droga Filipinko, za to cudowne, upojne poczucie, że nikt na mnie nie patrzy, nie kręci mi się pod nogami, nie rozstawia wszędzie misek i nie dręczy przepisami na naleśniki!

Ściszyłam muzykę i poszłam wziąć kąpiel.

Sekretarka wyświetliła trzy nie odebrane telefony. Wszystkie od mojego lekarza.

– Od rana usiłuję się do pani dodzwonić...

– Słuchałam głośnej muzyki...

– Musimy panią hospitalizować. Oczywiście kryzys minął, ale trzeba przejść pełną rehabilitację w klinice. Inaczej różnie się to może skończyć.

– Dziękuję – powiedziałam.

Wiosną łatwiej jakoś podejmować decyzje. Pewnie dlatego, że jest jasno. A kiedy jest jasno, człowiek się nie boi.

Leżąc w wannie, można sobie patrzeć na drzewa. Boże, chcę tutaj zostać!

Ten Wowa nie powinien chodzić po ziemi. Nie powinien patrzeć na drzewa. Drzewa są dla wybranych. Nienawidzę go.

Nienawidzę, jak dzwoni telefon, kiedy akurat jestem w wannie. Weronika. Igor zrobił jej dziką awanturę. Zadzwoił do niego mąż Kiry.

– Wyobrażasz sobie – chlupała Weronika – ta idiotka Olesia opowiedziała wszystko mężowi. Widzisz, powiedziała, jaka jestem wspaniała, wszystko dla ciebie znoszę. A niektóre wynajmują bandytów i chcą oblewać kwasem siarkowym...

– A on zaraz zadzwonił do męża Kiry – domyśliłam się. – Co, męska solidarność?

– No. A mąż Kiry do Igora. Igor był wściekły. Ale nie podkabluję Borysowicza, jeszcze mi się przyda.

– Faktycznie idiotka – stwierdziłam. „Aleks – pomyślałam – Aleks może zabić Wowę. Tak jej coś z twarzy patrzy. Za pieniądze”.

Albo brat mojego kierowcy. Tego łatwo kupić. Nie, potem będzie mnie szantażował.

Aleks ma „osę”. Sama jej kupiłam. Z trzech metrów przebija człowieka na wylot. Można zainscenizować sytuację z obroną konieczną.

Umyłam głowę i doszłam do wniosku, że Aleks nikogo nie zabije.

No proszę, jaką ważną rolę w moim życiu odgrywał Oleś. Teraz bez niego czuję się jak bez ręki.

– Słuchaj, a gdybym na przykład chciała kogoś zabić, jak się do tego zabrać? – zapytałam Katię, kiedy zadzwoniła do mnie, żeby pogadać o głupocie Olesi.

– Najpierw idź do psychiatry – poradziła Katia. – Ta historia z Olesia tak cię wzięła?

– Nie. Wkurza mnie amerykański prezydent – Boże, co ja mówię?

– Aha... – Katia chwilę milczała. – Szczerze mówiąc, mnie też.

Nadal nie mogła zająć w ciążę. Zdecydowała się na zapłodnienie in vitro.

– To będzie jakiś koszmar – mówiła. – Co drugi dzień wizyty u lekarza (mam Torganową, podobno jest najlepsza), codziennie zastrzyki w brzuch, poza tym mnóstwo w pupę, dopóki coś tam się nie zrobi z ciałkiem żółtym. Chciałam już nawet wziąć matkę zastępczą – westchnęła – bo co się będę męczyć. Wiesz, jest spora podaż – za jedyne dziesięć tysięcy dolarów, wynajmujesz mieszkanie, dajesz ochroniarza, przywozisz owoce i książki. I muzykę poważną. Fajnie, nie? Ale on się nie zgadza. Za nic. Mówi, że nie chce, żeby nasze dziecko dostało geny jakiejś tam anonimowej kołchoźnicy. Chociaż dawno już udowodniono, że przez krew matki nic nie przechodzi. Ale spróbuj mu to wytłumaczyć.

Katia znowu westchnęła.

– No dobra – próbowałam ją pocieszyć – za to będziesz chodziła ze ślicznym brzuszkiem. A w brzuszku będzie dziecko. Chcesz chłopca czy dziewczynkę?

– Nie wiem. Raczej dziewczynkę. Kupię jej śliczne ubranka.

– Chłopcykowi też możesz. A on co woli?

– Wszystko mu jedno. Po prostu chce mieć dziecko. Wyobrażasz sobie, zgodził się nawet na badanie spermy!

– To znaczy jak?

– Ale miałam ubaw! Przyjechaliśmy do kliniki, pełno kobiet, jakieś ciężarne w kolejce, na ścianach zdjęcia dzieciaków. Niby obiecałam mu pełną dyskrecję, ale wiesz, oczywiście zabrał

ochroniarzy, więc wszyscy zaczęli się gapić. A ja mu daję kluczyk i pokazuję drzwi: no to hop! Myślałam, że będzie wściekły. Ale nie, tylko się uśmiechnął i pociągnął mnie za sobą. Pokoik taki dwa na dwa i „Playboy” na taborecie. A potem wychodzisz stamtąd z probówką i znowu wszyscy się gapią. Zero intymności!

– No i co?

– Czekamy na wyniki. Sporo zależy od ruchliwości plemników.

Pojechałam do „Winnie”. Kompletny porcelanowy serwis dla Barbie kosztował niewiele mniej niż mój prawdziwy miśnieński.

Obejrzałam dwucentymetrowe lampy stołowe. Z jedwabnym abażurem, kablem i wtyczką. Kupiłam.

Utrzymanie Barbie jest kosztowniejsze niż utrzymanie dziecka.

Na stoisku z rzeczami dla noworodków kupiłam kilka par śpioszków i kaftanik dla Sierioży.

Mam nadzieję, że Świetlana trochę przystopuje. I przestanie opowiadać o swoich wielkich planach. Wszyscy jakoś tylko gadają, a biedne dziecko aż czkawki dostawało od płaczu.

Świetlana powiedziała, że chce się przenieść do rodziców Serża. Poprosiła, żebym pomogła jej przy przeprowadzce.

Jasne, że jej pomogę.

Niedługo minie rok od śmierci Serża. Zbiorą się wszyscy znajomi. Będziemy siedziały ze Świetlaną po bokach jego rodziców. A dalej nasze dzieci. Lepiej w ogóle nie iść. Albo... Zaproszę wszystkich do restauracji, tylko bez Świetlany.

Świekra była radośnie podekscytowana. Szykowali się na przyjazd wnuka.

Patrzyłam na te gorączkowe przygotowania, na ich szczęśliwe twarze i myślałam, że wszystkie moje zastrzeżenia do Świetlany to zwykła babska zazdrość. I że Sierioża powinien był się urodzić choćby tylko po to, żeby znowu odżyli ci przybici, zapłakani staruszkowie.

– Widzisz, co to się u nas dzieje – powiedziała mama Serża tonem usprawiedliwienia.

Skinęłam głową.

– Tak... Powinna wyjść za mąż... Jest taka młodziutka.

Popatrzyłam na świekrę ze zdumieniem. Odpowiedziała mi mądrym spojrzeniem siedemdziesięcioletniej kobiety.

– A my się zajmiemy Sieriożką. Naszym wnuczkiem – nie potrafiła ukryć szczęśliwego uśmiechu. – A właśnie, kupiliśmy Maszy lalkę na Dzień Kobiet. Daj jej od nas.

Gdyby nie kupili, też bym nie miała pretensji. Szczęście zwalnia ludzi z obowiązków.

– Kiedy tylko wymyślę, jak Maszy o tym wszystkim powiedzieć... o Sieriożce... przywiozę ją tutaj.

Świekra czule uśmiechnęła się do mnie na pożegnanie.

„Chyba powinnam zadzwonić do sąsiada adwokata – pomyślałam. – Ktoś musi mnie reprezentować w tej historii z bankiem”.

Jechałam do hotelu „Bałczug”. Na kolację z Wanieczką. Cieszyłam się, że go spotkam.

Nasza przyjaźń, poddana okrutnej próbie pod tytułem „fatalny seks”, przetrwała z godnością.

Wanieczka obsypał mnie komplementami. Uśmiechałam się tajemniczo.

– Potrafiłbyś zabić człowieka? – zapytałam, stawiając przed sobą wielki talerz wszystkich jak leci sałatek ze szwedzkiego stołu.

Dziwne, że w tej restauracji jest zawsze tak mało ludzi. A mają tu znakomitą kuchnię i śmiesznie niskie ceny.

– Nie – przed Wanieczką leżał gotowany brokuł. Wanieczka już kilka minut posypywał go różnymi przyprawami, jakby użyźniał glebę. Jakby chciał, żeby brokuł urósł mu na talerzu. Albo przynajmniej zakwitł. – Jestem na to zbyt dobrze wychowany. Za to ty, tak mi się coś zdaje, byłabyś zdolna do wszystkiego.

Uniosłam brew w żartobliwej złości.

– Masz na myśli ten prysznic w męskiej szatni?

– To też – uśmiechnął się fałszywie. Rzuciłam w niego serwetką.

W ten sposób wyjaśniliśmy sobie sytuację. I wszystko wróciło na swoje miejsce.

– Mam jutro urodziny. Robię małe party dla przyjaciół. Przyjedziesz?

– Przyjadę. Dzięki – uprzejmie pochyliłam głowę.

W drzwiach stanęła Wika. Zobaczyła mnie i podeszła z szerokim uśmiechem, wyraźnie adresowanym do Wanieczki.

– Jesteś sama? – zapytałam zdumiona nieobecnością jej trenera pływackiego.

– Nie, czemu zaraz sama... – odpowiedziała tajemniczo.

Przedstawiłam jej Wanieczkę. Wanieczka potrafił robić dobre wrażenie. Wika uśmiechała się kokieteryjnie, sypiąc banałami o Londynie i angielskich projektantach.

W końcu pożegnała się, wyszła i po chwili zadzwoniła na moją komórkę.

– Tylko mu nie mów, że to ja – poprosiła. – Słuchaj, wynajęliśmy z dziewczynami pokój, taki z rozsuwanymi drzwiami, może wpadniesz?

– I co jest w tym pokoju? – zapytałam zaintrygowana.

Wika zachichotała:

– Nie co, tylko kto. Chłopcy! Najlepsi z najlepszych! Śliczni, nie będziesz żałować! Najstarszy ma dwadzieścia dwa lata. Spokojnie, Murzynów nie brałyśmy.

Nie wiem, dlaczego uznała, że jestem rasistką.

– Dzięki, może wpadnę... – powiedziałam niezdecydowanie i uśmiechnęłam się do Wanieczki: – Koleżanka zaprasza mnie w gości. Na herbatę.

– To zamówmy jeszcze na wszelki wypadek coś słodkiego. Bo potem wiesz, jak jest: gość w dom, Bóg w dom, cukiernica do kredensu – mówił z trudem, widać serwował mi całkiem świeży nabytek.

– Słuchaj, ile ty jeszcze znasz tych powiedzonek?

– Cały tom. Kiedy jestem w Moskwie, zawsze czytam go sobie na dobranoc. I uczę się wszystkich, które mi się spodobają.

Nie skorzystałam z zaproszenia Wiki. Chociaż oczywiście byłam ciekawa, co dziewczyny tym razem wymyślą.

Wyobraziłam sobie kreski kokainy na przyniesionym z łazienki lustrze, albo po prostu na blacie stolika, i nagich, opalonych chłopców, którzy nie wiedząc czemu tańczą kankana na łóżku. Albo, jeszcze lepiej, robią jaskółki.

Usiadłam za kierownicą samochodu i poczułam się jak ostatnia, beznadziejna nudziara.

„Na dodatek pora się wydepilować”.

Zdecydowanie nacisnęłam na gaz. W oczach stały mi orgiastyczne sceny z jakiegoś filmu o Imperium Rzymskim.

Ciekawe, ile ta Wika ma lat?

„Pewnie jest po czterdziestce – pomyślałam z szacunkiem. – Muszę powiedzieć Lenie”.

Szkoła zaprosiła mnie na zebranie. Stara nauczycielka rozdelała rodzicom prace na rzecz szkoły. Dostałam do wyboru mycie okien albo kupno pomocy dydaktycznych.

W pierwszej chwili miałam ochotę wleźć na parapet, włożyć na głowę chustkę i złapać za szmatę.

Wyszorować wszystkie okna w klasie i opalić się na wiosennym słończku. Ale w końcu zobowiązałam się do zrobienia zakupów. Wyślę Aleks.

– A teraz przedstawię państwu postępy w nauce waszych dzieci w drugim półroczu.

Nauczycielka wzięła do ręki dziennik. Przypomniałam sobie, że uczy dzieci, jak znajdować pozytywne strony nawet w najgorszych sytuacjach, i przyjrzałam jej się uważniej.

– Generalnie jest nieźle – podsumowała i zatrasnęła dziennik.

„Pewnie Masza mówiła o pani od wuefu” – pomyślałam i postanowiłam w przyszłym roku przenieść córkę do British School.

Przed zebraniem przełączyłam komórkę na alarm wibracyjny. Teraz poczułam, jak trzepoce mi się w kieszeni.

Numer nieznan.

Nauczycielka dyktowała listę wierszy, których dzieci miały się nauczyć na pamięć w przerwie świątecznej.

– Halo – powiedziałam stłumionym głosem. I zanotowałam: „Lermontow, Borodino”.

Dziwne – zdawało mi się, że kiedyś uczyliśmy się tego w czwartej klasie.

Poznałam głos mojego byłego dyrektora.

– Nie przeszkadzam? – zapytał Siergiej.

– Nie.

Nie wiedząc po co jeszcze raz napisałam: „Borodino”.

– Proszono mnie, żebym przekazał pani propozycję firmy...

– Słucham.

Powiedziałam to zbyt głośno. Nauczycielka rzuciła mi spojrzenie sponad okularów i powolutku powtórzyła: „Puszkina, Jeździec miedziany... „

– Może wolałaby się pani spotkać... Posłałam nauczycielce wdzięczny uśmiech i starannie zanotowałam kolejny tytuł.

– W porządku – Siergiej swoim starym zwyczajem mówił bardzo szybko. – Jesteśmy gotowi odkupić markę pani firmy. Jest znana i rozpoznawalna. Zaoszczędzimy sobie pracy. Wchodzenia na rynek od zera. Proponujemy sto tysięcy. Za maślankę.

– Trzysta – powiedziałam, starając się nie poruszać wargami, bo nauczycielka właśnie wbiła we mnie wzrok.

„Borodino”, napisałam po raz trzeci i jakaś mama, siedząca obok w ławce, zerknęła na mnie nieufnie.

– Sądzę, że wszystkie szczegóły może pani omówić z moim kierownictwem. Jestem upoważniony jedynie do przekazania propozycji i otrzymania jednoznacznej odpowiedzi. – Ciekawe, dlaczego kazali zadzwonić akurat Siergiejowi? Może powiedział, że się znamy i że ma na mnie wpływ? Pewnie coś w tym rodzaju.

Podniosłam rękę i o mało nie wypaliłam „czy mogę wyjść?”

W szkole zawsze czułam się jak mała dziewczynka.

Z przepaszającym uśmiechem zamknęłam za sobą drzwi.

Na szkolnym podwórzu Masza bawiła się z koleżankami.

Chwyliłam ją na rękę i zaczęłam wirować. Masza wesoło chichotała.

– Masza – powiedziałam zdyszana – twój Dziadek Mróz zadziałał. Wszystko zaczyna iść jak należy. Nie sprzedajemy domu. W ogóle nic nie sprzedajemy. Będziemy wyłącznie kupować!

Masza podskakiwała na jednej nodze, a ja uśmiechałam się do niej, do słońca i do życia. Proszę bardzo, wreszcie wiem, co to znaczy „oddychać pełną piersią”. Chociaż we współczesnym świecie powinno się raczej mówić: „Była tak szczęśliwa, że nawet implant numer 4 zaczął tłoczyć powietrze”.

Wiosna kapała nam na głowy z dachów domów, a nowe ciuchy na wystawach przypominały, że pora już na zmiany w garderobie.

Razem z Katią, Leną i z Aleks za kierownicą pojechaliśmy polować na wiosennoletnie kolekcje.

W sklepach panowało przedświąteczne ożywienie.

Wszystkie sensowne rozmiary Bluemarin w „Italmodzie” wykupiono już pod koniec lutego. Lena przymilnie zaglądała w oczy sprzedawcom i błagała, żeby przynieśli jej coś z zaplecza. Najlepsze rzeczy sprzedawcy chomikowali dla „swoich” klientów.

Złapałam kilka kwiecistych bluzek i zerkałam w stronę dzinsów.

Katia mierzyła kurteczkę od Valentino.

Nie szłam do przymierzalni, bo miałam nadzieję, że Katia zrezygnuje z kurtki, a wtedy będę musiała dopaść jej pierwsza.

– I jak myślisz? – zapytała Katia, kręcąc się przed lustrem.

– No, niezła... – powiedziałam bez entuzjazmu. Za to szczerze.

– Biorę – postanowiła Katia. Zapłaciłyśmy za zakupy kartą dyskontową Kati.

Z dwudziestopięcioprocentowym upustem. Wszystko dzięki właścicielce „Italmody”. Jeżeli zdarzają się na świecie subtelne rekiny, to – zdaniem Kati – właśnie na takiego trafiłyśmy.

Potem pojechałyśmy do domu towarowego „Moskwa”.

Lena mierzyła już dziesiątą parę pantofli Chanel, a my z Katią studiowałyśmy torebki.

– Właśnie przyszły nowe spinki – kusila sprzedawczyni. – I kosmetyki z kolekcji Cruise.

Bardzo ciekawe.

Katia przymierzyła ciemne okulary i odwróciła się do mnie.

– W porządku – pochwaliłam. Ten model zazwyczaj mi nie leżał.

– Wiesz, te jego plemniki ani drgną.

Katia, nie zdejmując okularów, spacerowała między torebkami.

– Czyli co? – nie rozumiałam.

– To znaczy, że jest bezpłodny.

– O cholera!

Katia położyła palec na ustach i rozumiałam, że Lena jeszcze o niczym nie wie.

– I co teraz zrobicie? – wzięłam z półki czarną sznurowaną torebkę, raczej żeby zająć czymś ręce.

– Jeżeli nie będziemy mieli dzieci, on mnie rzuci – powiedziała gorzko Katia i zdjęła okulary. – Znowu.

– Będą pasowały do mojej Dolce&Gabbana? – Lena przybiegła w wystrzałowych sandałach w groszek, na wysokim obcasie. „Lagerfeld zwariował” – nazwałam w duchu ten model.

– Śliczne – uśmiechnęła się uprzejmie Katia.

– Szczerze mówiąc, tamte są ładniejsze – wskazałam czarne pantofle z długimi paskami.

– Można to leczyć? – zapytałam, kiedy Lena odeszła.

– Można. Całe życie – Katia westchnęła. – Wezmę tę torebkę.

Położyła torebkę na ladzie. Zadowolona sprzedawczyni skinęła głową.

– No i co teraz zrobisz?

Pobiegłam na drugi koniec sali, gdzie udało mi się wypatrzeć klapki z letniej kolekcji Cruise.

– Urodzę – odpowiedziała Katia, kiedy wróciłam.

– Jak?

– Jest coś takiego jak bank spermy. Już z nimi rozmawiałam. On nigdy się o niczym nie dowie.

Zamyśliłam się i pokiwałam głową: akurat, „nigdy”.

– Obejrzymy Gucciego? – zapytała wesoło Lena.

– Wszystko, tylko nie Gucci – warknęła Katia. Przyznałam jej rację.

Zapłaciłyśmy dwadzieścia tysięcy za całe nasze zakupy i pojechałyśmy na obiad do „Willi”.

Patrzyłam na Katię i myślałam, że powinnam jej powiedzieć coś miłego. Ale nie wiedziałam

co. Nie było jej łatwo podjąć taką decyzję. Podjęła ją dla rodziny. Dla siebie. Dla niego. Usiłowałam postawić się na jego miejscu. Co bym wolała: nie mieć dziecka w ogóle, czy mieć i nigdy się nie dowiedzieć, że to cudze? I co to znaczy „cudze”? A jeśli je wychowam? Jeśli będę gotowa wszystko za nie oddać? Jeżeli poświęcę mu całe moje życie?

Ciekawe, czy potrafiłabym postąpić tak jak Katia...

Żeby ją zrozumieć, trzeba by się zakochać w kimś, kto nie może mieć dzieci. Mam nadzieję, że mi się to nie przytrafi. W każdym razie jak dotąd było raczej odwrotnie.

Opowiedziałam dziewczynom o Swietłanie.

– Przedstawiłam ją rodzicom Serża – westchnęłam.

– Po co? – zdumiała się Lena.

Zamówiliśmy ravioli. Kelnerzy w tej restauracji chodzili w ubraniach od Armaniego. Przynajmniej to usprawiedliwiało kosmiczne ceny.

– Są tacy szczęśliwi... Zostali całkiem sami, a tu nagle – wnuk. – Rozłożyłam ręce. – Po prostu odżyli.

– A ta Swietłana? – zapytała Katia.

– Najpierw urodziła, a potem zaczęła myśleć. Ale w sumie mi jej szkoda.

– Szkoda? – skrzywiła się Katia.

– To całkiem sympatyczna dziewczyna. Teraz przeprowadza się do rodziców Serża.

Nie przekonywałam moich przyjaciółek. Przekonywałam samą siebie.

– Sympatyczna? – zirytowała się Lena. – A ty na jej miejscu poleciałabyś do żony swojego kochanka? Prosiłabyś o pieniądze?

Lena prawie krzyczała.

– Pewnie, że nie! – odpowiedziała za mnie Katia. – Poszłabyś sprzątać biura albo w ogóle coś byś wymyśliła.

Pokiwałam głową.

– Nie mówiłam wam jeszcze, że kupuję jej mieszkanie. Zapłaciła już pierwszą ratę.

– Po co? – Lena spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– Sama nie wiem.

– No to się dziewczyna nieźle urządziła. Mówisz, że zamieszka u rodziców Serża... Zdaje się, że mają w tej swojej kamienicy basen i siłownię? To teraz dojdzie im jeszcze panna do towarzystwa... – zauważyła ironicznie Katia i dorzuciła, że nie chce deseru.

Zamówiłam ananasa.

– A jeśli naprawdę była zakochana? I zaszła w ciążę? I potem on zginął... A przecież marzyli o dziecku...

„To mogła pójść i się powiesić” – miałam ochotę dodać, ale dałam sobie spokój.

Lubię tę „Willę”. Skoro kelnerzy ubierają się u Armaniego, klienci powinni przychodzić w porwanych dzinsach. A tu nic. Wszyscy starają się prześcignąć kelnerów elegancją. Bez skutku.

Pojechałam do „Brioni” w „Słowiańskiej”, wybrać prezent urodzinowy dla Wanieczki.

Znalazłam całkiem fajne pidżamy po tysiąc dwieście dolarów USA. Zaimponować Anglikowi rosyjskim gestem? Nie doceni.

– Macie może breloczki? – zapytałam, ale sprzedawczyni nawet nie raczyła odpowiedzieć. Pewnie myślała, że żartuję.

W sąsiednim kiosku sprzedawano – poza gazetami – matrioski. Chyba podarowałam mu już matrioszkę jakieś dziesięć lat temu.

– Nie ma pani ładnego wydania rosyjskich przysłów i powiedzonek?

– Niestety nie. Sporo ludzi o to pyta.

Sporo? Hm, może wobec tego wydam taką książkę? A potem będzie mi głupio, kiedy się okaże, że sprzedawczyni po prostu chciała być miła.

Zjadłam porcję „unagi” i popiłam „panasze”, czyli mieszanką piwa i sprite'a. Świetnie gasi pragnienie.

W „Słowiańskiej” była najmodniejsza japońska restauracja. Jej właściciel (o nieprzyzwoitym nazwisku) otworzył drugą taką w Londynie. Próbowałam doszukać się związku między dwiema restauracjami, Wanieczką i jakimś japońskim gadżetem, który by się nadał na prezent. Nic z tego.

Ostatecznie postanowiłam podarować Wanieczce Świetlanę. Powinna mu się spodobać, Serżowi się podobała. A to znaczy, że jesteśmy w jednym typie, chociaż nie widzę żadnych podobieństw między nami.

– Masz z kim zostawić dziecko? – zadzwoniłam do niej, dopijając „panasze”.

Z mamą. Ciśnienie mamy wróciło do normy, więc znowu mieszkały razem.

– Świetnie. Przyjadę po ciebie za pół godziny. Ubierz się jakoś sensownie.

Ciekawe, dlaczego zawsze mnie słucha? Dlatego, że daję jej pieniądze? Że byłam żoną Serża? Czy po prostu dlatego, że ja to ja? W końcu nie ona jedna wykonuje moje rozkazy.

Wanieczka wynajmował niewielki pokój z ogromnym balkonem i barkiem na siódmym piętrze hotelu „Bałzug”. Z balkonu otwierał się niesamowity widok na rzekę Moskwę, nic więc dziwnego, że goście przesiadywali głównie na balkonie. Kelnerzy sprawnie roznosili mocne drinki, więc nikt nie bał się, że zamarnie.

Stolik z zakąskami stał pod ścianą. Koło barku zostało jeszcze miejsce, żeby potańczyć.

W hotelu mieszkali głównie obcokrajowcy pracujący w Moskwie. Wielu z nich przyszło z rosyjskimi dziewczynami.

Nałożyłam na talerz trochę lekkich sałatek i poszłam na balkon szukać solenizanta.

– Nie wolno mi wychodzić – szepnęła Świetlana. – Mogę przeziębici piersi i stracić mleko.

Wanieczka nie był specjalnie zaskoczony prezentem.

– To prostytutka? – zapytał mnie na ucho.

– Nie, przyzwoita dziewczyna – powiedziałam.

– Dziwne, w Moskwie zawsze dostawałem w prezencie prostytutki.

– Jaki pan, taki kram – wyrecytowałam dumnie. Nie na darmo poczytałam sobie przed

zaśnięciem *Wielką księgę przysłów*.

– Jak jak? – ożywił się Wanieczka.

Ale zostawiłam go ze Świetlaną i wyszłam na świeże powietrze.

Postanowiłam, że też kiedyś urządzę urodziny w tym pokoju. Tylko zapalę jeszcze więcej świec. I postawię skrzypka koło barku. I dam więcej czarnego kawioru. Zaproszę kilka gwiazd z telewizji, niech się snują między gośćmi, bo bez tego to żadna impreza, aż nieprzyzwoicie; no i naturalnie VIPy (ochrona zostaje za drzwiami); dalej moje przyjaciółki, z których połowa ze sobą nie rozmawia... W porządku, wystarczy. Nagle straciłam zainteresowanie tym całym pomysłem.

Wanieczka zapytał, czy powinien odwiedzić Świetlane.

– Tylko jeśli będziesz miał ochotę.

Cmoknęłam go w policzek i pojechałam do domu, zostawiając go sam na sam z kwestią Świetlany.

To był bardzo miły wieczór.

Wreszcie zrozumiałam, dlaczego Świetlana mnie słucha. Dlatego, że w przeciwnym razie przestałabym się z nią spotykać. Traktowałabym ją jak rywalkę. Poza tym wiedziałam już, czemu jej pomagam. Bo chcę pokazać Serżowi, że jestem ponad to wszystko. I ona mi tego nie daruje.

Ranek był pochmurny. Ale po ciemnej zimie wydało mi się to całkiem naturalne.

Samochód był tak brudny, jakby ktoś specjalnie ochlapał go błotem, na przykład do zdjęć w jakimś thrillerze w rodzaju „Rajd po bezdrożach”.

Postanowiłam na początek skoczyć do myjni.

Moskwa jak zwykle pracowała tak, jakby chciała natychmiast zapracować wszystkie pieniądze świata. W myjniach stały długie kolejki. A na szosach korki.

Kiedy wreszcie dotarłam do Świetlany, zapomniałam już, po co właściwie miałyśmy się spotkać.

Przeprowadzała się do rodziców Serża. Obiecałam jej pomoc.

Miała dwie torby własnych rzeczy i pięć z drobiazgami Sierioży. Każda z toreb Sierioży była dwukrotnie większa niż jej.

Biegała po mieszkaniu, dopakowując jakieś kremy i wazoniki.

– Do niczego ci to niepotrzebne – powiedziałam, widząc, jak gapi się na wielki zegar ścienny.

Mieszkanie wyglądało jak pokój hotelowy, z którego delikwent wyprowadza się o szóstej rano. A wrócił do niego o czwartej i nie zdążył się jeszcze spakować.

Dziecko spało w swoim łóżeczku.

Musiałśmy zaczekać, aż się obudzi.

Świetlana zaczęła znosić rzeczy do samochodu. Łaziłam bezmyślnie po pokoju. Okropnie chciało mi się spać.

– Wanieczka odwiózł cię wczoraj? – zapytałam, kiedy Świetlana wróciła po kolejne torby.

– Tak – odpowiedziała, jakby ta sprawa w ogóle mnie nie dotyczyła.

Miałam ochotę wrzasnąć, że parę lat temu rzuciłam tego faceta. Więc żeby nie zadzierała nosa. Ale dałam sobie spokój.

Nagle mój wzrok padł na leżący na półce album z fotografiami. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Tam jest Serż. Na pewno. I sceny z innego, ukrywanego przede mną życia.

Usłyszałam, jak drzwi zatraskują się za Świetlaną.

Włożyłam album do nowej torebki i starannie zapięłam zamek błyskawiczny.

Sieriożka zamieszkał w pokoju Serża. A Świetlana w gabinecie.

Przytulne mieszkanie z ciemnymi zasłonami nappełniło się nocnikami i mnóstwem kolorowych zabawek. Nie pasowały do wnętrza, ale nikt się tym nie przejmował. Wręcz odwrotnie, wszyscy wyglądali na wzruszonych.

Chciałam ostrzec przed czymś świekrę, ale sama nie wiedziałam, przed czym. Przecież nie będzie chowała emerytury przed Świetlaną.

W samochodzie moja ręka z miejsca powędrowała w stronę torebki.

Ale zdecydowałam, że zdjęcia obejrzę dopiero w domu. Chciałam to zrobić dokładnie i bez pośpiechu.

Jak kat własnych uczuć zamierzałam powolutku, pedantycznie zbadać każdy szczegół, każdy uśmiech. Wyruję je w swojej pamięci, w świadomości, w koszmarnych snach. Bardzo wyrafinowana tortura.

Nacisnęłam pedał gazu i na Kutuzowskiej zjechałam na lewy pas.

„Jestem masochistką” – pomyślałam. Pewnie właśnie tak wali serce, tak rozrywa się w preczuciu bólu, kiedy otwierasz drzwi, za którymi twój mąż kocha się z jakąś panną. Ale nie ma na świecie kobiety, która potrafiłaby się zatrzymać przed tymi drzwiami.

W albumie nie znalazłam fotografii Serża. Byłam rozczarowana. Znalazłam tylko cztery zdjęcia. Mężczyzna na jednym z nich wydał mi się wprawdzie znajomy, ale mimo najlepszych chęci nie mogłam sobie przypomnieć, kto to taki.

Kilka dni poświęciłam na załatwienie spraw związanych ze sprzedażą marki mojej maślanki.

Staneło na dwustu pięćdziesięciu tysiącach. Niewiele, ale na wszelki wypadek spuściłam z ceny, żeby się nie rozmyślili.

Musiałam też wziąć adwokata, który zajął się uregulowaniem spraw z bankiem.

Postanowiłam nigdy więcej nie pożyczać pod hipotekę.

Umowa najmu biura właśnie wygasła, nawet nie musiałam jej rozwiązywać.

W sumie wszystko skończyło się nieźle, tyle tylko, że niezbyt się wzbogaciłam.

Ale przecież nie po to sprzedawałam maślanek. Musiałam się czymś zająć. Żeby nie myśleć o Serżu. I to akurat prawie mi się udało.

Teraz częściej niż o nim myślałam o jego kierowcy i o jego dziecku.

Pierwszego musiałam ratować, drugiemu – pomóc. A potem zająć się swoim życiem

osobistym.

Tego roku jakoś rozminęłam się z wiosną. Nie potrafiła poruszyć we mnie żadnej struny. To było trochę krzywdzące i w ogóle dziwne. Pomyślałam nawet: a może to już starość? Przecież podobno przychodzi niezauważenie... Nie bałam się tej myśli. Jeżeli to ma być starość, przyjmę ją godnie, bo nawet w starości można znaleźć coś dobrego, jak mawia moja córka.

Na przykład nie trzeba gryźć. – E tam, wszyscy już dawno mają sztuczne szczęki.

Wnuki się mną zaopiekują. – Nie mam wnuków.

Nie będę się musiała malować. – I tak się nie maluję.

Nie potrafiłam doszukać się w starości niczego dobrego. Zdjęłam z wieszaka jaskrawą sukienkę z ostatniej kolekcji Dolce&Gabbana. „Schowam ją – postanowiłam – a kiedy już będę stara i najdzie mnie ochota na odrobinę szaleństwa, wyciągnę i włożę”.

Pojechałam do Pasażu Trietiakowskiego na promocję zegarków Chopard.

Miałyśmy się tam spotkać z Leną i Olesia. To one dostały zaproszenie.

Katia zaszła w ciążę i leżała w domu z poważnym niedoborem estrogenów we krwi. Czuwał przy niej oligarcha. I mama.

Lena z Olesia były już spóźnione, a ja stałam przy wejściu i czułam się wyjątkowo głupio.

W letnich sandałkach ręczo przemknęła po śniegu moja znajoma, Marianna. W jednej ręce trzymała zaproszenie, drugą wczepiła się w faceta, którego też chyba skądś znałam.

– Co, nie masz zaproszenia? – zapytała Marianna.

Jej facet beczelnie mi się przyglądał.

– Mam – zaszczebiotałam. – Po prostu wyszłam na papierosa.

– Nie wiedziałam, że palisz – mruknęła Marianna i przemknęła przez bramkę z ochroniarzami.

Gdyby Lena spóźniła się jeszcze pięć minut, pewnie naprawdę bym zapaliła.

Kelnerzy roznosili tosty i szampana, w witrynkach pobłyskiwały brylanty.

Zadzwoiłam do Marianny.

– Słuchaj, co to za facet, ten, z którym przyszedłeś?

– A nie wiem, wczoraj poznałam się z nim na stacji benzynowej. Zdaje się, nie ma nic poza samochodem. A co, podoba ci się?

– Zastanawiałam się, skąd go znam.

No właśnie, skąd? Pewnie też z jakiejś stacji benzynowej.

– A znasz?! Może to jakiś słynny macho, a ja go traktuję jak dupka?

– Patrz, jaką Sobczaczka ma kolie! – szturchnęła mnie Lena.

Stałyśmy przy witrynce, udając, że podziwiamy nowy zegarek ze szmaragdami.

Obok przystanął kelner z szampanem.

Ze wszystkich stron naraz wyciągnęły się ręce po kieliszki.

– Dobra, możemy wracać – stwierdziła Olesia. Opowiedziała mężowi, jak się jej śniło, że pojechał na polowanie i zjadł go niedźwiedź.

Mąż Olesi był zapalonym myśliwym.

Opowiedziała mu o okrwawionych kawałkach ciała, które wyraźnie widziała we śnie. „To oznacza bardzo, bardzo ciężką chorobę” – wyjaśniła.

Mąż Olesi był przesądny, jak zresztą wszyscy mężczyźni. Od razu poczuł się źle i pognął do łóżka, zamiast jechać do pracy.

– Wyszłam – opowiadała Olesia, kiedy znalazłyśmy się już na ulicy – a wieczorem, po powrocie, zwierzyłam się, że byłam u znanej wróżki. Wiesz, facet był już całkiem zielony. I że niby wróżka powiedziała: żeby uniknąć śmierci, musisz się ożenić. W cerkwi. I on, oczywiście, uwierzył. Tak że niedługo ślub.

– Jesteś wariatka – powiedziała Lena.

– Po prostu go kocham. Nic nie rozumiecie, dziewczyny – obrazila się Olesia. – A właśnie, na Dzień Kobiet podarował mi bransoletkę od Cartiera. A ty co dostałaś?

– My nie mamy od kogo dostawać – odpowiedziała ponuro Lena w naszym wspólnym imieniu.

– Naszych facetów zeżarły niedźwiedzie.

– Pomyliły nas z mężem Olesi – nie wytrzymałam.

Zadzwończyłyśmy do Kati.

– Nic nie potrzebujesz? – zapytała Lena. – Jak coś, to daj znać, przyjedziemy.

– Nie, dzięki. Radzimy tu sobie we dwoje. Miałam ochotę zająć na chwilę w ciążę. Żeby ukochany mężczyzna, mocno zaciskając zęby, z opiekuńczym uśmiechem przynosił co chwila to jabłko, to coś do picia, to winogronko, to znów z powrotem wynosił wszystko do kuchni.

– Zaraz zrobi się ciepło – powiedziała Lena.

– Mogłybyśmy pojechać do Turcji.

– Nie lubię Turcji.

– Po prostu nie masz pojęcia, jak tam trzeba odpoczywać.

– A niby jak trzeba? – zainteresowała się Olesia.

– Najlepiej poderwać przewodnika – wyjaśniła Lena.

Przypomniałam sobie głośną w ubiegłym sezonie historię. Kilka dziewczyn pojechało do Turcji podrywać przewodników. Potem jedna z nich przywiozła swojego do Moskwy. Wynajęła mu mieszkanie. Mąż jakoś się o tym dowiedział. Zwaliła wszystko na koleżankę. A ta na kolejną. Mężowie, broniąc przed kolegami swoich żon (w końcu wstyd!), pokłócili się na śmierć i życie. A dziewczynom jakoś się upiekło. Ale do Turcji pewnie ich już więcej nie puszcza.

– No, no, to coś dla Wiki – opowiedziałam o „Bałczugu”.

– A co, nie wiedziałyście? – zdziwiła się Olesia. – Co srode biorą tam pokój.

Nie chciało nam się już dłużej sterczeć na ulicy. Chociaż w wyjściowych sukienkach wyglądałyśmy wśród zasp całkiem malowniczo.

– To co, jedziemy się gdzieś zabawić? – ziewnęła Lena.

– Może do „Galerii”? – zaproponowała Olesia.

Kątem oka dostrzegłam wycelowany w nas obiektyw i zdążyłam rozciągnąć usta w uśmiechu. Fotograf z „Harper's Bazaar”. Zanotował nasze nazwiska do kroniki towarzyskiej. Przy czym Lena przedstawiła się jako projektantka.

– Żeby się mama Kati więcej nie czepiała – rzuciła w ramach wyjaśnienia.

– Myślicie, że dadzą to zdjęcie? – zapytała rozmarzona Olesia. – Pokazałabym mężowi, ale by był zazdrosny.

Zdjęcie... Coś mi to przypominało... Ale co?

Postanowiłyśmy tym razem odpuścić sobie imprezę. Nie zarezerwowałyśmy stolika w „Galerii”, więc w sumie i tak nie miałyśmy dokąd iść.

W samochodzie pałętała mi się *Niebiańska plaża* Garlanda, wróciłam do domu poczytać.

Jak to miło zakopać się w łóżku z książką! Postawić w zasięgu ręki talerz z ciastkami i połamaną na kawaleczki czekoladą, włączyć lampkę; skoczyć na dół po cocacolę, bo oczywiście zapomniałam zabrać ją z kuchni; wleźć z powrotem pod kołdrę i powolutku przewrócić pierwszą kartkę.

„Ciekawe, czy Marianna widziała mnie potem w środku? – pomyślałam. – Żeby tylko nie doszła do wniosku, że naprawdę nie miałam zaproszenia”.

Nie żebym się tym jakoś strasznie przejmowała, ale jednak...

Gdzie ja spotkałam tego jej faceta?

I nagle sobie przypomniałam. I aż wyskoczyłam z łóżka. Diabli wzięli miły, spokojny wieczór.

Palce drżały mi tak, że z trudem wystukałam numer telefonu.

– Marianna? Słuchaj, jak się nazywa ten facet, który był z tobą w „Chopardzie”?

– Oho! – roześmiała się Marianna. – Widzę, że zrobił na tobie wrażenie! Ale lepiej zapomnij. Ja też już go rzuciłam, to jakiś kanciarz...

– Jak się nazywa? – traciłam cierpliwość.

– Władimir – mruknęła Marianna. – A o nazwisko nie pytałam, jakoś mi było głupio. Pewnie Pietrow czy jakiś inny Kozłów.

Zrzucałam z półek ubrania, przetrząsałam torebki, rozbiłam wazon i nawet tego nie zauważyłam – musiałam natychmiast znaleźć album Świetlany.

Jest.

Sam otworzył się na właściwej fotografii. A ja cała zamieniłam się w oczy. Oczy wpatrywały się w uśmiechniętą twarz różowiotkiego mężczyzny. Na portrecie pamięciowym nie było widać tego prosięcego różu i właśnie dlatego nie od razu go poznałam. „Władimir” – powiedziała Marianna i nagle wszystko stało się jasne jak słońce.

W ciężkim szoku wróciłam do sypialni, przeskoczyłam przez łóżko i złapałam za telefon.

Odebrała świekra.

– Co tam u was? – słyszałam swój głos jakby skądś z zewnątrz, z daleka. Nie do wiary, że w takim stanie potrafiłam się zdobyć na spokojny ton.

– Sieriożkę boli brzuszek. Tak się, biedny, męczy! Pewnie wzdęcie, robiliśmy mu już lewatywę i masaż.

– A Świetlana?

– Swietka wyszła. Z koleżanką. A my tu z dziadkiem sami sobie ze wszystkim radzimy.

Nie mogłam spokojnie siedzieć i czekać, aż Swietka wróci.

Zadzwoiłam do Wadima.

– Gdzie jesteś? – mój głos przeszedł w pisk.

– Co się stało? – Wadim był całkiem spokojny.

– Przyjadę do ciebie! Muszę pokazać ci zdjęcie! To Wowa Szczur! Blond włosy na jeża?

Różowe policzki?

– Tak, możliwe...

– No to gdzie jesteś?

– Jestem... – zawahał się. – W łaźni... Sam do ciebie przyjadę...

– Nie! Nie mogę czekać! Dawaj adres!

Łaźnia była w Górkach¹⁰. Narzuciłam długie futro wprost na pidżamę i po dziesięciu minutach znalazłam się już na miejscu.

Milczący ochroniarz w kamizelce kuloodpornej zaprowadził mnie do Wadima.

– Wybacz mój wygląd – Wadim był w długim frotowym szlafroku.

Sama wyglądałam nie lepiej, ale mniejsza o to. W dodatku musiałam zdjąć futro, bo w łaźni było zbyt gorąco.

– To on? – podsunęłam Wadimowi pod nos fotografię z albumu Swietłany.

– On – potwierdził Wadim. Wybuchnęłam płaczem. Wadim nie wiedział, co robić. Siedziałam na swoim futrze, na podłodze, i wylałam jak stado głodnych wilków, tylko jeszcze żałośniej.

Jestem pewna, że Wadim po raz pierwszy widział mnie w takim stanie.

– On na mnie patrzył... Rozumiesz... Zabójca Serża... Spokojnie chodzi sobie na wernisaże... Może nawet chciał mnie poznać...

Było mi wstyd. Urządziłam histeryczną scenę w sumie obcemu facetowi. Siedziałam w pidżamie w jakiejś idiotycznej łaźni. I nic mnie to nie obchodziło. Miałam wrażenie, że pierwszy raz w życiu mogę się wreszcie wypłakać.

Zza zamkniętych drewnianych drzwi usłyszałam przytłumiony kobiecy pisk, a po chwili wychyliła się stamtąd głowa jakiegoś mężczyzny i zaraz zniknęła.

– Uspokój się – prosił oszołomiony Wadim. Też mu było głupio. Za moją histerię i pewnie za ten pisk.

Mężczyzna w końcu wyszedł, zawijając się w biały szlafrok.

„Teraz wezmą mnie za prostytutkę” – pomyślałam obojętnie i zasłoniłam zapłakaną twarz dłonią. Machinalnie.

– Reginko – powiedział pijanym głosem mężczyzna, widać przekonany, że jestem żoną

Wadima – siedzimy tu sobie z moją siostrą, no i zaprosiliśmy Wadima...

Wadim wstał i wypchnął protestującego kolegę z powrotem za drzwi.

– Przepraszam – powiedział bardzo poważnym tonem.

– Nic się nie stało.

Włożyłam futro. Okropnie chciało mi się płakać. Ale nie tutaj.

– Odprowadzić cię?

– Nie trzeba – szepnęłam.

Drzwi zatrzasnęły się za mną z łoskotem. Położyłam dłonie na kierownicy i patrzyłam, jak lży kapią na nie i tworzą malutkie kałuże. Ochroniarz mierzył mnie obojętnym spojrzeniem przez szybę. Włączyłam muzykę. Bardzo głośną. Nie wiem, jak długo tak siedziałam. Nic nie pomagało.

W końcu włączyłam silnik. Wprawdzie byłam w pidżamie, ale futro prawie ją zakrywało. Czyli drobiazg, nie warto się przejmować.

Podjechałam pod dom świekry i zadzwoniłam. Dziecko przestało już płakać i zasnęło. Świetlana jeszcze nie wróciła.

Postanowiłam poczekać na nią w samochodzie.

Świetlane przywiózł Wanieczka.

Zrobiło mi się trochę nieswojo.

Ale przecież sama tego chciałam.

„Żeby tylko nie poszedł ją odprowadzić” – pomyślałam.

Świetlana wysiadła z samochodu i machała ręką, dopóki Wanieczka nie zniknął za zakrętem.

Do klatki weszliśmy jednocześnie.

– Cześć! – powiedziała zaskoczona Świetlana. Drzwi windy zamknęły się za nami.

– Kto to jest? – wyciągnęłam fotografię. Byłam pewna, że to jakiś jej absztyfikant. Może nawet to z nim zrobiła sobie dziecko.

Przeczuwałam, że teraz zacznie kręcić. I już zawnazę zdążyłam się zirytować.

– To mój brat – znowu spojrzała na mnie pytająco. – A co?

– Brat? – zdawało mi się, że powtórzyłam to słowo tylko w myślach, ale sądząc z tego, że Świetlana aż odskoczyła, pewnie wykrzyczałam je na całe gardło. – Brat?

Przyparłam ją do ściany. Dosłownie. Podłoga windy zaczęła się kołysać.

– Świnie!

Odepchnęła mnie z całej siły.

– Co się z tobą dzieje?

I wtedy uderzyłam ją w twarz. Futro rozsunęło się, Świetlana spojrzała na pidżamę, a potem skoczyła na mnie z pięściami.

– Czego ty ode mnie chcesz, ty wariatko? – wrzeszczała.

Dawno się już z nikim nie biłam. Właściwie nigdy z nikim się nie biłam. Ale w tej windzie z lustrem na całą ścianę tłukłam Świetlanę tak, jakbym robiła to całe życie. W kompletnym

milczeniu wrywałyśmy sobie nawzajem włosy, aż w końcu winda zatrzymała się na piętrze świątkry. Świelana ruszyła do wyjścia, i wówczas, włożywszy całą swoją wściekłość w wymanikiowaną pięść, przyłożyłam jej w oko.

– Gadaj! Natychmiast wszystko gadaj! – wychrypiałam.

– Ale o co ci chodzi? – nie mogła złapać tchu.

– Znali się?

– Z Sieriożą? Tak, nawet razem pracowali.

– Ty ich poznałaś?

– Ja, a niby kto?

– I co?

– Co i co? – pisnęła Świelana i wybuchnęła płaczem.

– Co z tą współpracą?

– A skąd mam wiedzieć? Chyba nic im nie wyszło! Wowa najpierw miał dużo pieniędzy, ale teraz nic mu już nie zostało. Wtedy podarował mi nawet kurtkę z norek...

Nienawidziłam Świelany za to, że jej nie wierzyłam. Od tamtej pierwszej chwili w restauracji. Ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że Swielana nie kłamie. Nie miała powodu. Miał go natomiast jej brat.

– Dawaj jego adres.

– Po co? – odsunęła się ode mnie.

– Dawaj! – ryknęłam.

– Mieszka teraz w moim mieszkaniu... Możesz mi wytłumaczyć, co się dzieje?

– Twojego synka boli brzuszeczek, ma wzdęcia. A dziadkowie nie są już tacy młodzi. Więc idź im pomóc, OK?

Wcisnęłam guzik windy, obie potrzebowałyśmy teraz lustro.

Moja jedwabna pidżama była w strzępach, ale po prostu szczelniej owinęłam się futrem. Zebrałam włosy w koński ogon.

– Powiedz im, że się przewróciłaś – zmierzyłam ją wzrokiem – i mało nie wpadłaś pod samochód.

Świelana starła rozmazany pod oczami tusz.

– I jak tam Wanieczka? – zapytałam ironicznie.

Zadarła głowę i nic nie odpowiedziała.

Ledwie przyłożyłam głowę do poduszki, zasnąłam. Zdażyłam tylko zdjąć porwaną pidżamę.

A kiedy rano otworzyłam oczy, miałam wrażenie, że w ogóle nie spałam.

Na podłodze leżała fotografia Szczura.

– Zabiję go – obiecałam sobie bez cienia emocji.

Zadzwoił Wadim.

– To brat Świelany – powiedziałam.

– Brat? – zapytał zdeorientowany.

– No brat, brat! – czułam, że zaraz znowu **się** rozplaczę. – Przecież na pewno ją znasz?

Milczał.

– No właśnie! – ryknęłam tryumfalnie. – Czyli znasz. Najpierw śpicie z kim popadnie, a potem was mordują ich cholerni bracia! Takie same ścierva, jak te wasze kochanice!

– Mam przyjechać?

– Nie! Lepiej jedź do tej panny z łaźni i obejrzyj jej dokumenty! Może ma jakiegoś braciszka?

Tatusia? Albo sama nosi w torebce pistolet? Twój zegarek jest więcej wart niż całe jej życie! I co, nie boisz się?

Odłożył słuchawkę.

Rzuciłam telefonem o ścianę.

Sprawdziłam – działał.

Wadim zadzwonił po dziesięciu minutach.

– Trzeba dać glinom namiary na tego typu. Znasz jego adres? Niekoniecznie mieszka tam, gdzie jest zameldowany.

– Opuść sobie. Już to przerabialiśmy. Na rozprawie kierowca znowu odwoła zeznania. A poza nimi nic na niego nie mają.

Wadim zapytał, jak tam zdrowie kierowcy.

– W porządku. Chodzi bez problemów, wszystko już robi sam. Tyle tylko, że w czterech ścianach własnego mieszkania. Przecież nie mogę im wynająć całego oddziału ochroniarzy na spacer po Moskwie.

– Czyli co, nie chcesz? – zapytał raz jeszcze Wadim.

– Nie.

Zadzwoniłam do kierowcy.

– Znalazłam Wowę Szczura – powiedziałam ostro zamiast powitania.

Chyba czekał na ten telefon.

– Co mam robić?

– Nic. Po prostu jeszcze trochę cierpliwości.

– Jasne, nie ma sprawy. Tylko mama...

– To nie potrwa już długo – obiecałam. Wezmę „osę” od Aleks. „Osa” przebija człowieka na wylot z odległości trzech metrów.

Zeszłam do jadalni. Aleks jak zwykle wylegiwała się na kanapie z jakimś pismem.

– Masz przy sobie „osę”? – zapytałam niewinnie, zaglądając do imbryczka z herbatą.

– Zielona z truskawkami, właśnie parzyłyśmy. Mam.

Skinęłam głową.

– Zostaw mi ją. I... nie będziesz mi już dzisiaj potrzebna.

Aleks popatrzyła na mnie uważnie.

– Dzięki!... Tylko chciałam jeszcze odstawić samochód do myjni. Jeździłaś gdzieś w nocy?

Wymamrotałam coś pod nosem i wyszłam.

Nie wiedzieć czemu stwierdziłam, że powinnam się ubrać na czarno: czarne dżinsy, czarny sweter, czarna kurtka i czarne tenisówki.

Powiedziałam Aleks, że sama umyję samochód.

Odprowadziła mnie przerażonym spojrzeniem.

Jechałam zalaną słońcem szosą i czułam się okropnie urażona. Plus użalałam się nad sobą. Bo wszyscy inni jechali do pracy, na randki, do restauracji, w gości. W każdym razie tak to na pierwszy rzut oka wyglądało.

Czułam każdy milimetr kwadratowy „osy” w kieszeni. Każdy milimetr kwadratowy przytłaczał mnie swoim ciężarem. Na świetłach dotykałam chłodnego żelaza.

Pomyślałam, że warto by potrenować strzelanie.

Plaża na Nikolskiej Górze zdawała się stworzona do takich ćwiczeń. W każdym razie w marcu.

W promieniu pięćdziesięciu metrów nie znalazłam ani jednej pustej butelki. Wyciągnęłam z bagażnika kanister z płynem do spryskiwaczy. Płyn na wszelki wypadek wylałam. Ulepiłam ze śniegu niewielki pagórek. Ustawiłam kanister. Zgrabiętymi palcami chwyciłam pistolet. Jego gruba rękojeść i krótka lufa dobrze leżały w dłoni. Strzeliłam.

Odrzuciło mi rękę. Żelazna kula przebiła kanister i cisnęła go daleko w bok, a potem rozbiła na drzazgi róg drewnianej budki, w której latem sprzedawano bilety.

Bolało mnie ramię. Chyba było zwichnięte.

Ćwiczenia udały się znakomicie.

Chwilę pobuksowałam na lodzie i wyjechałam • na szosę rublowskouspienską.

Co minutę z absolutnie zimną krwią mordowałam Wowę Szczura.

Wowa Szczur stoi przede mną i patrzy, jak wczoraj w „Chopardzie”; powolutku podnoszę wyciągniętą rękę. W ręce trzymam pistolet. Starannie celuję i naciskam spust. Chwilę przeżywam to wszystko, a potem od początku: Wowa Szczur stoi przede mną i patrzy, a ja powolutku podnoszę wyciągniętą rękę...

Zadzwonił telefon.

Chciałam odebrać dopiero po kolejnym strzale, ale dzwonek mnie dekoncentrował, więc rzuciłam „osę” na siedzenie i sięgnęłam do torebki.

– Gdzie jesteś? – zapytała drżącym głosem Katia.

– W samochodzie.

– Gdzie jedziesz?

– Na Babuszińską... Obie zamilkłyśmy.

– Co się stało? – zapytałam, starając się, żeby mój głos brzmiał całkiem naturalnie.

– Moja mama ma raka.

– Niemożliwe.

Katia cichutko zapłakała w słuchawkę.

– Spokojnie, nie wolno ci się denerwować, pomyśl o dziecku – wiedziałam, że gadam głupstwa. Kto powiedział, że sześciotygodniowy płód jest ważniejszy od siedemdziesięcioletniej mamy?

– Gdzie twój oligarcha?

– Wyjechał w interesach. Życie jest ważniejsze od śmierci. Przyjaciele są ważniejsi od wrogów.

Nigdzie mi nie ucieknie ten Wowa Szczur. Wydałam na niego wyrok. Wyrok zapadł w tej samej sekundzie, w której on postanowił zabić mojego męża. Przez jakieś parszywe akcje. Swietłana mówiła, że teraz nie ma pieniędzy. Czyli interes nie wypalił. A Serż nie żyje. Takie sukinsyny jak Wowa powinny najpierw dobrze poznać żony swoich przyszłych ofiar.

Mama Kati umierała.

Jedyne, co Katia mogła teraz zrobić, to dostarczać do szpitala środki przeciwbólowe. Ale akurat z tym były kłopoty. Środki można było kupić wyłącznie na receptę, i to w takich ilościach, które absolutnie nie wystarczały. I żadne pieniądze nic tu nie mogły pomóc.

– Niemożliwe – tak, to nie mieściło mi się w głowie.

Katia bezradnie rozłożyła ręce.

– Nic się nie da zrobić. Koszmar.

– Zapłać trzy razy więcej.

– Nawet dziesięć nie pomoże. Zrobiło mi się nieswojo.

– Wiesz, co mi powiedziała? Tydzień przed tym, jak się dowiedziała, że... że ma raka?

– Co?

– Że w życiu, jak w złej książce, ważne są tylko początek i koniec.

W innych okolicznościach uznałabym te słowa za pretensjonalne. Katia chlipnęła.

– Taka śmierć jest straszna! Nie byłaś tam! Nie widziałaś... I nic na to nie mogę poradzić, rozumiesz? Mogę kupić jej całe piętro, cały ten szpital, • wynająć na rok wszystkich lekarzy i pielęgniarki, nawet na dziesięć lat! Rozumiesz?! Ale nie mogę zrobić nic, żeby jej nie bolało!

Podalam Kati kilka kropli waleriany. Sobie też nalałam.

– Nie, dziękuję – powiedziała Katia. – Przez tych parę dni wypiałam już dwie butelki.

– A co z twoją ciążą?

– Zaburzenia hormonalne. Ale brzuch mnie już nie boli, a to dobry znak.

Znów zapłakała.

– Ale ją boli... Może właśnie teraz ją boli... Kiedy Katia położyła się spać, wróciłam do domu. Była czwarta nad ranem.

Zasnęłam w łazience, na różowych kafelkach podłogi, zwinięta w kłębek.

Trzy godziny później otworzyłam oczy.

Miałam ochotę się modlić.

Jak skazaniec myślałam, że muszę wstać, wziąć pistolet, pojechać na Babuszkinińską i zastrzelić Szczura. Ta myśl lęła się w moim mózgu, krążyła w powietrzu, wypełniała sobą całą

przestrzeń, jak jakaś skondensowana substancja, i odgradzała mnie od reszty świata. Była jak mur, o który biłam głową.

Złapały mnie mdłości, bolał brzuch, kark, ręce i nogi. Poza tym nerki, wątroba i śledziona. Serce skrobało, zamiast równo bić. Skrobało jak naostrzone grabie.

Modliłam się, żeby Bóg oddał mi Serżę. Może być ze Swietlaną. Z dzieckiem. Z dwójką dzieci, z trójką, z kochankiem homoseksualistą, z... Wszystko jedno. Byleby oddał. I żeby Serż czasem, choćby tylko raz do roku, na przykład w Dzień Kobiet, poświęcał mi jeden dzień swojego życia. W tym dniu obejmowałabym go najmocniej jak potrafię i nigdzie nie puszczała. Oddychałabym jego zapachem. I umierałabym – raz do roku – ze szczęścia.

Machinalnie wyciągnęłam z szafy jakieś ubranie. Włożyłam. Gdyby ktoś zapytał mnie, co to było, nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Wzięłam z siedzenia „osę” i schowałam do torebki.

Wyjechałam z podwórka i włączyłam światła postojowe. Po chwili je wyłączyłam.

Łzy zalewały mi oczy. Ocierałam je rękami, chwytając za kierownicę i znowu ocierałam.

Chciałam być małą dziewczynką. Chciałam do mamy. Boże, żeby tak nigdzie nie jechać! Byłam zmęczona. Byle ten koszmar skończył się jak najszybciej!

Zatrzymywałam się na światłach, ale nawet ich nie zauważałam. Z przyzwyczajenia wyprzedzałam samochody, nie patrząc w lusterko.

Cały czas gorzko płakałam i przechodnie z ciekawością patrzyli na mnie przez okno. A ja patrzyłam na nich, szukałam różowej twarzy i blond języka. Gdybym znalazła, cała ta tortura skończyłaby się wcześniej.

Skręciłam na podwórko Świetlany w stanie, który nazwać można chyba tylko szaleństwem.

Przed klatką stała karetka pogotowia. I dwa milicyjne gaziki.

Wchodząc po schodach, nie śmiałam wierzyć w nagłe przecucie.

Po mieszkaniu kręcili się ludzie w mundurach i w białych fartuchach. W miejscu, gdzie kiedyś stało łóżeczko Maszy, a właściwie teraz już Sieriożki, ktoś narysował białą kredą na wykładzinie kontur nienaturalnie wygiętego ludzkiego ciała. Opodal na ścianie zauważyłam gęste czerwone krople, jak w reklamie keczupu. Krew.

– Kto tu zginął? – zapytałam wszystkich naraz i wszyscy naraz odwrócili się w moją stronę.

Poproszono mnie o dokumenty.

– Kto tu zginął? – powtórzyłam z naciskiem.

– Znaleźliśmy prawo jazdy niejakiego Włodzimierza Mołczanina. Pani jest kimś z rodziny?

– Żoną – zaczęłam płakać na głos. Przynieśli mi wody.

Płakałam i zapominałam. Robiło mi się lżej.

Kompletnie nie przejmowałam się tym, jak wyglądam.

To była histeria. Wiedziałam, że to histeria, ale nic już nie mogłam zrobić.

Jakaś kobieta w mundurze, fatalnie ufarbowana, próbowała mnie uspokoić. Głaskała mnie po plecach, a ja objęłam ją i płakałam.

– Wszystko się jakoś ułoży – mówiła monotonie. – Czas leczy wszystkie rany. Jeszcze będziesz szczęśliwa.

Słuchałam jej i powoli wracałam do siebie.

– Masz dokąd jechać? – zapytała. Przytaknęłam.

– To jedź. Potem cię wezwiemy, dobrze? Za parę dni.

– Dobrze – zgodziłam się posłusznie. Zadzwoiła komórka.

– Odbierz – poradziła kobieta. – Nie powinnaś być teraz sama.

– Halo – mój głos brzmiał głucho i obojętnie. Dzwonił Wadim.

– Gdzie jesteś? – zapytał nieufnie.

– Na Babuszkinińskiej.

Mrugnęłam do kobiety w mundurze i wyszłam, nie przerywając rozmowy.

– Co ty tam, do cholery, robisz? – wrzasnął Wadim, chyba pierwszy raz w życiu.

W odróżnieniu od niego nie rzuciłam słuchawkę.

– Widział cię ktoś? – zapytał po chwili już normalnym tonem.

– Tak. Wszyscy – odpowiedziałam nieco kapryśnie. Dawno już nikt się tak mną nie interesował, więc specjalnie go prowokowałam.

– Zjedźmy razem obiad. Musimy porozmawiać.

W porządku. Za dwie godziny w „Werandzie”.

Jedliśmy tatarą z tuńczyka i łososia. Potem zamówiłam stroganowa z puree ziemniaczanym. A na deser tort „Napoleon”, który upiekła mama czy może jakaś gosposia jednego z założycieli „Werandy”.

– Kto go zabił? – zapytałam Wadima. Wzruszył ramionami.

– Zabójca – mówił takim tonem, jakim odpowiada się na pytania w rodzaju „ile jest dwa razy dwa?”

Popatrzyłam na niego uważnie i dałam spokój. I tak mi nic więcej nie powie. I bardzo dobrze.

– Nie sądziłem, że pojedziesz tam o takiej porze.

– Powiedziałam, że jestem jego żoną. Wadim uniósł brwi.

– Wiesz – uśmiechnęłam się – tak mi się jakoś powiedziało.

– Będą cię szukać. Oczywiście wszystko zatuszuję, ale to wymaga trochę czasu.

– O Boże! Znowu? – mało nie udławiłam się puree.

– Powinnaś wyjechać. Na miesiąc, może dwa...

– Okropność! – powiedziałam i przypomniały mi się podobne sceny z filmów: „Musi pani opuścić miasto w ciągu dwudziestu czterech godzin... „,

Chociaż w zasadzie nie było w tym nic okropnego.

Zadzwoiłam do agencji ochroniarskiej. Wadim rozmawiał tymczasem z jakimiś swoimi znajomymi.

– Możesz odwołać ochroniarzy! – wrzasnęłam wesoło w słuchawkę.

– Złapali go?

Wymamrotałam byle co i wyłączyłam telefon.

– Masz pieniądze? – zapytał Wadim.

– Mam.

– Zadzwoń do Dudinej. Dzisiaj jest piątek, najpóźniej w poniedziałek masz stąd zniknąć.

Dudina organizowała wakacje dla całej Rublowki.

– Wadim, jesteś pewien? – jęknęłam. Wadim uśmiechnął się czule.

– Jak będziesz się strasznie nudziła, zadzwoń – przylecę cię rozerwać.

Dudina powiedziała, że w weekend nie załatwi wizy, a bez wizy może mnie wysłać co najwyżej na jakieś wyspy. Albo do Turcji.

Przypomniałam sobie tureckich przewodników i zaprotestowałam.

– A w poniedziałek? Chyba rano da się już coś załatwić?

– Do Europy nie. Nic z tego, kochana. Daj mi przynajmniej trzy dni.

– Natasza, muszę wylecieć w poniedziałek. Pierwszą klasą i gdzieś, gdzie jest dużo słońca.

– Tylko tyle? Żadnych dodatkowych wymagań?

Wzruszyłam ramionami.

– Żadnych.

– W porządku. Zaczynaj się pakować. Wieczorem zadzwonię i powiem, co zwojowałam.

Wadim spojrzął na zegarek i przeprosił.

– Muszę jechać.

Postanowiłam zostać. Zamówić sobie lampkę czerwonego wina i spokojnie to wszystko przemyśleć.

Całując się z Wadimem na pożegnanie, usiłowaliśmy nie patrzeć sobie w oczy. Chciałam mu powiedzieć coś miłego, choćby tylko „dziękuję”, ale mi nie pozwolił: szybko odwrócił się i wyszedł, nawet nie pomachał mi ręką.

Zadzwołam do kierowcy. Powiedziałam, że ochrona nie jest im już dłużej potrzebna. Kierowca chciał jeszcze o coś zapytać, ale z mojego tonu wywnioskował, że przez telefon nic więcej się nie dowie. Podziękowałam mu serdecznie i przeprosiłam za wszystkie niedogodności, które musieli znieść z mojej winy.

Zdażyłam już poprosić o rachunek, kiedy przez przeszklone drzwi zobaczyłam Lenę. Szła pod rękę z Olesiem.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zazdrosna? – szepnęła mi Lena na ucho.

– Jeśli nie masz zamiaru startować w wyborach Miss Moskwy 2004, to nie – odpowiedziałam, a Lena roześmiała się radośnie.

Oleg rzucił się mnie odprowadzać.

– Zakochałem się w twojej przyjaciółce – poinformował.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Spokojnie – powiedział, patrząc mi prosto w oczy. – Nic jej o tobie nie powiem.

Skinęłam głową. Pewnie spodziewał się ode mnie podobnej deklaracji, ale milczałam.

Ciekawe, gdzie się poznali?

Zadzwoił do mnie brat kierowcy. Powiedział, że chce pogadać i że w poniedziałek wpadnie do firmy.

– O czym? – zapytałam uprzejmie.

– No, jak to... – chrząknął. – Pani przecież rozumie...

– Nie rozumiem.

– Nasza mama... Pani wie...

– W poniedziałek wylatuję z Moskwy. Pieniądze przywiezie wam kobieta, przedstawi się jako Aleks. Życzę zdrowia.

– Wyjeżdżam – powiedziałam do Aleks. – Na długo.

– Zabierz mnie ze sobą – Aleks spojrzała błagalnie.

– Pomyślę – obiecałam.

Żartobliwie strzeliła obcasami i posłała mi radosny uśmiech.

„Wyjeżdżam” – powtórzyłam i dotarło do mnie, że też się w sumie cieszę.

Przyjaciele urządzili mi huczne pożegnanie.

Zjawili się wszyscy oprócz Kati. Stan zdrowia jej mamy stale się pogarszał. Umierała.

Olesia uroczyście zapraszała wszystkich na swój ślub. W Jerozolimie. Oczywiście w prawosławnej cerkwi.

Kira była bez Blondi, bo od ciągłego farbowania pies dostał łupieżu i nie dawało się go wziąć na ręce.

Jej mąż nie wrócił. Kira marzyła o chwili, w której znowu pojawi się w domu.

– Dam mu w pysk – obiecywała Kira. – A potem kopnę w jaja.

Lena była szczęśliwa w nowym związku z Olesiem. W jej uszach pobłyskiwały serduszka od Choparda – prezent z okazji pierwszego wspólnie spędzonego tygodnia.

Weronika zaakceptowała w końcu nocne wycieczki swojego męża i przestała się nimi przejmować. Przestała mu grozić rozwodem i milicją. A on przestał ją bić.

Piłyśmy szampana w „Green” na Kutuzowskim. Nie ma w Moskwie droższej restauracji, za to towarzystwo zbiera się doborowe. Miałam tu złotą kartę klubową z dwudziestoprocentową zniżką.

– Dziewczyny, która ma znajomego w Dumie? – zapytała Weronika płaczącym się już językiem. – Trzeba przepchnąć ustawę o prawie jazdy od szesnastu lat. Pod kontrolą dorosłych.

– Ale po co? – zdziwiła się Olesia.

– Igor kupuje córce na szesnaste urodziny samochód...

– Patrzcie, kto to jest ten z Olą? – zmieniła temat Lena i wskazała oczami właścicielkę sklepu sportowego, miłośniczkę chirurgii plastycznej.

Po ostatniej operacji piersi rozjechały się jej na boki tak, że przeszkadzały rękom zwisać swobodnie wzdłuż tułowia. Trochę przypominała sztangistę wagi średniej tuż przed występem.

Ola była z mężem jednej z naszych przyjaciółek.

– Co to za mąż! – mruknęła Olesia. – Przecież nie brali ślubu.

– Nieważne! – zirytowała się Kira. – Za to mają dziecko! Dziewczyny, chodźcie, nie przywitamy się z nią!

Pograżyłyśmy się w ożywionej rozmowie i kiedy Ola mijała nasz stolik, udałyśmy, że jej nie zauważamy. Tylko Olesia uśmiechnęła się do niej ukradkiem i puściła oko.

O dziewiątej zaczęłyśmy się zbierać. Za dwie godziny miałam samolot. Do Indii.

– Znalazłam ci supermiejsce – poinformowała Dunina w piątek wieczorem. – Boeing, pierwsza klasa, sześć godzin lotu, świetna pogoda – ciepło, ale bez przesady, fantastyczny hotel, basen, i w dodatku tanio.

Słuchałam z zamierającym sercem.

– Czyli Indie – zakończyła tryumfalnie Dunina. – Wizę odbiorę w poniedziałek rano. Miłej podróży.

Bałam się latać, ale Lena dała mi imovan – specjalne lekarstwo od strachu przed lataniem.

– Tylko lepiej go nie popijać alkoholem – dorzuciła. – Źle wpływa na pamięć. Możesz potem parę razy opowiadać tę samą historię. Ale pewnie całą drogę prześpisz?

Lena pociągnęła mnie za rękaw, bo ruszyłam w stronę przejścia dla VIPów. Samolot stał już na pasie.

– Tym razem nie jesteś VIPem – wymamrotała, zerkając na kiosk z alkoholami. Stwierdziłyśmy, że zdążymy jeszcze wypić w barze po kieliszku czerwonego wina. A potem jeszcze po jednym.

Kiedy szłam do bramki, moje nazwisko wywoływano już przez megafony.

Pierwsza klasa była pełna.

Sąsiad zamówił sobie koniak, zanim jeszcze ruszyliśmy.

Patrzyłam przez iluminator na mknące w dole światelka pasa startowego i wszystko, co wiązało się z Moskwą, zdało mi się nagle dalekie i nieistotne.

Rozpięłam pasy i rozłożyłam fotel.

– Może koniak? – zapytał sąsiad.

Pomyślałam chwilkę i z powrotem złożyłam fotel.

Przy koniaku rozgadaliśmy się na całego. Opowiadałam mu o Indiach wszystko, co zdążyłam w weekend przeczytać w przewodniku.

Stewardesa obudziła mnie tuż przed lądowaniem.

– Dzień dobry – powitałam sąsiada, usiłując na niego nie chuchać.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Bardzo chciałbym już zobaczyć te Indie – powiedział.

– Ja też. Wie pan, mają tam taki ciekawy zwyczaj... – i już zamierzałam opowiedzieć mu, że kobiety noszą na rękach tyle bransoletek, ile lat są zamężne...

– Wiem – przerwał delikatnie. – Wczoraj słyszałem tę historię siedem razy.

Na szczęście stewardesa właśnie przyniosła tacę ze śniadaniem.

Wysiedliśmy z samolotu.

Powietrze w Indiach pachnie przyprawami i przygodą.

Było tak wilgotno, że już po sekundzie cała się lepiłam.

Lotnisko w Delhi przypominało lotnisko Szeremietiewo z 1988 roku. A nawet z roku 1990.

Część taksówek wabiła napisami: Air Condition. Wybrałam jedną z nich.

– Zmieniła pani plany? – zapytał uprzejmie mój towarzysz podróży. Miał na imię Kostia, ale tego nie pamiętałam.

Okazało się, że zarezerwowano nam pokoje w tym samym hotelu i poprzedniego wieczoru postanowiliśmy jechać tam razem. Czekał na niego mercedes z kierowcą.

Po drodze do hotelu nie zauważyłam innych mercedesów.

Zauważyłam za to: słonia, maszerującego po chodniku z człowiekiem w białej szacie; stadko małą na smyczach (coś dla Kiry, zamiast Blondi); kompletnie gołego faceta, spacerującego ze znużoną miną; tłum biedaków w wyprasowanych spodniach i kolorowych sari wyszywanych złotą nicią. W Moskwie mogłabym pójść w czymś takim na bankiet. Poza tym mnóstwo krów, chudych i tłustych; leżały pośrodku ulicy i udawały, że samochody wcale im nie przeszkadzają.

Ulice były znacznie czystsze niż w Moskwie, co mile mnie zaskoczyło. Ale Kostia wyjaśnił, że centrum Delhi bardzo się różni od przedmieść. I obiecał pokazać mi rzeżone przedmieścia.

Hotel „Oberoi” leżał poza centrum i zaliczał się do tak zwanych *resort hotels*.

Rozpakowałam walizki i poważnie zamyśliłam się nad tym, co dalej. Postanowiłam zacząć od wycieczki po mieście.

Jeździłam taksówką przypominającą naszą wołgę i czułam się jak żona kolonizatora. Hindusi odnosili się do mnie z szacunkiem, jak do wszystkich białych, i pośród całej tej egzotyki każdy dzień zdawał mi się wspaniałą przygodą.

Czasami dzwoniłam do Moskwy. Właśnie otwarto nową restaurację „Shatush”. I teraz wszyscy chodzili tylko tam.

Za nikim nie tęskniłam. Może tylko za mamą i za córką.

Kostia ciągle jeździł do Dżajpuru albo Bombaju. Zajmował się eksportem samochodów marki „Żyguli”. Któregoś dnia po powrocie zaprosił mnie na kolację.

– Będą dwie hinduskie księżniczki. Ale obowiązują stroje *casual*. Dobrze znasz angielski? – zapytał beztrąsko.

Nie poszłam na kolację z księżniczkami. Wyobraziłam sobie, jak się zaprzyjaźniamy: one poznają mnie ze swoimi koleżankami i zaczynamy chodzić do restauracji, wyjeżdżać za miasto, urządzać imprezy i świętować urodziny. Słowem, robić wszystko to, co zazwyczaj robię w Moskwie. Przeraziłam się. O nie. Przyjechałam tu, żeby choć chwilę pobyc sama i żeby zakosztować całkiem innego życia.

– Nie to nie – powiedział Kostia. – Tylko niepotrzebnie się obawiasz. Wcale nie tak łatwo zostać przyjaciółką hinduskich księżniczek.

Uśmiechnęłam się wieloznacznie.

W Indiach jest mnóstwo biedaków. Ale Hindusi są wygodnicy. Każdy biedak ma jeszcze większego biedaka, który mu służy.

Któregoś dnia trafiłam przypadkiem na długą ulicę, przy której sprzedawano gwoździe. Same gwoździe. Niezliczoną ilość gwoździ. To w ogóle typowe dla Indii. Wszystko zdaje się tu niezliczone. Ludzie, słonie, kwiaty, wszystko. I gwoździe. Przy jednym z kramów stary Hindus, ubrany jedynie w jasne, bardzo szerokie spodnie, golił brodę. Wyglądał na nędzarza. Nędznie wyglądały również jego kramik, jego znoszone spodnie, jego brudne nogi, jego zmęczona twarz, jego zardzewiała brzytwa i nadtłuczone w rogach lustro, w którym się przeglądał. Lustro trzymał inny Hindus. Jego spodnie były jeszcze bardziej znoszone, a twarz jeszcze bardziej zmęczona. Obok nich stał jeszcze jeden Hindus i w pozie pełnej szacunku trzymał miskę z wodą. Trudno wyobrazić sobie nędzarza bardziej nędznego niż ten ostatni. Ale znalazł się i taki: podawał pędzel temu, który trzymał miskę z wodą, ten z wodą kiwał mu głową, maczał pędzel w wodzie i ze służalczym uśmiechem podawał go temu, który trzymał lustro. Trzymający lustro nawet na niego nie patrzył. Z oddaniem zaglądał w oczy temu, który się golił. Łańcuszek kończył się biednym kaleką trzymającym ręcznik. Względna biel ręcznika kontrastowała z ciemną twarzą kaleki. Twarz pokrywały mu jakieś strupy i oparzenia. Zerknęłam za plecy kaleki, spodziewając się ujrzeć sama już nie wiem co. Ale ujrzałam tylko szczeniaka, leniwie wylegującego się w brudnej kałuży.

Zaczęłam żałować, że nie mam aparatu. I dziękowałam losowi, że nie urodziłam się córką jakiegoś sprzedawcy gwoździ w Delhi. Próbowałam sobie wyobrazić, jak to wychodzę ze sklepiku i mówię swojemu świeżo ogolonemu ojcu, że świetnie wygląda. A on każe mi umyć miskę. Gestem przywołuję młodą Hinduskę, stojącą za moimi plecami. W wyblakłym sari. Chociaż muszę przyznać, że nie widziałam ani jednej Hinduski w wyblakłym sari. Nawet największa żebraczka przeszłaby bez problemów przez bramkę dowolnego moskiewskiego klubu.

Gdyby porównać Indie z Ameryką, Delhi byłoby Waszyngtonem. A wszystko, co najlepsze i najwspanialsze, znajduje się w Bombaju. Jak w Nowym Jorku.

W Delhi życie płynęło spokojnie i monotennie. Poranek przechodził w południowy upał, a potem w wieczorny chłód. Polubiłam indyjską kuchnię, nauczyłam się trzech słów: *aga* (dobrze), *handzi* (tak) i *nandzi* (nie), i z przyjemnością rozpoczynałam dzień od kąpieli w hotelowym basenie.

Ajurwedyyczny masaż na cztery ręce na wielkim kłocu drewna z wydrążeniem w kształcie ludzkiego ciała kończył się kapnięciem na czoło kilku kropel olejku kokosowego. Po czymś takim zdawało się, że stare i zmęczone ciało zostaje w wyłobieniu kłoca i wstaje tylko dusza, czysta jak u dziecka, ale z pełnym wyposażeniem: rękami, nogami i brzuchem. Przyglądałam się sobie jakby pierwszy raz, jakby zdumiona, że w ogóle istnieję. Dwu potężnych masażystów w przepaskach biodrowych rozczesywało mi włosy, zmywało olejek i żegnało głębokim ukłonem i

jakimiś magicznymi słowami, które pewnie zresztą znaczyły coś w rodzaju: „Dziękujemy, zapraszamy ponownie”.

Bardzo lubiłam też masaż głowy, do którego używano tu gorącego olejku. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że mnie parzy, ale potem przyjemna błogość rozlewała się po całym ciele i naprawdę byłam przekonana, że pod wprawnymi palcami masażyisty zła energia i w ogóle wszystko, co złe, spływa po włosach, od ciemienia do samych końców, i spada, po czym bez śladu rozplywa się w powietrzu. Tak mówi ajurweda.

Kostia zawiózł mnie do Agry. To piękne i niesamowite miejsce. Jedliśmy kolację w jakimś starym pałacu, stoliki stały na samym brzegu sadzawki, a ja naśladowałam ruchy hinduskich tancerek, wijących się w skomplikowanych figurach tradycyjnego tańca ludowego. Tancerki otoczyły mnie, kiedy płynnie falowałam nadgarstkami, mrużyłam oczy i kołysałam się w takt muzyki, i zdawało mi się, że przez całe życie nie robiłam nic innego.

– W poprzednim życiu na pewno byłam tancerką – oświadczyłam Kosti, podpływając do naszego stolika.

– Szansonistką – powiedział Kostia.

– Żadną szansonistką! – zawołałam szczerze oburzona. – Raczej na odwrót, Isadorą Duncan.

– Nie. Isadora młodo umarła.

– No to Charlie Chaplinem! O właśnie. Byłam Charlie Chaplinem.

Ruszyłam brzegiem sadzawki rozkołysanym krokiem wielkiego komika.

– Czyli byłaś mężczyzną? – Kostia spojrzał na mnie nieufnie.

Roześmiałam się:

– Ty byłeś wtedy kobietą.

– Ja? Nie, to niemożliwe.

– A co? Taki z ciebie mizogin?

– Nawet gdybym kiedyś był mizoginem, teraz na pewno zmieniłbym zdanie. Ale nigdy nie byłem. Naprawdę.

Uśmiechnęłam się kokieteryjnie. Kostia palił cygaro i patrzył na mnie tym spojrzeniem, które nadaje najwyższy sens życiu każdej kobiety. Które sprawia, że kobieta czuje się najpiękniejsza i najbardziej pożądana.

Tak się właśnie czułam.

Kiedy Kostia mówił, zawsze podkreślał swoje słowa gestami. Przyjemnie było obserwować jego ładne dłonie i cienkie, długie palce. Zaczęłam nawet naśladować ruchy jego dłoni. Nieświadomie.

Kostia mówił niewiele i zawsze się uśmiechał. Nawet kiedy poruszał bardzo poważne tematy. Całkiem jak mały chłopiec.

Podobało mi się również, że potrafił to, co potrafią nieliczni: żyć tu i teraz. Kiedy był ze mną, był tylko ze mną. Cała reszta stawała się nieważna. I zdawało się, że ta reszta w ogóle nie istnieje. Przy nim czułam się najważniejszym człowiekiem we wszechświecie.

Kostia kupił mi czerwone sari i przez parę godzin uczyliśmy się, jak je drapować. Przy okazji okazało się, że czerwone sari jest w Indiach szatą ślubną.

– Nie masz przypadkiem żony? – zapytałam, udając przerażenie. – Bo przez ten strój mogę się zaraz znaleźć w mocno dwuznacznej sytuacji...

Kostia zapewnił mnie, że nie ma absolutnie żadnych zobowiązań i poszedł się dowiedzieć, w czym występuje na ślubie tutejszy pan młody. Ale Hindusi uśmiechali się pod wąsem i tajemniczo milczeli. Co zresztą bardzo nas zaintrygowało.

W Agrze zaczęłam kolekcjonować dekoracyjne poszewki na poduszki: wyszywane złotem, haftowane w fantastyczne zwierzęta, zdobione perłami i malutkimi lusterkami, patchworkowe i szyte z pierwszorzędnej tafty. Poświęciłam na ich zbieranie całe trzy dni. Kiedy stałam się już szczęśliwą posiadaczką stu dwunastu powłoczek, płynnie zmieniłam profil nowego hobby na kolekcjonowanie koralu z kamieni półszlachetnych.

Życie w Indiach było tak słoneczne i monotonne, że napełniało serce spokojem, którego już dawno nie czułam. Zdawało mi się, że w tym dziwnym, nieco bajkowym mieście jestem całkowicie bezpieczna od wszelkich wstrząsów i nieszczęść. Chciałam, żeby każdy mój dzień przypominał poprzedni, żeby jutro wyglądało dokładnie tak jak dziś. Chciałam mieć pewność, że nic więcej nie zdarzy się już w moim życiu. Że moim największym kłopotem będzie już zawsze wybór nowego sari. Barwne jedwabne sari kosztowało pięć dolarów, więc mogłam kupować je choćby codziennie.

Całkiem poważnie zaczęłam się zastanawiać, czy nie spędzić tutaj reszty życia. Moje stare marzenie o wielkim, białym domu owiewanym południowym wiatrem i o smagłym chłopcu w turbanie, noszącym za mną rozkładane krzesło, właśnie w Delhi miało szansę na realizację. Wprawdzie pomyślałam, że to ciągle noszenie za mną krzesła na dłuższą metę może okazać się irytujące, ale reszta była właśnie tym, do czego całe życie dążyłam.

Postanowiłam zapoznać się z rynkiem nieruchomości w Delhi. Na razie niezobowiązująco. Po prostu żeby wiedzieć, co się tutaj sprzedaje i za ile. Nie kupować, ale wiedzieć, że jest taka możliwość. Albo może coś kupić? I poczuć się trochę podróżniczką, trochę konkwistadorką. Jak u Gumilowa: „Jak konkwistador w szmelcowanej zbroi, kiedy się w drogę radosną wybierze, idę: to otchłań się z nagłą rozewrze, to wietrzyk moje zmęczenie ukoi”^{*} [przekład Witolda Dąbrowskiego Wróciłam do sklepiku i kupiłam pomarańczowe korale, zażarcie zbijając cenę z czterech dolarów na dolara.]. A jeśli to naprawdę to, o czym zawsze marzyłam? To znaczy oczywiście wietrzyk kojący zmęczenie, nie z nagłą rozwierająca się otchłań.

Zwróciłam się do agencji nieruchomości, które zaczęły pokazywać mi urocze wille. Ale żadna z nich nie przypominała domu moich marzeń. Na razie.

Kupowałam właśnie perełkę do mojej kolekcji – korale z jaskrawopomarańczowego kamienia chańcz czy amcz – kiedy zadzwonił Wanieczka. I oświadczył, że ojcem dziecka Świetlany wcale nie jest Serż.

Odłożyłam korale na ladę i wyszłam z maleńkiego sklepiku na ulicę. Słońce raziło w oczy i

parzyło ramiona.

– Co ty powiedziałaś? – spytałam, łapiąc się na tym, że wcale nie jestem zdziwiona. Jakbym od dawna wiedziała.

– Ojciec dziecka ją rzucił. Opowiedziała mi o tym jej przyjaciółka – Wanieczka wstydliwie chrząknął w słuchawkę. – Wiesz, mamy romans. Może się nawet ożenić.

Podczołgał się do mnie jakiś żebrak. Czołgał się na jednej nodze i jednej ręce, więcej nie miał. Odwróciłam się z obrzydzeniem.

– Z kim?

– Z tą przyjaciółką Swietłany. Ale jeszcze nie wiem.

Czekałam teraz na jakąś mądrość ludową, ale telefon zamilkł.

„Co za flądra z tej Swietłany” – pomyślałam, leżąc nad basenem w cieniu palm. Czułam się urażona w imieniu Serża. I jednocześnie szczęśliwa, że poza Maszą mój mąż nie miał innych dzieci.

Potem przypomniałam sobie o mieszkaniu w Kryłatskim i o rodzicach Serża. Miałam ochotę błyskawicznie przenieść się do Moskwy i cisnąć w Świetlane czymś ciężkim. Ale potem wyobraziłam sobie, co będzie, jeśli zabiorę rodzicom Sieriożkę. Nie przeżyliby kolejnej straty. Nie mogę do tego dopuścić.

Zadzwoiłam. Odebrała świekra.

Po szczegółowym raporcie o postępach dziecka w wymachiwaniu rączkami i nóżkami poinformowała, że Swietłana wyjechała.

– Powiedziała, że nic na razie nie może wyjaśnić i że to jakaś ekspedycja – mówiła bez cienia pretensji świekra. – A ty, kiedy wracasz?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – Może przyjechalibyście do mnie z Sieriożą...

Tego dnia nie poszłam na kolację z Kostią, zrezygnowałam z nocnej kąpieli w basenie i wcześniej położyłam się spać.

Kostia przysłał mi do pokoju kwiaty i książkę *The Tesseract* Garlanda w rosyjskim tłumaczeniu. Nie wiem, skąd ją wytrzasnął. Zdanie: „Po podłodze przebiegł karaluch, przypominający miniaturową deskorolkę”, natychmiast poprawiło mi humor i zasypiając, nie pamiętałam już ani o Swietłanie, ani w ogóle o Moskwie.

Rano postanowiłam poszerzyć kolekcję o stare instrumenty muzyczne. Było ich tutaj mnóstwo, jak zresztą wszystkiego. Zamierzałam powiesić je na ścianach mojego indyjskiego domu, kiedy już w końcu agencja znajdzie mi coś odpowiedniego.

Kosti podobał się pomysł z nową kolekcją i kiedy jadłam śniadanie, przytaszczył mi wielki, poobijany bęben, który zajął równiutko połowę mojego pokoju. Postanowiłam trzymać go w pokoju Kosti. Zapropnowałam mu również część swojej kolekcji poszewek, ale odmówił. Korali nie proponowałam.

Pojechałam z Kostią na stare miasto. Miał tam coś do załatwienia. Poznaliśmy wiekowego, pomarszczonego Hindusa. Nazywał się Szijam. Wykuwał z wielkiej bryły marmuru kulę, w

której miały migotać wszystkimi kolorami tęczy dziesiątki malutkich, ale równie doskonałych w formie kulek. Wykuwanie miało mu zająć pięć lat.

Szijam miał siedemdziesiąt trzy lata. Nie był pewien, czy przed śmiercią zdąży skończyć swoje dzieło. Dlatego codziennie przychodzili do niego uczniowie. I codziennie Szijam ich odprawiał.

– Do czego będzie służyła ta kula? – zapytałam Kostię.

Kostia przetłumaczył moje pytanie na hindi.

– Będzie piękna – odpowiedział Szijam i długo patrzył mi w oczy.

Uśmiechnęłam się ze zrozumieniem.

– Pyta, czy nie chciałabyś się tego nauczyć – tłumaczył Kostia kolejne ostre, szeleszczące słowa.

– Ja? – nie wiedziałam, jak zareagować.

– Mówi, że potrafiłabyś to robić.

Wyobraziłam sobie, jak przez najbliższe pięć lat siedzę w tym piekielnym upale i monotonnie stukam młotkiem w marmur.

– Dziękuję, to wielki zaszczyt... – zerknęłam na Kostię, ale ten ani myślał mnie ratować i bawił się na całego.

A Szijam już podawał mi jakieś narzędzie, trochę przypominające nasz łom. Nie chciałam urazić starca, więc posłusznie wzięłam łom do ręki.

– Dobrze, chodźmy już – roześmiał się Kostia i powiedział coś w hindi. – Bo zaraz faktycznie ci się spodoba. I co ja później zrobię z tą kulą? I tak mam już cały pokój zagracony twoimi bębniami.

Szijam uśmiechnął się do nas, szczerząc śnieżnobiałe zęby. Takie zęby mają wszyscy Hindusi, niezależnie od wieku.

– Myślisz, że się obraził? – było mi trochę głupio.

– Nie. Powiedziałem mu, że nie możesz, bo jesteś w ciąży.

– Ale przecież nie jestem w ciąży... – zrobiło mi się jeszcze bardziej nieswojo.

– No to będziesz – obiecał spokojnie Kostia, nawet na mnie nie patrząc.

Lubię, jak mężczyźni wypowiadają takie oczywiste stwierdzenia. Bez najmniejszego wahania.

Nie protestowałam. Po prostu odwróciłam się, żeby ukryć uśmiech.

A następnego dnia zadzwonili z agencji nieruchomości.

Podjechaliśmy pod dom moich marzeń, przebijając się przez gęsty nurt przechodniów i riksz.

Od razu go poznałam. Poznałam po tym uczuciu spokoju i zadowolenia, które mnie ogarnęło, kiedy tylko weszłam do wielkiego, słonecznego salonu z przeszklonymi drzwiami, otwartymi na pięknie utrzymany ogród. Z drżeniem serca wybierałam pokoje dla Maszy i dla mamy. Mamie na pewno spodoba się ta ogromna sypialnia połączona rozsuwaną szklaną ścianą

z tarasem, a Maszy...

Nie wiem, który już raz obchodziłam dom dookoła i wręcz słyszałam w nim głosy moich bliskich, i wyobrażałam sobie, jak jemy kolację na werandzie, jak urządzamy w ogrodzie przyjęcie dla sąsiadów...

Powiedziałam ludziom z agencji, że chcę przejrzeć dokumenty. Kostia obiecał mi w tym pomóc.

Myślałam sobie, że w moim życiu były szczęście i radość. I miłość. I przyjaciele. I marzenia, które się spełniały, i nadzieje, które stawały się rzeczywistością. I byłam wdzięczna losowi za to wszystko.

Jakie to szczęście, że mam córkę i mamę. Poświęcę im życie. Wychowam Maszę tak, żeby wyrosła na kobietę lepszą ode mnie, lepszą i piękniejszą. Mama zamieszka w tym domu i już nie będzie musiała sama martwić się o siebie. Będzie sobie hodowała jakieś egzotyczne kwiaty i krzewy.

Chodziłam po kolorowych ulicach Delhi i byłam szczęśliwa.

Kostia poleciał na kilka dni na Goa, więc kupno domu chwilowo przesunęłam.

Do Moskwy postanowiłam zadzwonić dopiero wtedy, kiedy dom będzie już kupiony i umeblowany. Zamierzałam zapłacić czekiem i uregulować rachunki z bankiem, sprzedając swój stary dom na wsi. Jeśli najdzie mnie ochota na wycieczkę do Moskwy, zawsze mogę się zatrzymać w hotelu „Bałczug”. Ale na razie jakoś nic na to nie wskazywało.

Dzień i noc myślałam o domu.

Podczas lunchu w hotelowej restauracji nagle dotarło do mnie, że muszę mieć pokój gościnny. Aż do samego deseru zastanawiałam się, które pomieszczenie najlepiej przeznaczyć na ten cel i w jakim stylu je urządzić. Może w rosyjskim stylu ludowym? Stanęło na moim ukochanym poparcie lat osiemdziesiątych. Jaskrawe kolaże z Marilyn Monroe na ścianach będą znakomicie współgrały z indyjskim wystrojem całej reszty domu. I dodadzą mu smaczku.

Wręcz maniakalnie wybierałam wystrój pokoju dziecięcego. Wszystko musiało być piękne i odświeżone. A do sypialni mamy dam wspaniałą kapę obszytą złotymi koronkami.

Znalazłam całą uliczkę ze sklepami meblowymi. Chodziłam po nich wstrząśnięta. Nigdy w życiu nie widziałam takich mebli. Potężne stare ławy i skrzynie, ciężkie stoły i komody z drewna tekowego. Zdobione mosiężnymi okuciami i filigranową płaskorzeźbą. Duch dziejów tkwił w tych przedmiotach w sposób tak ewidentny, że niemal można go było dotknąć.

Jak urzeczona patrzyłam na niesamowite meble. Chodziłam od sklepu do sklepu i nie wierzyłam, że to wszystko może być moje.

Mimochodem wyobraziłam sobie czarną kutą skrzynię w salonie mojego moskiewskiego domu.

A starą drewnianą stępę w przedpokoju. W charakterze kosza na parasole.

Takie meble zrobiłyby w Moskwie furorę. Mogę otworzyć galerię. I nawet jej wcześniej nie remontować – stare meble wyglądają obłędnie nawet w całkiem zwykłym otoczeniu.

Zapytałam o ceny. Hurtowe.

– Could you show me whole sale prices?

I nagle straciłam ochotę na dom w Delhi. Ochotę na spokój. Zrozumiałam, że moim powołaniem jest co innego.

Otworzę sklep w Moskwie. Piękny i niezwykle. Ludzie będą przychodzili i godzinami podziwiali. Nie od razu zaczną kupować. Najpierw najmodniejsi i najbardziej postępowi. A potem moje meble wejdą w modę. Dzięki mnie.

Upał w Delhi zdawał mi się już zbyt upalny, a słońce zbyt słoneczne. Po raz pierwszy od przyjazdu tutaj ogarnęła mnie tęsknota za Moskwą.

Na lotnisku będzie czekała Aleks. Wyobraziłam sobie jej uradowaną minę.

Wcześniej zadzwonię do niej i poproszę, żeby znalazła odpowiedni lokal na galerię. Gdzieś w centrum. Z dobrym dojazdem. Jakies czterysta metrów kwadratowych.

Ciekawe, jak tam Weronika? Co u Kati? I co to za nowa restauracja ten „Shatush”?

Sprzedawca popatrzył na mnie maślanymi, jak u wszystkich Hindusów, oczami.

– Hi! This is whole sale prices.

Uśmiechnęłam się do niego z całego serca.

„Zaprzyjaźnimy się – przekonywałam go w myślach – ale ceny hurtowe będziesz musiał nieco zmienić. Na niższe”.

Chyba zrozumiał. I w odpowiedzi też szeroko się uśmiechnął.

„Ostatecznie – pomyślałam – dom w Delhi mogę równie dobrze kupić za parę lat. Akurat wtedy, kiedy sympatyczny chłopak w turbanie, noszący za mną rozkładane krzesło, przestanie mnie irytować swoją obecnością”.

Kostia zgodził się finansować mój projekt. A także wszystkie moje pozostałe projekty życiowe...